

DONNA LEON

WODA WIECZNEJ
MŁODOŚCI



Oficyna Literacka Noir sur Blanc

DONNA LEON

WODA
WIECZNEJ
MŁODOŚCI

Przełożyła

Małgorzata Kaczarowska

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Tytuł oryginału: THE WATERS OF ETERNAL YOUTH

Opracowanie redakcyjne: LIDIA KOŚKA

Korekta: AGATA NOCUŃ, BEATA WYRZYKOWSKA

Projekt okładki: TOMASZ LEC

Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2016 by Donna Leon and Diogenes Verlag AG Zürich
All rights reserved

For the Polish edition

Copyright © 2018, Noir sur Blanc, Warszawa

All rights reserved

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65613-77-6

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla Megan i Martina Meyerów

*Ah, perché, oh Dio,
Perché non mi lasciasti
crudel, morir nell'acque, e mi salvasti?*

*Ach, czemu, o Boże,
Czemu, okrutny, nie pozwoliłeś mi zginąć
w wodzie, lecz mnie ocaliłeś?*

libretto opery *Radamisto* Georga Friedricha Händla

1

Brunetti od zawsze nie znosił eleganckich obiadów, więc teraz był niezadowolony, że musi w tym uczestniczyć. Nie robiło mu różnicy, że zna część gości przy długim stole, nie łagodziło też jego irytacji to, że obiad odbywał się w domu jego teściów, a co za tym idzie – w jednym z najpiękniejszych *palazzi* w mieście. Został zmuszony do przyścia przez żonę i teściową, która oznajmiła, że jego pozycja przyczyni się do uświetnienia tego wieczoru.

Brunetti upierał się, że jego pozycja *commissario di polizia* z pewnością nie należy do tych, które uświetniłyby obiad wydany dla zamożnych cudzoziemców. Jednakże teściowa wykorzystała taktykę border collie, którą obserwował już od ćwierci wieku, polegającą na okrążaniu ofiary i obszczekiwaniu jej tak długo, aż znajdzie się ona we właściwym miejscu. Gdy wyczuła, że osłabł, dodała:

– Poza tym Demetriańska chciałaby się z tobą zobaczyć i zrobiłbyś mi ogromną przyjemność, gdybyś z nią porozmawiał, Guido.

Brunetti uległ namowom i w ten sposób znalazł się na obiedzie z hrabiną Demetriańską Lando-Continui, siedzącą teraz całkowicie swobodnie u szczytu długiego stołu, który nie należał do niej. Naprzeciwko niej, na przeciwległym krańcu, zajęła miejsce jej najbliższa przyjaciółka, hrabina Donatella Falier, użyczająca swojego domu na tę okazję. Pęknięcie rury w pokoju nad jej własną jadalnią spowodowało, że z sufitu odpadła większość tynku, czyniąc pomieszczenie niezdatnym do użytku w dającej się przewidzieć przyszłości, dlatego hrabina Lando-Continui musiała się zwrócić o pomoc do przyjaciółki. Hrabina Falier, chociaż nie należała do fundacji, w związku z działalnością której obiad był organizowany, z największą przyjemnością wyciągnęła pomocną dłoń i dlatego właśnie dwie hrabiny siedziały na podobieństwo dwóch podpórek do książek na dwóch końcach stołu, przy

którym zajmowało miejsce jeszcze osiem osób.

Hrabina Lando-Continui, osoba drobnej postury, mówiła po angielsku z lekkim akcentem. Z pewnym trudem natężyła głos tak, by był słyszany przez wszystkich przy stole, ale widać było, że wystąpienia publiczne przychodzą jej z łatwością. Bardzo dbała o swój wygląd: jej włosy tworzyły hełm złocistych pukli, ostrzyżone były krótko, w młodzieńczym stylu, który dobrze pasował do kogoś tak drobnego. Włożyła ciemnozieloną sukienkę z długimi rękawami, eksponującymi jej dłonie, szczupłe, o długich palcach i zupełnie pozbawione starczych plam. Jej oczy były koloru niemal identycznego co sukienka i doskonale współgrał z nim kolor włosów. Przyglądający się jej Brunetti po raz kolejny doszedł do wniosku, że pół wieku temu musiała być niezwykle atrakcyjną kobietą.

Zaczął się przysłuchiwać prowadzonej przez nią rozmowie.

– Miałam to szczęście, że dorastałam w innej Wenecji, nie na tej scenie stworzonej dla turystów, by przypominała im miasto, jakim nigdy nie była.

Brunetti skinął głową i dalej jadł spaghetti z małżami, myśląc o tym, jak bardzo przypominało kuchnię jego żony. Prawdopodobnie dlatego, że kucharka, która je przygotowała, była tą samą kobietą, która uczyła gotować Paolę.

– Z ogromnym smutkiem przyjmuję to, że władze miasta robią, co tylko mogą, by ściągać ich tutaj coraz więcej i więcej. – Hrabina szybkim spojrzeniem omiotła twarze gości przy stole. – Jednocześnie weneckie rodziny, w szczególności młode, są zmuszone opuszczać miasto, ponieważ nie stać ich na wynajęcie lub zakup mieszkania.

Jej przygnębienie było tak wyraźnie widoczne, że Brunetti spojrzał na siedzącą naprzeciwko Paolę, która tylko skinęła głową.

Po lewej ręce hrabiny zajmował miejsce jasnowłosy Anglik, przedstawiony jako lord Taki czy Owaki. Po jego drugiej stronie siedziała słynna brytyjska historyczka, której książkę o arystokracji sabaudzkiej Brunetti przeczytał kiedyś z dużą przyjemnością. Profesora Moore mogła zawdzięczać zaproszenie temu, że w książce nie wspomniała ani słowem o związkach rodziny zmarłego męża gospodyni, Lando-Continui, z reżimem

Mussoliniego. Po jej lewej stronie znalazł się jeszcze jeden Anglik, przedstawiony Brunettiemu jako bankier, zaś obok niego, naprzeciwko Brunettiego, a po prawej ręce swojej matki, siedziała Paola.

To oznaczało, że Brunetti zajmował miejsce obok teściowej i naprzeciwko swojej żony. Podejrzewał, że takie rozmieszczenie gości przy stole naruszało jakieś zasady etykiety, ale ulga z powodu ich bliskości sprawiała, że nie przejmował się *politesse*. Po jego lewej stronie siedziała towarzyszką bankiera, która okazała się profesorem prawa na Oksfordzie, dalej mężczyzna, którego Brunetti widywał od czasu do czasu na mieście, a wreszcie niemiecki dziennikarz, który mieszkał w Wenecji od lat i stał się tak cyniczny, że mógłby niemalże uchodzić za Włocha.

Brunetti patrzył na przemian na obie hrabiny, zdumiewając się po raz kolejny tym, jak dziwnie życie łączy ludzi. Hrabina Falier odziedziczyła drugą hrabinę, gdy została ona wdową. Chociaż przyjaźniły się od lat, więź między nimi zacieśniła się po śmierci hrabiego Lando-Continui. Wtedy luźna znajomość zmieniła się w prawdziwą przyjaźń – ten fakt zastanawiał Brunettiego za każdym razem, gdy spotykał drugą hrabinę, tak odmienna była jej stateczna osobowość od charakteru jego teściowej. Hrabina Lando-Continui zawsze była dla niego uprzejma, czasem nawet życzliwa, ale nigdy nie miał pewności, czy nie jest traktowany jako dodatek do swojej żony i teściowej. Zastanawiał się też, czy większość żon czuje się w taki sposób.

– Powtarzam – kontynuowała hrabina Lando-Continui, a Brunetti skierował na nią swoją uwagę.

Kiedy nabierała powietrza, by spełnić swoją zapowiedź, przerwał jej teatralnym machnięciem ręki mężczyzna siedzący jako drugi po jej prawej stronie, ten, którego Brunetti znał trochę z widzenia. Ciemnowłosy, dobiegający chyba czterdziestki, z brodą i wąsami przystrzyżonymi na wzór ostatniego rosyjskiego cara, donośnym głosem wypełnił pauzę, którą spowodowało jego wtrącenie się.

– Droga hrabino – powiedział, wstając powoli. – Wszyscy jesteśmy winni zapraszania do miasta turystów, nawet pani. – Hrabina popatrzyła na niego, wyraźnie zaskoczona niespotykanym zestawieniem słów „winna” i „pani”,

być może zaniepokojona, że ten człowiek dysponuje wiedzą pozwalającą na połączenie tych słów w sensie prawnym. Położyła dłonie po bokach talerza, kurcząc je tak, jakby przygotowywała się do ściągnięcia obrusa na podłogę, gdyby rozmowa zboczyła w tym kierunku.

Przy stole zapadła znamionująca zdumienie cisza. Mężczyzna uśmiechnął się do hrabiny i wykorzystał przerwę spowodowaną jej milczeniem. Mówił po angielsku, ze względu na większość zgromadzonych przy stole, na których patrzył po kolei.

– Przecież, jak wszyscy wiemy, szczodrość naszej gospodyni, wspierającej restaurację wielu zabytków tego miasta, pozwoliła zachować wiele z urody Wenecji, a tym samym przyczyniła się w niepomiarly sposób do zwiększenia jej atrakcyjności jako celu podróży dla tych, którzy kochają ją i doceniają jej wspaniałość.

Ponieważ stał blisko niej i mówił wyraźnie, hrabina nie mogła nie usłyszeć słowa „szczodrość”, na którego dźwięk jej twarz złagodniała, a dłonie przestały ścisnąć kurczowo obrus. Uniosła dłoń w jego stronę, jakby chciała powstrzymać wszystkie te komplementy. Jednakże, pomyślał Brunetti, trudno było polemizować z głosem prawdy, dlatego również on podniósł w górę swój kieliszek. Komisarz zastanawiał się, czy tamten nauczył się swojej przemowy na pamięć, tak gładko została wygłoszona.

Kiedy Brunetti wychylił się do przodu i lepiej przyjrzał tęgawemu mężczyźnie, przypomniał sobie, że poznał go kilka lat temu na spotkaniu Circolo Italo-Britannico. To by wyjaśniało swobodę posługiwania się angielskim. Nieduże zdjęcie jego brodatej twarzy pojawiło się parę tygodni temu w artykule w „Il Gazzettino” wraz z informacją, że został poproszony przez Komisję do spraw Sztuk Pięknych o przeprowadzenie badań nad rzeźbionymi marmurowymi tablicami ściennymi w mieście. Brunetti przeczytał ten artykuł, ponieważ nad drzwiami Palazzo Falier znajdowało się pięć takich tabliczek.

– Moi przyjaciele i przyjaciele Serenissimy – ciągnął mężczyzna z coraz cieplejszym uśmiechem. – Pozwolę sobie wznieść toast za zdrowie naszej gospodyni, hrabiny Demetriany Lando-Continui. Pragnę jej podziękować,

osobiście jako weneccjanin oraz oficjalnie jako ktoś, kto pracuje nad zachowaniem zabytków tego miasta, za to, co zrobiła, by zadbać o jego przyszłość. – Popatrzył na hrabinę, uśmiechnął się i dodał: – Naszego miasta. – Następnie uniósł drugą dłoń, by objąć gestem pozostałych i uniknąć wrażenia, że ich wykluczył. Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Waszego miasta. Wenecja znalazła bowiem miejsce w waszych sercach i marzeniach, a to sprawiło, że staliście się, podobnie jak my, *Veneziani*. – Ostatnim słowem odpowiedziały oklaski tak długie, że w końcu musiał odstawić kieliszek i unieść obie dłonie, by pohamować nieco entuzjazm tej owacji.

Brunetti żałował, że nie siedzi koło Paoli, ponieważ miał ochotę zapytać ją, czy nie grozi im porażenie urokiem osobistym. Rzut oka w jej kierunku potwierdził, że podziela jego obawy.

Gdy znowu zapadła cisza, mężczyzna zaczął mówić dalej, tym razem zwracając się bezpośrednio do hrabiny.

– Chciałbym zapewnić, że jako członkowie *Salva Serenissima* jesteśmy pani niezwykle wdzięczni za kierowanie naszymi wysiłkami, by żywa tkanka tego miasta, które kochamy, pozostawała nienaruszona i stanowiła inspirację dla naszego życia oraz pożywkę dla naszych nadziei. – Po raz drugi uniósł kieliszek, tym razem zataczając nim krąg, by podkreślić, że te pochwały wygłasza w imieniu wszystkich zgromadzonych.

Bankier i jego towarzyszka poderwali się, jak na koniec szczególnie poruszającego przedstawienia, ale gdy zauważyli, że pozostali goście nie ruszyli się z krzeseł, bankier wygładził zmarszczkę na kolanie spodni i usiadł z powrotem, zaś jego towarzyszka starannie rozprostowała pod sobą spódnicę, jakby właśnie po to się podniosła.

Salva Serenissima – pomyślał Brunetti, który zrozumiał już, co łączy tego mężczyznę z hrabiną. Ale zanim zaczął się zastanawiać, co takiego mówca robi dla tej organizacji, męski bas zagrzmiął po angielsku:

– Dobrze powiedziane!

Zupełnie jakby znajdowali się w Izbie Lordów, a jego lordowska mość odczuł właśnie potrzebę wyrażenia swojego poparcia. Brunetti uśmiechnął się i dołączył do toastów, jednak nie upijając z kieliszka. Znowu spojrzał na

Paolę, która, odwrócona teraz półprofilem, patrzyła na przyjaciółkę swojej matki. Żona odwzajemniła jego spojrzenie, powoli zamykając i otwierając oczy, jakby właśnie jej oznajmiono, że krzyżowanie dopiero się zaczęło i zostało jeszcze mnóstwo gwoździ.

Mężczyzna, który przemawiał, najwyraźniej wyczerpał swoje zasoby pochwał, ponieważ usiadł i wrócił do zimnego już obiadu. Hrabina Lando-Continui zrobiła to samo. Pozostali podjęli prowadzone wcześniej rozmowy. Po kilku minutach obiadowano w najlepsze, znów brzęczały srebrzyste głosy i srebrne sztucce.

Brunetti odwrócił się do swojej teściowej i zobaczył, że border collie został odwołany i zastąpiony ospałym pudlem, bardzo efektownym, ale znudzonym i apatycznym. Hrabina Falier, ponieważ Paola zajęła się rozmową z bankierem, odłożyła widelec i usiadła wygodniej na krześle. Brunetti stwierdził, że kobieta po jego lewej stronie jest pogrążona w rozmowie z mężczyzną, który wznosił toast na cześć hrabiny Lando-Continui, więc sam mógł poświęcić całą uwagę swojej teściowej. Jej opinie często go zaskakiwały, podobnie jak niezwykła różnorodność źródeł, z jakich korzystała.

Ich rozmowa skierowała się ku tegotygodniowym doniesieniom związanym z ogromnym projektem inżynierskim MOSE, który miał chronić miasto przed niebezpieczeństwami przyptyków. Podobnie jak wielu mieszkańców Wenecji, oboje od samego początku uważali, że ta sprawa śmierdzi, a wszystko, co wydarzyło się podczas ostatnich trzech dekad, tylko pogarszało ten odór. Brunetti słyszał i czytał za dużo, by mieć jakiegokolwiek nadzieje, że ten złożony i bająco kosztowny system gigantycznych metalowych zapór mających uniemożliwić wodom morskim przedostanie się do laguny kiedykolwiek będzie działać. Jediną rzeczą pewną było to, że koszty jego utrzymania wzrastały z każdym rokiem. Trwające śledztwo w sprawie brakujących milionów euro, a może znacznie większych kwot, było praktycznie w gestii Guardia di Finanza. Lokalna policja wiedziała niewiele ponad to, co wydrukowano w gazetach.

Po pierwszych doniesieniach o skali i zasięgu grabieży unijnych środków

władze miasta poczerwieniały z oburzenia, które szybko zamieniło się w zażenowanie, gdy jeden z wysokich urzędników, początkowo upierający się przy swojej niewinności, przyznał, że być może pewne kwoty przeznaczone na projekt MOSE rzeczywiście zostały wykorzystane w jego kampanii wyborczej. Zapewniał jednak, że ani jednego euro nie wziął na użytek osobisty, najwyraźniej głęboko wierząc, że kupowanie głosów wyborców jest mniej naganne niż kupowanie garnituru marki Brioni.

Po krótkim flircie z oburzeniem wrodzony zdrowy rozsądek Brunettiego zatriumfował i sprawił, że komisarz odrzucił odrazę jako niestosowną reakcję. Lepiej myśleć jak neapolitańczyk i patrzeć na to wszystko jak na teatr, na farsę, na władze występujące w sztuce i robiące to, co potrafią najlepiej.

Wyczuł moment, gdy oboje mieli już dość tego tematu.

– Znasz ją od zawsze, prawda? – zapytał Brunetti i rzucił szybkie spojrzenie w kierunku szczytu stołu, gdzie hrabina Lando-Continui rozmawiała z niemieckim dziennikarzem.

– Od kiedy przyjechałam do Wenecji – odparła hrabina Falier. – To było wieki temu.

Brunetti nie umiał ocenić, czy w jej głosie dźwięczało zadowolenie, czy wręcz przeciwnie. Nigdy przez te wszystkie lata nie ujawniła wobec tego miasta, dla którego porzuciła rodzinną Florencję, uczuć innych niż miłość do męża.

– Wiem, że potrafi być naprawdę wredna, ale umie także być hojna i życzliwa – teściowa Brunettiego pokiwała głową na potwierdzenie własnych słów i dodała: – Obawiam się, że większość ludzi tego nie dostrzega. Ale z drugiej strony ta biedaczka rzadko spotyka się z ludźmi.

Hrabina Falier rozejrzała się wokół siebie i rzekła ściszonego głosem:

– To sytuacja wyjątkowa. Urządza te obiady dla potencjalnych darczyńców, ale nie lubi tego robić.

– W takim razie dlaczego robi? Z pewnością mają dział zajmujący się pozyskiwaniem funduszy.

- Ponieważ wszyscy uwielbiają lordów – hrabina przeszła na angielski.
- To znaczy?
- Jest hrabiną, więc ludzie chcą opowiadać, że siedzieli przy jej stole.
- W tym przypadku – Brunetti rozejrzał się po znajomej jadalni – to nie jest nawet jej stół.

Hrabina roześmiała się.

– Czyli zaprasza ich tutaj, ty ich karmisz, a oni z wdzięczności wspierają fundację Salva Serenissima? – zapytał Brunetti.

– Mniej więcej – przyznała hrabina. – Gorąco wspiera prowadzone przez nich działania, a w miarę jak posuwa się w latach, coraz bardziej jej zależy, by młodzi weneccjanie mogli nadal tu mieszkać i zakładać rodziny. Nikogo innego to nie obchodzi. – Rozejrzała się po zgromadzonych przy stole, a potem spojrzała na Brunettiego. – Nie jestem przekonana, czy Salva Serenissima dobrze się zajęła tymi mniejszymi mozaikami w Torcello. W niektórych miejscach nowe *tesserae* zbytnio się wyróżniają. Ale wykonali też ogólne prace konserwacyjne, więc w sumie to więcej pożytku niż szkody.

Brunetti nie był we wnętrzu tej bazyliki od lat – pamiętał tylko mgliście grzeszników strącanych do piekła i mnóstwo różowych ciał. Dlatego mógł jedynie wzruszyć ramionami i westchnąć, co czynił często w ostatnich latach.

Zniżył głos i odsunął myśl o grzesznikach trafiających do piekła.

– Kim jest ten mężczyzna, który wygłosił toast? – zapytał.

Zanim odpowiedziała, hrabina Falier podniosła serwetkę, otarła usta, odłożyła ją i napiła się wody. Oboje popatrzyli na mężczyznę rozmawiającego właśnie z siedzącą naprzeciw historyczką, która słuchała go i robiła notatki na małej karteczce. Hrabina Lando-Continui była pogrążona w przyjacielskiej pogawędce z angielskim lordem, który mówił donośnym włoskim z mocnym akcentem.

Teściowa Brunettiego najwyraźniej poczuła się dostatecznie chroniona przez głęboki i grzmiący głos lorda, ponieważ pochyliła się do Brunettiego i powiedziała:

– Sandro Vittori-Ricciardi. Jest protegowanym Demetriany.

– Czym się zajmuje?

– Jest projektantem wnętrz oraz konserwatorem specjalizującym się w kamieniu i marmurze. Pracuje dla jej fundacji.

– Czyli uczestniczy w rzeczach, które ona robi dla miasta? – zapytał Brunetti.

Ton jego teściowej stał się ostrzejszy.

– Te „rzeczy” oszczędzają miastu jakieś trzy miliony euro rocznie, nie zapominaj o tym, Guido. Podobnie jak o pieniądzach na remont mieszkań kwaterunkowych dla młodych rodzin. – Aby podkreślić wagę tego, dodała: – To zastępuje pieniądze, których rząd już nie daje.

Brunetti wyczuł, że ktoś stoi mu za plecami, więc usiadł prosto, by umożliwić kelnerowi sprzątnięcie talerzy. Milczał, dopóki talerz hrabiny także nie został zabrany.

– Oczywiście, masz rację – powiedział pojednawczo.

Wiedział, że dzisiejszy obiad ma być spotkaniem potencjalnych zagranicznych darczyńców oraz rodowitych weneccjan – zaś on sam stanowił część oferty. Odwiedź zoo i obejrzyj sobie zwierzęta, jakim ofiarowane przez ciebie pieniądze pozwalają przetrwać w środowisku naturalnym. Zapraszamy w porze karmienia. Brunetti nie przepadał za tą częścią swojej osobowości, która snuła takie myśli, ale wiedział zbyt wiele, by móc je całkiem stłumić.

Wiedział, że hrabina Lando-Continui od lat starała się sięgnąć do kieszeni hrabiego Faliera. Hrabia był zarówno uprzejmy, jak i nieugięty w odpiernaniu wszelkich jej podchodów. „Gdyby nie rozkradano tyle, Demetriano, miasto stać by było na renowacje, a gdyby rodziny i przyjaciele polityków nie zajmowali lokali komunalnych, nie musiałabyś prosić ludzi o pieniądze na remonty mieszkań” – powiedział jej kiedyś w obecności Brunettiego.

Hrabina, niezrażona tymi uwagami, nadal zapraszała hrabiego Faliera na swoje obiady – zaprosiła go nawet na ten, w jego własnym domu – ale za każdym razem hrabia przypominał sobie o pilnym spotkaniu w Kairze lub obiedzie w Mediolanie. Raz wymówił się, wspominając coś o premierze. Dzisiaj, o ile Brunetti się orientował, chodziło o spotkanie z rosyjskim

handlarzem bronią. Brunetti pomyślał, że hrabia nie przejmuje się wiarygodnością swoich wymówek, dopóki może się zabawiać wymyślaniem historii, które mogłyby poirytować hrabinę.

Dlatego właśnie, pod nieobecność hrabiego, sam Brunetti, jego teściowa i Paola pojawili się w charakterze łąpówki dla upartej hrabiny, a być może także jako atrakcja dla gości, którzy mogli spotkać się nie tylko z hrabiną Lando-Continui, ale także z hrabiną Falier, dwiema prawdziwymi arystokratkami w cenie jednej. Jako gratis dorzucono przedstawicieli młodszego pokolenia.

Przyniesiono deser, *ciambella con zucca e uvetta*, co bardzo ucieszyło Brunettiego, podobnie jak podane do deseru słodkie wino. Kiedy służąca obeszała stół, proponując drugi kawałek ciasta, Paola spojrzała mężowi w oczy. Odwzajemnił uśmiech i pokręcił głową w sposób pozornie stanowczy, czym nie zdołał przekonać Paoli, ale zdołał przekonać siebie.

Po tym wszystkim czuł się całkowicie usprawiedliwiony, by wypić trochę grappy. Odsunął nieco krzesło, rozprostował nogi i uniósł mały kieliszek.

Hrabina Falier, zupełnie jakby w ich rozmowie nie nastąpiła przerwa, wróciła do poprzedniego tematu.

– Jesteś go ciekaw, ponieważ dla niej pracuje? – zapytała. Przesunęła na bok kieliszek grappy, który postawił przed nią kelner.

– Jestem ciekaw, dlaczego uważa za konieczne tak bardzo jej pochlebiać – było najlepszą odpowiedzią, jaką zdołał wymyślić Brunetti.

– Czy zawód policjanta sprawia, że jesteś tak podejrzliwy w stosunku do ludzkich motywów? – zapytała hrabina z uśmiechem. Mówiła teraz bardziej swobodnie, ponieważ przy stole toczyło się kilka rozmów i pojedyncze głosy ginęły w gwarze.

Zanim Brunetti zdążył odpowiedzieć, hrabina Lando-Continui odłożyła łyżeczkę, spojrzała na siedzącą po przeciwnej stronie stołu przyjaciółkę, jakby prosiła ją o pozwolenie, i oznajmiła:

– Myślę, że kawę podamy w salonie.

Sandro Vittori-Ricciardi natychmiast zerwał się z miejsca i stanął za jej

krzesłem, by je odsunąć. Hrabina wstała i skinęła głową w podziękowaniu, a później pozwoliła, by ją ujął pod ramię i poprowadził do *salone*. Gdy przeszła przez drzwi łączące jadalnię z frontowymi pokojami *palazzo*, goście bezładną grupą poszli w jej ślady.

Z Palazzo Falier rozciągał się widok na *palazzi* po drugiej stronie Canale Grande, w oczach weneccjan nieuchodzące za szczególnie świetne. Część gości, nieświadomych tego, wydawała okrzyki zachwytu.

Brunetti wziął teściową pod ramię i przeszli do drugiego pokoju, gdzie stanęli obok Paoli. Kawa czekała na inkrustowanym onyksowym stole. Podano do niej cukier, ale już nie mleko, co mogło wyjaśniać, dlaczego zdecydowali się na nią tylko Włosi.

Ponieważ Vittori-Ricciardi był pogrążony w ożywionej rozmowie z bankierem i jego towarzyszką, Brunetti przesunął się powoli ku jednemu z okien i stanął tak, by lepiej słyszeć.

– To jeszcze jedna część naszego dziedzictwa niszczonea upływem czasu – mówił weneccjanin.

– Skoro to taka mała wysepka, dlaczego jest tak ważna? – zapytał bankier.

– Ponieważ to jedno z pierwszych miejsc, gdzie ludzie osiedlali się i wznosili budowle. Najstarsze ruiny pochodzą z siódmego wieku. Bazylika, ta z mozaikami, jest starsza od większości kościołów w Wenecji. – Zapał, z jakim Vittori-Ricciardi wypowiadał swe słowa, mógłby sugerować, że mowa jest o wydarzeniach z ostatniego roku albo nawet tygodnia.

– I to właśnie mielibyśmy odrestaurować? – Bankier nie wydawał się nawet w części przekonany, że to dobry pomysł.

– Tak, pomóc w odrestaurowaniu. – Weneccjanin odstawił filiżankę, a potem odwrócił się do swoich towarzyszy. – Jest tam mozaika przedstawiająca Sąd Ostateczny i obawiamy się, że gdzieś zza niej przedostaje się woda. Musimy znaleźć jej źródło, by to powstrzymać.

– Co w niej takiego szczególnego? – zainteresował się Anglik.

Odpowiedź padła po dłuższej chwili, a Brunetti wyczuł w tej pauzie poirytowanie Vittori-Ricciardiego zadaniem pytaniem. Jednak w głosie

mężczyzny nie było tego słycać, gdy wyjaśniał:

– Jeśli nie podejmiemy działań, może ulec zniszczeniu.

– Nie jest pan tego pewien?

Brunetti cofnął się o krok, by odstawić filiżankę i spodek na stół. Następnie stanął przy oknie, by podziwiać fasady po przeciwnej stronie kanału.

– Jesteśmy tego pewni. Jednak żeby to udowodnić, musimy dostać się za mozaikę, do głębszych warstw muru, a zdobycie na coś takiego pozwolenie wymaga dużo czasu. Trzeba je załatwiać w Rzymie – powiedział Vittori-Ricciardi. W jego głosie pojawiła się nuta zbolalej rezygnacji. – Czekamy na odpowiedź już pięć lat.

– Dlaczego to trwa tak długo? – zapytał bankier, co sprawiło, że Brunetti zaczął się zastanawiać, czy to jego pierwsza wizyta we Włoszech.

– Istnieje komisja, Belle Arti, która musi zatwierdzić prace renowacyjne. Trzeba mieć jej zezwolenie, zanim się choćby dotknie czegoś tak cennego.

Brunetti musiał przyznać, że wyjaśnienie Vittori-Ricciardiego brzmiało tak, jakby ten system miał sens.

– Nie zamierzacie tego przecież uszkodzić, oni powinni o tym wiedzieć – upierał się bankier. Ton jego głosu świadczył o tym, że z trudem może sprawę pojąć.

– Ich rolą jest niedopuszczenie do tego, by obiekty sztuki zostały uszkodzone przez nieupoważnione osoby – wyjaśnił Vittori-Ricciardi.

– Lub też skradzione? – zapytała kobieta, co nasunęło Brunettiemu myśl, że spędziła we Włoszech więcej czasu od swojego towarzysza.

Brunetti spojrział kątem oka i zauważył, że końce cienkiego wąsika Vittori-Ricciardiego uniosły się, gdy uśmiechnął się zdawkowo.

– Bardzo trudno byłoby ukraść mozaikę.

– Kiedy w takim razie moglibyśmy ją obejrzeć? – wtrącił znowu bankier.

– Proszę mi powiedzieć, kiedy będzie pan wolny. Moglibyśmy tam pojechać w tym tygodniu.

– Kiedy mogłyby się zacząć prace? – zapytał Anglik, zignorowawszy wcześniejszą wymianę zdań.

Brunetti był ciekaw wyrazu twarzy, z jakim profesor prawa przyjęła to pytanie swojego towarzysza, ale nie odwracał spojrzenia od kanału, zupełnie jakby pozostali mówili w języku, którego nie rozumiał.

– Kiedy tylko dostaniemy zezwolenie. Mamy nadzieję, że nastąpi to w ciągu najbliższych miesięcy – odpowiedział Vittori-Ricciardi. Anglik, jak pomyślał Brunetti, usłyszy „najbliższe miesiące” i nie zwróci uwagi na „mamy nadzieję”, więc nie będzie miał pojęcia, o ile to drugie było bliższe prawdy od pierwszego.

Zapadła cisza. Vittori-Ricciardi ujął bankiera pod ramię, bez powodzenia udając, że to spontaniczny gest. Zaskoczył tym tylko mężczyznę, który pospiesznie uwolnił ramię. Zniknęli, wraz z podążającą w ich ślady kobietą, w drzwiach prowadzących do *salone*. Jego strop z malowanych belek był jednym z architektonicznych detali, z których słyneło *palazzo* rodziny Falier.

Paola i jej matka zaskoczyły go, pojawiwszy się niemal natychmiast w tych drzwiach. Obecność żony otwierała Brunettiemu możliwość ucieczki. Paola podeszła do niego i wyciągnęła prawą dłoń w wyraźnie błagalnym geście.

– Zabierz nas stąd, Guido, proszę. Powiedz Demetrianie, że musisz iść kogoś aresztować.

– Twoje słowo jest dla mnie rozkazem – odparł skromnie Brunetti i poprowadził je do drugiego pokoju, by pożegnać się z hrabiną Lando-Continui. Zastali ją stojącą na środku salonu jej przyjaciółki tak swobodnie, jakby znajdowała się u siebie w domu. Nastąpiła wymiana pocałunków, po czym Paola i jej matka wyszły, zostawiając Brunettiego sam na sam z hrabiną.

Zanim zdążył podziękować jej za zaproszenie, położyła mu dłoń na ramieniu.

– Czy Donatella z tobą rozmawiała?

– Tak.

– Chciałabym pomówić z tobą jak z policjantem i jak z członkiem jej rodziny – wyjaśniła powoli, jakby chciała przekazać szczególnie ważną wiadomość.

– Postaram się – odparł Brunetti. Spodziewał się, że zapyta go, co jest ważniejsze, ale przycisnęła tylko mocniej dłoń do jego ramienia.

– Czy możesz odwiedzić mnie jutro? – zapytała. Hrabina nie udałaby się przecież tramwajem wodnym, a następnie piechotą do komendy.

– Jutro po południu – zaproponował.

– Będę w domu.

– Około piątej?

Skinęła głową, ucisnęła jego rękę i odwróciła się do lorda, który podszedł, by się pożegnać.

Kilka minut później Brunetti i Paola byli już przy moście koło uniwersytetu.

– Dobrze jest przespacerować się po posiłku – stwierdził Brunetti z nadzieją, że uda mu się uniknąć omawiania przebiegu tego wieczoru. Nie wspominał o swojej ostatniej rozmowie. Zatrzymali się na chwilę na szczycie mostu, by zobaczyć, co robią strażacy. Nic nie robili.

Kilka dni temu lato ustąpiło miejsca jesieni, a stada turystów zaczęły odlatywać na zimę. Na Campo San Polo było pusto, wszystkie bary miały już pozamykane okiennice. Zamknęła się nawet pizzeria na drugim końcu placu.

– Co takiego miał do powiedzenia bankier? – zapytał Brunetti.

– Całe mnóstwo rzeczy – odpowiedziała Paola. – Po pewnym czasie przestałam słuchać i starałam się kiwać głową w momentach, które uznałam za odpowiednie.

– Zauważył to?

– Ależ skąd – odparła z bezwzględnością Paola. – Oni nigdy nie zauważają.

– Oni?

– Mężczyźni, którzy wiedzą wszystko. Jest ich całkiem sporo. Wystarczy,

że kobieta, która musi ich słuchać, wygląda na zainteresowaną i kiwa od czasu do czasu głową. Wykorzystuję ten czas na przypominanie sobie wierszy.

– Czy ja należę do takich mężczyzn? – zapytał Brunetti.

Paola przyjrzała mu się uważnie.

– Znasz mnie od tylu lat i mimo to zadajesz takie pytanie? – Gdy Brunetti nie odpowiedział, oznajmiła: – Nie, nie należysz do nich. Wiesz bardzo dużo, ale nigdy się nie zachowujesz tak, jakbyś wiedział wszystko.

– A gdybym tak robił?

– Cóż – powiedziała i ruszyła dalej. – Rozwód to strasznie dużo zachodu, więc pewnie wyglądałabym na zainteresowaną i kiwałabym głową.

– I przypominałabyś sobie wiersze?

– Właśnie tak.

Doszli do *calle* prowadzącej do ich domu. Brunetti z jakiegoś powodu pomyślał o tym, jak wyglądała Wenecja w czasach jego dzieciństwa, kiedy niewielu ludzi zamykało drzwi na klucz. Jego rodzina nigdy tego nie robiła, ale też – jak sobie uświadomił – jego rodzina nigdy nie miała niczego, co warto by ukraść. Przed drzwiami mieszkania wyjął klucze, ale zanim otworzył, objął Paolę ramieniem i pochylił się, by pocałować ją w czubek głowy.

Następnego dnia rano, gdy Brunetti i Vianello udali się do baru przy Ponte dei Greci na kawę, Brunetti postanowił opowiedzieć inspektorowi o osobach spotkanych na obiedzie, w pierwszym rzędzie o samej hrabinie Lando-Continui. Streścił jej komentarze o budzących smutek zmianach w mieście, a następnie opowiedział, jak pochlebstwa jednego z gości zdołały zamknąć jej usta.

– Nikt się nie sprzeciwia osobie mówiącej, jacy jesteśmy wspaniali – zauważył Vianello, a barman Bambola potwierdził to energicznym skinieniem głowy. Po chwili namysłu inspektor zapytał: – Co ich łączy? To był jej krewny? Pracownik? – Vianello popijał kawę, ponieważ chwilę wcześniej skończył jeść brioszkę. – Tylko ktoś, komu na czymś zależy, odważy się na tego rodzaju pochlebstwa. Ale musi dobrze ją znać.

Brunetti już się nad tym zastanawiał. Tylko ktoś, kto zna nas dobrze, wie, jak nam naprawdę pochlebić, z jakimi cnotami lubimy być kojarzeni, a z jakimi nie. Paola pozostawała głucha na komplementy dotyczące wyglądu, ale miękła, gdy tylko ktoś pochwalił jej bystrość umysłu. Sam Brunetti wiedział, że przyjmuje obojętnie uwagi dotyczące jakości jego pracy, podczas gdy pochwała jego wiedzy historycznej lub gustu literackiego zawsze sprawiała mu przyjemność.

– Chwalił jej hojność – wyjaśnił Brunetti. – Jej szczodrość – dodał, opatrując drugie słowo wyraźnym cudzysłowem.

Nie miał pojęcia, ile w tych pochwałach jest prawdy, ponieważ nie wiedział praktycznie nic o działalności hrabiny poza tym, co zostało powiedziane poprzedniego wieczoru. W gruncie rzeczy w ogóle niewiele o niej wiedział. Jednakże szczodrość była cnotą rzadko przypisywaną weneccjanom, zarówno wysoko, jak i nisko urodzonym.

– Wiesz coś o niej lub o jej rodzinie? – zapytał Vianella.

– Lando-Continui – powtórzył Vianello i oparł się o ladę barową, by móc przyglądać się ludziom zmierzającym na most prowadzący do kościoła San Giorgio dei Greci. – Jest pewien notariusz w Mestre. Mój kuzyn był u niego, kiedy sprzedawał mieszkanie.

Ludzie przechodzili przez most i znikali w głębi Castello lub kierowali się w przeciwną stronę, ku *bacino* lub na plac św. Marka.

– Było coś jeszcze, ale nie mogę sobie przypomnieć – dodał Vianello, niezadowolony, że nie potrafi przywołać przeszłości. – Jeśli to coś ważnego, możesz zapytać signorinę Elettę. – Jej talenty z pewnością przewyższyły jego pamięć. – To było coś nieprzyjemnego, wiele lat temu, ale nie pamiętam dokładnie.

– Znam hrabinę od bardzo dawna – stwierdził Brunetti. – Ale nigdy nie wykroczyliśmy poza rozmowy towarzyskie. Wczoraj po raz pierwszy miałem okazję się jej naprawdę przyjrzeć. Nie jest tak sztywna, jak zawsze uważałem. – Musiał jednak dodać: – Ale rzeczywiście lubi narzekać.

– Na co?

– Na to, że nasze piękne miasto zmieniło się w wielki jarmark – odparł z melodyjną modulacją Brunetti. – To już nie to miasto, gdzie bawiłam się jako dziecko. – Wrócił do swojego zwykłego głosu: – Tego rodzaju rzeczy.

– To brzmi dość podobnie do tego, co sami mówimy, prawda? – zauważył Vianello.

Bambola odwrócił się, ale Brunetti zdążył dostrzec jego uśmiech.

Brunetti stłumił przyływ urazy wywołanej tym komentarzem.

– Możliwe – przyznał. Czy podświadomie rozpoznał swoje własne lamente i dlatego nie spodobały mu się w ustach hrabiny?

Sięgnął do kieszeni i położył na ladzie dwa euro. Zatrudniający Bambole właściciel baru, Sergio, podniósł cenę kawy do jednego euro i dziesięciu centów, ale nie dla personelu komendy. Oni mieli płacić jedno euro do czasu, jak lubił mawiać Sergio, „aż pozbędziemy się tego euro i będziemy mogli wrócić do lirów, a wszystko będzie tańsze”. Nikt w komendzie nie miał

odwagi, by przedyskutować tę sprawę z Sergiem, natomiast wszyscy byli zadowoleni, że płacą za kawę tylko jedno euro.

W gabinecie Brunetti znalazł na biurku zapieczętowaną żółtą kopertę z podpisem jego współpracownicy, Claudii Griffoni.

Otworzył kopertę i wyjął sześć plastikowych koszulek zawierających najświeższe raporty funkcjonariuszy, którzy mieli uprawnienia do zatrudniania i opłacania informatorów. Brunetti wiedział, że inni funkcjonariusze utrzymywali nieformalne, a czasem niezbyt legalne relacje z przestępcami i opłacali informatorów przysługami, papierosami lub – jak się obawiał – skonfiskowanymi narkotykami, jeśli nie zostały one przekazane dalej natychmiast po tym, jak trafiły w ręce policji. Jednakże sześcioro funkcjonariuszy, pięciu mężczyzn i jedna kobieta, których raporty czytał co dwa miesiące, opłacało swoich współpracowników pieniędzmi z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zaś do raportów były przypięte paragony starannie dokumentujące każde euro, chociaż nie było sposobu, by zweryfikować podawane na nich kwoty.

Weźmy choćby pierwszy z nich, rachunek z restauracji na 63,40 euro, ze schludnym dopiskiem na dole: „6,40 euro – napiwek”. Zgodnie z tym, co zapisano w raporcie, siedemdziesiąt euro kosztowało dowiedzenie się, że uchodźcy z Afganistanu są przemyceni do kraju w ciężarówkach przez granicę z Grecją. Tę informację można było uzyskać za darmo na każdym rogu ulicy w Mestre lub też, skoro już o tym mowa, przeczytać co najmniej raz na tydzień w „Il Gazzettino”. Ten sam funkcjonariusz donosił, że usłyszał od przyjaciela, będącego właścicielem kiosku w Mogliano, o kliencie (imię i nazwisko podano), który zaproponował mu kupno biżuterii, jednakże pod warunkiem że nie ujawni jej źródła. To kosztowało dwadzieścia euro.

Inni funkcjonariusze zgłaszali niewiele ciekawsze rzeczy, chociaż mało który z nich wydał więcej niż pięćdziesiąt euro. Brunetti został z nieprzyjemną refleksją, że zdrada może kosztować tak niewiele.

Zszedł na dół, do malutkiego gabinetu signoriny Elettry. Znalazł ją z obiema rękami uniesionymi nieruchomo nad klawiaturą komputera, jak pianistkę, która zaraz zacznie grać finałową część sonaty. Chwila, w której

planowała precyzyjne uderzenie, przeciągała się. Signorina Elettra przeczytała to, co widniało na ekranie, a potem podniosła wzrok na Brunettiego, niczym nie zdradzając, że go rozpoznaje. W końcu opuściła dłonie, usiadła wygodniej i splotła ręce na piersi.

Brunetti podszedł do jej biurka.

– Jakies problemy? – zapytał, ponieważ nadal go ignorowała.

Spojrzała na niego, ale nie uśmiechnęła się. Jej prawa dłoń uniosła się na moment, by dotknąć z namysłem warg wskazującym palcem, a potem wróciła do klawiatury i postukała w nią. Signorina Elettra odczekała chwilę, wpisała dalsze informacje, a potem wyprostowała się i przyjrzała ekranowi.

Nie poruszała się tak długo, że Brunetti był zmuszony do użycia większego nacisku.

– Czy to coś poważnego? – zapytał.

Przyjrzała się ekranowi komputera z niezwykłą ostrożnością, jakby właśnie zawarczał na nią złowrogo. Następnie oparła łokcie na biurku, a podbródek na dłoniach. W końcu odpowiedziała:

– Niewykluczone.

– To znaczy?

– Czytałam dziś rano pocztę *vice-questore* i znalazłam e-mail z załącznikiem. Nazwisko nadawcy było znajome, ale adres nowy. Dlatego nie otwierałam załącznika.

Umilkła. Ponieważ Brunetti nie miał pojęcia, co to mogło oznaczać, ograniczył się do powiedzenia tego, co jego zdaniem chciała usłyszeć.

– Dziwne.

– Zaiste.

– Co pani z tym zrobiła?

– To, co zrobiłby każdy – odpowiedziała, co mu nic nie dało. Po chwili uzupełniła: – Oznaczyłam e-mail oraz załącznik jako przeczytane, z nadzieją, że to wystarczy.

Popatrzyła na Brunettiego, jakby sprawdzała, ile zrozumiał, a wyraz jego

twary musiał przynajmniej częściowo zdradzać prawdę, ponieważ wyjaśniła:

– W ten sposób ktoś może się włamać do systemu. Jeśli otworzy się taki załącznik.

– Skąd przyszedł ten e-mail? – zapytał Brunetti.

– Prześledziłam jego drogę aż do adresu z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – odparła.

Jej odpowiedź odebrała Brunettiemu mowę. Na litość boską, sami pracowali dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dlaczego nadawca miałby chcieć się dostać do ich systemu, będącego systemem ministerstwa, skoro były w nim rejestrowane wewnętrznie wszystkie wysłane i otrzymywane e-maile i SMS-y?

Signorina Elettra znowu zajęła się kontemplowaniem monitora, zaś Brunetti zajął się kontemplowaniem możliwości. To, że ich korespondencja i rozmowy telefoniczne były oficjalnie monitorowane, nie dziwiło go w najmniejszym stopniu. Nabral przekonania, że każdego podsłuchuje co najmniej jedna nieupoważniona osoba. Być może to, że tak wielu ludzi zajmowało się szpiegowaniem innych zamiast pracą, wyjaśniało, czemu obecnie tak trudno było dokończyć jakieś zadanie. Brunetti był świadom istnienia Niewidzialnego Słuchacza, gdy rozmawiał przez telefon, a także Niewidzialnego Czytelnika, gdy wysyłał e-maile. Z pewnością wiele rzeczy było spowalnianych przez stałą konieczność brania pod uwagę niezapraszanych uczestników, którzy czytali to, co zostało napisane, i słuchali tego, co było mówione.

Szpiegostwo na tym poziomie powinni uprawiać tylko fachowcy, prawda? Sekretarka siedząca w gabinecie *Vice-Questore di Polizia* w małym mieście, takim jak Wenecja, nie powinna z taką łatwością wykryć próby śledzenia, prawda? Wprawieni szpiegowie nie byliby tak nieostrożni.

– Wie pani, z jakiego działu pochodził?

Spojrzała w znajdujące się za nim okno. W końcu zignorowała to pytanie, odpowiadając:

– To był fałszywy adres.

– A prawdziwy?

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Przesłałam wszystko do mojego przyjaciela i poprosiłam, żeby się temu przyjrzał.

Brunetti nie chciał znać tożsamości z całą pewnością nieupoważnionego przyjaciela, którego signorina Elettra poprosiła o śledztwo w sprawie próby włamania się do systemu e-mailowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z fałszywego adresu e-mailowego tegoż ministerstwa. Czuł się znużony samym zastanawianiem się nad tym, dlatego postanowił nie pytać, co to za przyjaciel.

Musiał się starannie zastanowić nad sformułowaniem pytania, jakie zamierzał zadać, aby nie obnażyć swojej ignorancji.

– Co mogłoby być ich celem?

– Podejrzewałabym przede wszystkim, że ktoś miał nadzieję, iż używamy służbowych komputerów do korespondencji prywatnej. Gdyby się dostali do środka, mieliby dostęp do wszystkiego.

Czyżby się wzdrygnęła?

– Nie mam prywatnego adresu e-mailowego – powiedział Brunetti.

– Nie ma pan prywatnego e-maila? – powtórzyła, zupełnie jakby oznajmił jej, że nie potrafi się posługiwać nożem i widelcem.

– Nie – odparł z taką samą udawaną niewinnością, z jaką dawniej mówił ludziom, że nie ma *telefonino*. – Korzystam z adresu Paoli, ale we wszystkich sprawach służbowych używam tego, który tutaj dostałem. – Machnięciem ręki objął całą komendę. – Obiecałem Paoli, że nigdy nie wejdę na jej konto z jednego z tutejszych komputerów.

– Rozumiem.

– Poza tym i tak wolę dzwonić – dodał.

– Oczywiście – odpowiedziała i mimowolnie wzniosła ku niebu oczy na samą myśl o tym, że istnieje jeszcze ktoś, kto uważa telefony za bezpieczne.

– Co zamierza pani zrobić? – zapytał Brunetti.

Pytanie wyraźnie napełniło ją energią, jakby udzielenie odpowiedzi dawało jej siły do myślenia i działania.

– Jeśli mój przyjaciel powie mi, skąd pochodzi ten e-mail, będę wiedziała, jak się tym dalej zająć. To może być zwyczajne zarzucanie przynęty przez jakiegoś dzieciaka, który chce się pobawić w policyjnego hakera. Mam nadzieję, że właśnie o to chodzi.

Brunetti postanowił nie pytać, co innego mogłoby to być. Zmienił temat.

– Chciałem poprosić o przysługę. – Potraktował jej spojrzenie jako zgodę, więc mówił dalej. – Czy mogłaby się pani przyjrzeć hrabinie Lando-Continui? Demetrianie. – Aby wyjaśnić, o co mu chodzi, wskazał ruchem głowy komputer.

Na twarzy signoriny Elettry odmalowało się zaciekawienie.

– Jeśli myślę o tej samej osobie, to jest już chyba po osiemdziesiątce.

– Owszem – odparł Brunetti. – To bliska przyjaciółka matki Paoli, więc muszę być bardzo ostrożny. Chce ze mną porozmawiać.

Twarz signoriny Elettry znowu rozjaśniła się ciekawością.

– Przypominam sobie dość mętnie, że w jej rodzinie stało się coś złego. – Umilkła, szukając w pamięci. – Z jej wnuczką. Dawno temu. Utopiła się czy coś takiego.

– Nic o tym nie wiedziałem – odrzekł zaskoczony Brunetti. – Vianello pamiętał, że zdarzyło się coś nieprzyjemnego, ale nie wiedział co.

– Utonięcie z pewnością jest nieprzyjemne.

– Tak, na pewno – zgodził się Brunetti, pomyślał o swojej rodzinie, ale postarał się szybko przestać. – Czy sprawdziłaby pani, czego więcej można się dowiedzieć?

– Oczywiście. Czy to pilne?

– Może zaczekać, aż znajdzie pani czas w przerwie polowania na pracowników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – odpowiedział.

Signorina Elettra skinęła głową i znowu oparła podbródek na dłoniach. Brunetti zobaczył, że zapada w trans, więc postanowił wrócić do swojego gabinetu.

3

Brunetti nie powiedział nikomu, dokąd się wybiera, i popłynął jedyneką do San Stae, a potem poszedł pieszo do Palazzo Bonaiuti, w którym mieszkała hrabina Lando-Continui. Drzwi od ulicy otworzyła pokojówka i poprowadziła go przez brukowany w jodełkę dziedziniec, gdzie pod wschodnią ścianą nadal kwitły chryzantemy.

Zewnętrzne schody na pierwsze piętro były zapewne w przeszłości wejściem do *palazzo*, a łby lwów na ich poręczach od stuleci już wygładzał czas, deszcz i dotyk dłoni. Pokojówka weszła do gigantycznego holu, przytrzymując skrzydło drzwi.

– Pani hrabina dołączy do pana w małej bibliotece – powiedziała i skręciła w korytarz. Zatrzymała się przy trzecich drzwiach z lewej i weszła bez pukania do środka. Brunetti poszedł za nią.

Przez ostatnie dziesięciolecia bywał w podobnych pokojach niezliczoną ilość razy. Ujrzał ciężkie mahoniowe stoły zastawione książkami i kwiatami w wazonach, portrety przodków pociemniałe ze starości, wysokie regały na książki, bez wątpienia niedotykane od czasów tychże przodków, oraz głębokie i niebezpiecznie niewygodne fotele.

Światło wpadało przez trzy okna na przeciwległej ścianie, ale Brunetti nie miał pojęcia, na którą stronę świata wychodzą. Za nimi, w pewnej odległości, zobaczył ceglana ścianę wysokiego *palazzo*, której zachodzące słońce nadało bardziej wyrazistą barwę. Błyskawiczne obliczenie odległości – zdolność posiadana rzekomo przez gołębie – pozwoliło Brunettiemu stwierdzić, że okna wychodzą na dziedziniec Fondaco del Megio. Podszedł do jednego z nich, żeby się upewnić, i zauważył, iż drzewa zaczęły zrzucać liście. Przycisnął twarz do szyby, by spojrzeć w lewo, gdzie, jak pamiętał, znajdowało się ukryte boisko.

– *Commissario?* – odezwał się za nim kobiecy głos.

Odwrócił się szybko, w drzwiach stała hrabina Lando-Continui. Była mniej majestatyczna niż poprzedniego wieczoru, ponieważ dzisiaj nie otaczały jej dowody doskonałego gustu, tak jak wczoraj, w wypożyczonych wnętrzach. Znowu się jej przyjrzał i zobaczył drobną starą kobietę w stonowanej niebieskiej sukience.

– Dzień dobry pani hrabino – powiedział. Wskazał okno. – Wydaje mi się, że grywałem kiedyś w piłkę w tamtym parku. – Spojrzała ku oknu, ale nie zrobiła kroku w jego stronę. – Dawno temu – dodał Brunetti z uśmiechem. Podszedł do niej, a ona podała mu rękę. Chociaż jego palce z łatwością objęły jej dłoń, uścisk miała silny.

Na twarzy mniej spiętej ten wyraz byłby przyjazny i życzliwy, ale Brunetti zobaczył tylko grzecznościowy uśmiech.

– Dziękuję, że zechciał pan się ze mną spotkać – powiedziała.

– To dla mnie prawdziwa przyjemność – odpowiedział odruchowo i szybko dodał, być może słysząc jeszcze echa pochlebstw, jakie padały wczoraj: – Chętnie pani pomogę, jeśli tylko będę w stanie.

– Donatella postąpiła niezwykle życzliwie, pozwalając mi zaprosić moich gości do jej domu. Mało kto w tym mieście postąpiłby podobnie. Jeszcze bardziej jestem jej wdzięczna za to, że zaprosiła pana i Paolę. – Kiedy Brunetti zaczął protestować, hrabina uniosła dłoń, by go uciszyć. – Obie bardzo ucieszyłyśmy się z waszej obecności – powiedziała, domyślając się ich oporów. – Chciałam, by moi pozostali goście, niebędący weneccjanami, mieli okazję poznać ludzi, których życie mogą uczynić lepszym dzięki swojej szczodrości.

Zanim Brunetti zdołał się odezwać, hrabina skinieniem ręki zaprosiła go na jeden z dwóch foteli, z których z łatwością można było wyglądać przez okna. Kiedy zajęli miejsca, zapytał:

– W jaki sposób lepszym?

– Będą inne weneckie dzieci i wnuki, z którymi pańskie będą mogły chodzić do szkoły, i być może całe to miasto nie upadnie tak szybko.

– Pozwolę sobie zauważyć, że trudno to uznać za optymistyczną perspektywę.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Kiedy się otworzyły, do biblioteki weszła ta sama pokojówka.

– Czy podać pani gościowi herbatę, pani hrabino?

Hrabina spojrzała na Brunettiego.

– Wolałbym kawę.

Pokojówka skinęła głową i zniknęła.

– Nie musi sobie pan na nic pozwalać, komisarzu – odparła hrabina, wracając natychmiast do ich rozmowy. – Nie patrzę na świat z optymizmem. Wydaje mi się, że to jedyny możliwy sposób patrzenia.

– A jednak zadaje sobie pani trud wydawania obiadu dla bogatych cudzoziemców z nadzieją, że wesprą pani fundację? – zapytał Brunetti.

– Donatella uprzedzała, że jest pan bezpośredni – zauważyła hrabina. – Podoba mi się to. Nie mam czasu do stracenia.

– Czy wczoraj traciła pani czas? – zapytał, choć to nie była jego sprawa.

– Nie, skądże. Bankier z przyjemnością do nas dołączy i obiecał sfinansować projekt renowacyjny.

– Chodzi o mozaikę? – zapytał Brunetti.

Hrabina otworzyła usta.

– Skąd pan to wie? – zapytała.

– Słucham tego, co mówią inni.

– Rzeczywiście – wyszeptała i zamknęła na moment oczy. – Po obiedzie, przy kawie, usłyszał pan ich rozmowę, tak?

– Trudno było jej nie słyszeć, pani hrabino – odparł Brunetti, ponieważ nie chciał, by uznała go za wścibskiego.

Roześmiała się głośno.

– Mówiła także, że nie jest pan głupcem.

– Nie mogę nim być, jeśli chcę przetrwać we własnym domu.

– Paola?

Brunetti skinął głową.

– Była niezwykle inteligentnym dzieckiem – powiedziała hrabina. – I wyrosła na niezwykle inteligentną kobietę.

Przerwali rozmowę, ponieważ ponownie weszła pokojówka. Postawiła na bocznym stole zastawioną tacę, przesunęła pomiędzy nich niski stolik, a następnie przeniosła na niego tacę i wyszła. Na tacy znajdowała się pojedyncza filiżanka kawy, srebrna cukiernica, łyżeczka, dwie niskie szklanki z grubo rżniętego kryształu oraz butelka whisky, której etykieta wprawiła Brunettiego w osłupienie.

Hrabina pochyliła się i podsunęła mu filiżankę, a następnie cukiernicę. Potem zerwała papierową banderolę z butelki i otworzyła ją. Nalała do jednej ze szklanek około dwóch centymetrów i bez słowa przechyliła butelkę w stronę Brunettiego.

Skinął głową, więc nalała taką samą ilość do drugiej szklanki.

Brunetti odsunął na bok tacy kawę i podniósł szklankę. Ten alkohol był zbyt cenny, by mówić coś tak banalnego jak *cin cin*, więc powiedział:

– *Alla Sua salute.*

– I za pańskie zdrowie – odpowiedziała hrabina i wypła łyk.

Brunetti zrobił to samo i pomyślał, że mógłby sprzedać wszystko i przeprowadzić się do Szkocji. Paola pracowałaby jako nauczycielka, a dzieci znalazłyby sobie jakieś zajęcie. Na przykład zebranie.

– O czym pani chciała ze mną rozmawiać, hrabino? – zapytał i pochylił się, by odstawić szklankę na tacę.

– Słyszał pan o mojej wnuczce? – zapytała.

– Wiem tylko, że miała wypadek wiele lat temu, ale usłyszałem o tym od współpracownika, a nie od kogoś z rodziny. – Postanowił pominąć to, że ktoś szukał teraz dalszych informacji.

Hrabina wzięła szklankę w obie dłonie.

– Nie musi pan bronić swojej rodziny – powiedziała. – Ale cieszę się, że pan to robi. – Wypła mały łyk. – Znam Donatellę od ponad czterdziestu lat i ufam jej przez większość tego czasu.

– Tylko większość? – zapytał Brunetti.

– Uważam, że zbyt pochopne jest obdarzanie zaufaniem ludzi, których nie znamy naprawdę dobrze.

Brunetti uniósł szklankę pod światło, by podziwiać kolor.

– Policjant we mnie mówi, że ma pani zapewne rację – powiedział i wypił łyżeczek. – To jest wyborne. – Odstawił szklankę na stolik. – Zakładam jednak, że zamierza mi pani zaufać. Skoro chce pani ze mną rozmawiać.

– Pije pan bardzo niewiele – zauważyła hrabina i postawiła szklankę obok, by pokazać, o ile więcej sama wypija.

– Uważam, że to, co ma pani do powiedzenia, będzie zasługiwało na większą uwagę niż ta whisky, nawet najdoskonalsza.

Hrabina wyprostowała się na fotelu i ścisnęła jego poręcz. Zamknęła oczy.

– Moja wnuczka doznała... szwanku piętnaście lat temu.

Brunetti usłyszał, że oddech hrabiny stał się cięższy i zaczął się zastanawiać, czy zaraz zasłabnie lub zemdleje. Cóż za dziwne słowo: „szwank”.

Minęła dłuższa chwila. Oddech hrabiny uspokoił się, rozluźniła uścisk na poręczach fotela. Brunetti właśnie wtedy zorientował się, że rozmawiali w dialekcie weneckim, nie w czystym włoskim. Odruchowo używał formalnego *lei*, ale od początku zwracał się do niej w dialekcie weneckim bez żadnego namysłu. To była większa poufałość niż użycie *tu*.

Hrabina otworzyła oczy.

– Miała piętnaście lat, prawie szesnaście – powiedziała.

– Jak to się stało?

– Wyciągnięto ją z kanału niedaleko jej domu, ale zbyt długo przebywała pod wodą. Nikt nie wie, jak długo, ale dostatecznie długo, by jej mózg doznał uszkodzeń. – Siłą woli utrzymywała spokojny i beznamiętny ton głosu. Ból był widoczny tylko w jej oczach, więc nie patrzyła prosto na Brunettiego.

Zdaniem Brunettiego weneccy piętnastolatkiowie byli rybami w całości lub przynajmniej częściowo. Poznawali wodę jako małe dzieci, spędzali wakacje

na plaży i w morzu, nurkowali ze skał w Alberoni, ścigali się po lagunie w łodziach przyjaciół.

– Czy wpadła sama do wody? – zapytał Brunetti.

– Tak właśnie stwierdziła policja, ale tego nie jestem już pewna – odparła hrabina i natychmiast wyjaśniła: – Nie jestem pewna, że to był wypadek.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Manuela panicznie bała się wody.

Brunetti uniósł brwi – oboje byli weneccjanami. Paniczny strach przed wodą?

– Kiedy była mała, omal nie utonęła – mówiła dalej hrabina. – Moja synowa zabrała ją na plażę w Lido, a ona oddaliła się i weszła do wody. Miała chyba cztery lata, na pewno nie więcej. Mężczyzna na plaży zobaczył, jak jej główka znika pod wodą, wbiegł do morza i wyciągnął ją. Zrobił jej sztuczne oddychanie i najprawdopodobniej uratował jej życie. Od tego czasu wody bała się panicznie.

– To ogromne utrudnienie, jeśli się mieszka tutaj – stwierdził Brunetti. W jego głosie była tylko troska, bez choćby cienia ironii.

– Wiem. Nie mogła sama wsiąść na *vaporetto*, ktoś musiał trzymać ją za rękę i musieli stać w środku, tuż przy drzwiach. Jeśli nie miała towarzystwa, szła piechotą.

– Czy to było możliwe? – zapytał Brunetti, zastanawiając się, jak skomplikowane stałoby się jego życie, gdyby musiał unikać łodzi.

– Tak. Chodziła piechotą do szkoły i do domów przyjaciółek, zawsze jednak unikając chodzenia przy kanałach. Jeśli tylko oddalała się kilka metrów od wody, wszystko było w porządku.

– A co z mostami? – zapytał.

– Nie stanowiły dla niej problemu. – Hrabina zauważyła zaskoczenie Brunettiego. – Wiem, że to brzmi dziwnie, ale mówiła, że może przez nie przechodzić, jeśli koncentruje się na stopniach pod nogami i nie widzi wody po bokach. Tego się właśnie bała, widoku wody.

– Czy musiała tutaj mieszkać?

– Nie, nie musiała, ale chciała. Jej rodzice byli rozwiedzeni, a mój syn ożenił się powtórnie. – Hrabina spojrzała na niego ze spokojem. – Mężczyźni zwykle tak robią – dodała, ale ponieważ Brunetti nie zareagował, kontynuowała: – Kiedy Manuela wpadła do kanału, mój syn miał już kolejną dwójkę dzieci, więc od dawna okoliczności były takie, że byłoby jej trudno mieszkać z nimi.

– Dlatego mieszkała z matką?

– Tak. Przy Campo Santa Maria Mater Domini. Nadal tam mieszkają.

– Czy tam właśnie mieszkała, kiedy... to się stało?

– Tak. Było jej lepiej z matką – odparła hrabina, chociaż w jej głosie nie brzmiało pełne przekonanie.

Brunetti nie wiedział, o co powinien zapytać. Trudno mu było uwierzyć, że dziewczyna tak skutecznie potrafiła sobie radzić ze swoim strachem. Jak to jest, widzieć coś, co cię przeraża, codziennie, mieć to wokół siebie po każdym wyjściu z domu?

– Strach musiał mieć wpływ na całe jej życie – powiedział.

– Kochała to miasto – odparła hrabina, jakby grała atutową kartę. – Mieszkała w nim od urodzenia, wszyscy jej przyjaciele byli tutaj, a poza tym... ja tutaj mieszkałam.

– Chodziła tutaj do szkoły?

– Tak – odpowiedziała hrabina i wymieniła nazwę szkoły w Santa Croce.

– Czy miała dobre relacje z matką?

Odpowiedź padła po dłuższej chwili.

– Zawsze tak zakładałam.

Taka odpowiedź niewiele mówiła, ale Brunetti postanowił na razie nie drążyć tematu.

– Nie jestem pewien, czego pani ode mnie oczekuje, hrabino – przyznał.

– Chciałabym, żeby pan sprawdził, czy mogło się coś stać... – powiedziała, machnęła ręką i zasłoniła oczy.

Brunetti odczekał bardzo długą chwilę, zanim zadał pytanie.

– Czy wie pani o jakichś problemach, jakie mogła mieć? Jakichś osobach, których chciałaby unikać?

– Nie – odparła natychmiast i z żarem.

Brunetti postanowił zostawić ten wątek.

– Pani hrabino – powiedział niemal takim tonem, jakiego używał, gdy jego dzieci wykręcały się od odpowiedzi. – Minęło piętnaście lat. Nie mogę się zająć tą sprawą, jeśli nie będę miał jakiegoś powodu lub czegoś, od czego mógłbym zacząć poszukiwania.

Potrzebowałyby także jakiegoś oficjalnego uzasadnienia tych poszukiwań, ale postanowił o tym nie wspominać.

Podniósł zbyt długo już ignorowaną szklankę i obrócił ją w dłoniach.

– Obawiam się, że pani podejrzenia mogą nie wystarczyć – powiedział, zmuszając się, by użyć słowa „podejrzenia”, a nie „mgliste przeczucia” – aby uzasadnić wznowienie śledztwa.

– Ona nie wpadła do wody – upierała się hrabina z wojowniczością typową dla starszego wieku i poczuciem pewności płynącym z bogactwa.

Brunetti wypił łyk, a potem jeszcze jeden, ale nie odstawił szklanki, ponieważ przypuszczał, że może być mu potrzebna.

– Pani hrabino, są pewne ewentualności, których nie wzięła pani pod uwagę – zaczął ostrożnie, ponieważ chciał uświadomić tej kobiecie, że ani jej miłość, ani majątek nie wystarczyłyby, by powstrzymać jej wnuczkę od wypadnięcia do wody pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Ale jak miał to powiedzieć? Jakich słów użyć?

– Manuela nie próbowała popełnić samobójstwa. Nie piła alkoholu i nie brała narkotyków.

Czy hrabina czytała w jego myślach?

– To brzmi, jakby była pani tego całkowicie pewna.

Był mężczyzną z dwójką dzieci, które nie tak dawno wkroczyły w ten sam niestabilny wiek. Były to szczęśliwe dzieci, dla których pomysł samobójstwa był czymś z innej planety, a od narkotyków trzymały się z daleka – takie było jego przekonanie, w czym zresztą nie różnił się od większości rodziców. Na

ile dobrze babka Manueli rozumiała dziewczynę dwa pokolenia od niej młodszą? Młodość i starość, wraz ze swoimi problemami, żyły w odmiennych światach.

– Nic nie zmusiłoby Manueli, żeby skoczyła do wody. Nieważne, co się z nią działo, gdyby znalazła się bliżej niż dwa metry od *riva*, leżałaby na ziemi i wymiotowała ze strachu. Widziałam to dwukrotnie. Raz byliśmy na *vaporetto*, które przechyliło się lekko, ponieważ stłoczeni ludzie przesunęli się nagle na jedną stronę. Zaczęła wrzeszczeć, uczepliła się stojącej obok niej kobiety i zwymiotowała jej na plecy.

Brunetti spróbował coś powiedzieć, ale hrabina nie dała mu dojść do słowa, na wpół unosząc się z fotela.

– Za drugim razem, gdy miała jakieś jedenaście lat, chłopak z jej klasy czekał na nią po szkole. Ten głupi mały sadysta wiedział, że ona się boi wody, więc kiedy szła przez Campo Santa Marina, razem z kolegą chwycili ją i pociągnęli w stronę kanału, zapowiadając, że zamierzają ją do niego wrzucić.

Brunetti czekał.

– Dostała czegoś w rodzaju ataku padaczki. Na szczęście to się zdarzyło w pobliżu szpitala, więc dwóch mężczyzn ją tam zaniósł. Spędziła tam dwa dni.

Brunetti nie potrafił znaleźć słów, by skomentować tę grozę oraz furię hrabiny, widoczną nawet po dwudziestu latach.

– Wie pan, co było najgorsze, signor Brunetti?

Potrząsnął głową i odstawił szklankę na stół – nagle stracił zainteresowanie jej zawartością.

– Przewiezienie jej do domu. – Zobaczyła wyraz jego twarzy i rozwinęła myśl. – Taksówką? – Roześmiała się na sam ten absurdalny pomysł. – Proszę pomyśleć o trasach *vaporetti*. Jak dostać się na Campo Santa Maria Mater Domini ze szpitala? Trzeba opłynąć wyspę od tyłu, żeby dostać się na stację kolejową, a następnie przejść otwartym nabrzeżem, żeby przesiąść się z jednej łodzi do drugiej. Cały czas widząc wodę. – Umilkła, a Brunetti

pomyślał, że czeka na jego propozycję rozwiązania tej skomplikowanej kwestii.

– Co zrobiliście?

– Posadzili ją na takim krześle, jakiego sanitariusze używają, żeby nosić ludzi po schodach, a potem dwóch z nich, właściwie czterech, bo musieli się zmieniać, przyniosło ją do domu ze szpitala.

Brunetti popchnął szklankę jednym palcem, przesuwając ją na bok tacy. Nie przychodziło mu do głowy nic, co należałoby powiedzieć.

– Proszę pomyśleć, jak to odczuwała jedenastoletnia dziewczynka z zamkniętymi oczami. Niesiono ją przez miasto na krześle, jak kalekę staruszkę albo jakąś wariatkę zabieraną do Palazzo Boldù, a wszyscy mijani przechodnie patrzyli na nią i zastanawiali się, co jej jest. – Hrabina dała Brunettiemu chwilę na zastanowienie się nad tymi słowami. – Dlatego właśnie wiem, że Manuela nie skoczyła do wody, *commissario*.

Brunetti postanowił nie mówić, że pozostawała możliwość, iż dziewczyna wpadła do wody pijana lub pod wpływem narkotyków.

Hrabina popatrzyła na niego ponad stołem. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, co pozwalało Brunettiemu widzieć ją jako kompozycję oczu, nosa, ust, szczęki, podbródka. Liczba lat, jakie musiały upłynąć od chwili, gdy uchodziła za piękność, do dnia dzisiejszego, zaskoczyła go. Gdy sam był dzieckiem, ona była kobietą z dziećmi w jego wieku lub starszymi.

– Nie tylko jej lęk, fobia, jeśli pan woli takie słowo, sprawiały, że było nieprawdopodobne, by wpadła do wody – powiedziała.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Mężczyzna, który ją wyciągnął...

Z głębi umysłu Brunettiego napłynęło mgliste wspomnienie. Mężczyzna skoczył do wody, by ratować dziewczynę. Tak... coś... coś... ale co to było?

– Mężczyzna, który ją uratował, powiedział, że widział, jak ktoś ją wpycha lub wrzuca do wody.

– Komu to powiedział?

– Wam – odparła ledwie skrywanym oskarżycielskim tonem.

– Z całym szacunkiem, pani hrabino – powiedział Brunetti. – Wydaje mi się, że musi się pani mylić.

– Nie, nie panu osobiście. Policji, która przybyła na miejsce. Wyciągnął ją z wody, ale był zbyt pijany, by zrobić cokolwiek poza wołaniem o pomoc. Inny młody człowiek zrobił jej sztuczne oddychanie, ale wtedy zniszczenia już się dokonały. – Do tego stopnia poniosła ją własna opowieść, że zacisnęła dłonie w pięści i uderzyła nimi o siebie. – To ten drugi mężczyzna, młodszy, wezwał policję. Kiedy przyjechali, pierwszy mężczyzna leżał na chodniku i spał. Policja go знаła. Był miejscowym pijaczkiem, a kiedy go obudzili, był nadal tak pijany, że nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa ani znaleźć swojego portfela. Powiedział policji, że widział mężczyznę z dziewczyną i że to wyglądało, jakby on ją wepchnął lub wrzucił do wody.

– Co zrobiła policja?

Hrabina rozprostowała palce i złożyła dłonie na kolanach.

– Zabrali ich oboje, jego i Manuele, do szpitala. Kiedy obudził się rano, przypomniał sobie swoje nazwisko. – Brunetti myślał już, że hrabina zakończyła opowieść, ale dodała z ogromnym smutkiem: – Jednakże ona nie przypomniała sobie swojego.

Westchnęła tak głęboko, że Brunetti zobaczył, jak jej pierś unosi się i opada.

– Okazało się, że to wszystko, co pamiętał. Gdy zapytali go o tamtego mężczyznę, powiedział, że był tam ktoś jeszcze, ale wie tylko, że był to mężczyzna. Policja uznała, że miał na myśli młodego człowieka, który pomógł Manueli.

– Co jeszcze mówił?

– Że zobaczył w wodzie kształt przypominający człowieka, więc zanurkował, by go wyciągnąć.

– To bardzo odważne z jego strony – powiedział Brunetti, przypomniał sobie jednak lekkomyślną brawurę pijanych.

– Tak – zgodziła się z wahaniem hrabina, jeszcze bardziej niż on niepewna prawdziwości tego stwierdzenia. – Zarówno on, jak i Manuela byli

w szpitalu, gdy tam przyjechałam. Poszłam mu podziękować i powiedziałam mu, że jestem jej babką.

Brunetti obserwował, jak hrabina przypomina sobie tę scenę.

– Poprosił mnie o pieniądze.

– Dała mu je pani?

– Oczywiście.

– Ile?

– Miałam w torebce kilkaset euro, które mu dałam. – Zanim Brunetti zdążył się odezwać, zaczęła mówić dalej. – Kiedy zapytałam o niego policję, chyba kilka tygodni później... To było już po tym, jak lekarze nam powiedzieli, że Manuela poniosła nieodwracalne szkody na zdrowiu... – Jej głos zamarł. Otarła czoło palcami prawej dłoni i spojrzała na Brunettiego. – Przepraszam, o czym mówiłam?

– Mówiła mi pani, co zrobił z pieniędzmi, które dostał.

– Policja powiedziała mi, że nie wytrzeźwiał przez miesiąc. Powiedzieli mi, że to pijak i że bym nie wierzyła w nic, co mi mówił, ponieważ starał się tylko dostać więcej pieniędzy. – Zaskoczyła Brunettiego, wzruszając ramionami. Nie potrafił powiązać tego gestu z jej słowami. – Dopiero później dowiedziałam się, co mówił o tamym mężczyźnie.

– Policja pani powiedziała?

Odpowiedź padła po dłuższej przerwie.

– W pewnym sensie.

– To znaczy?

– *Questore* był bliskim przyjacielem mojego męża. To on mi powiedział, co było w pierwszym raporcie policyjnym i o tym, że ten mężczyzna nie pamiętał niczego, kiedy się obudził. Policja była zdania, że to tylko pijackie delirium.

– Uwierzyła mu pani?

– Nie miałam powodów, by mu nie wierzyć.

– A teraz?

Pogładziła pluszowe obicie poręczy fotela.

– Teraz chciałabym mieć pewność.

Ostatnio pojawiało się tyle doniesień o brutalności policji i celowym zacieraniu śladów, że Brunetti postanowił oszczędzić im obojgu krępującej sytuacji i nie zapytał, co sprawiło, że hrabina zmieniła zdanie.

– Czy *questore* powiedział pani coś jeszcze na temat tego mężczyzny?

– Tylko tyle, że uratował jej życie i był pijany. To samo, co już wcześniej usłyszałam od policji.

Brunetti nachylił się do niej i uniósł dłoń.

– Proszę pozwolić, że zapytam, czego dokładnie pani ode mnie oczekuje?

Hrabina złożyła dłonie na kolanach, splotła palce i popatrzyła na niego.

Brunetti podniósł szklankę. Przyglądał się powierzchni alkoholu i powtarzał sobie, że pozostanie nieruchomy, dopóki hrabina się nie odezwie. Niezależnie od tego, ile potrwa milczenie, zmusi ją, by powiedziała, czego chce.

Ktoś przeszedł za zamkniętymi drzwiami. Brunettiemu przez moment wydawało się, że słyszy tykanie swojego zegarka, ale uznał to za niemożliwe.

Usłyszał, że hrabina poruszyła się niespokojnie w fotelu, ale nie spojrzał na nią.

– Chcę odzyskać moją wnuczkę – powiedziała głosem, w którym rozpacz przerodziła się już w męczarnię.

Gdy Brunetti spojrział na hrabinę, ze zdziwieniem zobaczył, że wydawała się teraz mniejsza. Zapadła się głębiej w fotel, jej stopy nie dotykały podłogi, a po obu stronach pleców widać było szerokie oparcie.

– Obawiam się, że tego nie będę mógł sprawić, hrabino. Wiedza o tym, co się wydarzyło, nic nie zmieni.

– Nic nie pomogło przez piętnaście lat – powiedziała hrabina ochryłym głosem. Jak uparte dziecko nie chciała na niego spojrzeć, jakby ignorując jego wzrok, mogła zignorować niewykonalność swojego żądania.

– Przykro mi. – Brunetti nie potrafił wymyślić nic stosowniejszego.

Kiedy w końcu na niego spojrzała, postarzała się jeszcze bardziej. Jej oczy straciły blask, usta stały się mniejsze, przygarbiła się, jakby jej plecy nie miały już dość siły, by utrzymać się prosto. W jej słowach był zaślepiony upór bardzo starych ludzi. Istniały pewne rzeczy, które chcieli osiągnąć, zanim odejdą, i uważali, że jeśli im się to uda, będzie im łatwiej rozstać się z tym światem. Brunetti był gotów przyznać, że być może tak jest, ale musiał też dodać, że nie w każdym przypadku.

Nie wydawało mu się, by hrabinie chodziło o zemstę. Może uważała, że samo poznanie prawdy o tym, co stało się z jej wnuczką, złagodzi ból. Brunetti wiedział, jak złudne było takie przeświadczenie. Gdy tylko ktoś dowiadywał się, co się stało, chciał wiedzieć, dlaczego, a potem – kto.

Nieomal mimowolnie przeszedł od zainteresowania tą młodą dziewczyną i jej dziwnymi losami do pragnienia poznania okoliczności, a jeśli to możliwe, także przyczyny zdarzeń. Pomiedzy wagą tej decyzji a szybkością, z jaką do niej doszedł, istniała wyraźna dysproporcja, jednak na razie postanowił to zignorować. Nie zastanawiał się nad tym poważnie i nie próbował oszacować, czego by to od niego wymagało. Stara kobieta znalazła

się w potrzebie, więc zareagował tak samo odruchowo, jak wówczas gdyby ją łąpał, żeby uchronić przed upadkiem ze schodów. Miłość, jaką żywił do swojej matki, była bezrefleksyjna, gorąca i opiekuńcza, podobnie jak jego miłość do żony i dzieci. Bo czyż miał inny wybór?

Zobaczył, że hrabina sięga po butelkę, i poczuł, że jego determinacja zaczyna słabnąć. Nie zgodził się na nic i miał jeszcze czas, by zmienić zdanie, powiedzieć, że nie jest w stanie pomóc. Wtedy jednak hrabina nałożyła z powrotem zakrętkę i odstawiła butelkę na brzeg tacy.

Wydawało się, że odzyskała częściowo siły i zaczęła przypominać pewną siebie gospodynię wczorajszego obiadu, jakby przyznanie się do niespełnialnego pragnienia pozbawiło ją słabości złudzeń.

– Mam osiemdziesiąt sześć lat – powiedziała. – Nie wiem, ile lat mi jeszcze zostało. – Wzruszyła ramionami na myśl o tym. – Zanim umrę, chciałabym się dowiedzieć, co się stało. Wiem, że to nie pomoże Manueli i nie da jej drugiej szansy na stanie się kobietą, jaką mogłaby być. Ale chcę umrzeć ze spokojnym sercem.

Brunetti siedział nieruchomo i bez słowa, starając się nie okazywać niczego poza uwagą. Chciał i musiał ją teraz zrozumieć.

– Powiedziałam panu, że samobójstwo nie wchodzi w grę. – Zaczerpnęła dwa razy powietrza. – Jednakże nie jestem tego pewna. Nigdy tak do końca nie byłam. Manuele coś zaczęło dręczyć, zniknęła jej radość życia. Nie chciałabym umrzeć z myślą, że jestem w jakimś stopniu odpowiedzialna za to, jaka jest teraz. Muszę to wiedzieć – zakończyła bez cienia melodramatyzmu, ze spokojną pewnością.

Kiedy stało się jasne, że skończyła mówić, Brunetti zapytał:

– Czy wie pani, co takiego mogło ją dręczyć?

Hrabina spuściła wzrok na swoje dłonie, a on pomyślał o tym, jak jego własne dzieci pochylają głowy, gdy jest zmuszony je za coś skarcić.

– Coś w jej życiu szło nie tak, ale nie wiem, co to było. – Hrabina wyjęła z kieszeni sukienki białą chusteczkę i wytarła nos, ale nie spojrzała na Brunettiego. – Jej matka zauważyła, że jest smutna i w złym humorze, ale

uznała, że to normalne u dziewczyny w tym wieku. – Odwróciła wzrok, a potem popatrzyła na Brunettiego. – Myślę, że chciałam w to wierzyć.

– Czy tylko tyle powiedziała pani jej matka? – zapytał Brunetti.

– Poprosiła mnie o pieniądze, żeby zabrać Manuełę na wizytę do psychologa. – Hrabina odchrząknęła i dokończyła głosem ostrym od powracającego gniewu. – Powiedziałam jej, że może zapłacić psychologowi z pieniędzy, którymi płaciła za lekcje jazdy konnej Manueli. Albo sprzedać jej konia.

Hrabina odetchnęła gwałtownie, jakby przeraziło ją to, co właśnie powiedziała, i zamknęła oczy, żeby poczekać, aż jej emocje opadną.

Brunetti siedział i czekał na nią i z nią.

– Podarowałam im mieszkanie przy Campo Santa Maria Mater Domini, wiele lat temu, kiedy byli jeszcze małżeństwem. Zatrzymała je po rozwodzie. – Hrabina mówiła cichym, napiętym głosem. – Przekazywałam jej co miesiąc pieniądze. Płaciłam rachunki jej i Manueli. Płaciłam za konia, za lekcje, za stajnię, nawet za paszę dla konia. Kiedy jej matka poprosiła mnie o więcej, coś we mnie pękło i odmówiłam. – Spojrzała na Brunettiego w oczekiwaniu odpowiedzi.

– Rozumiem – powiedział Brunetti.

– Po tym, co się stało, jej matka powiedziała mi, że stan Manueli się pogorszył, ponieważ nie była u specjalisty. – Hrabina milczała przez chwilę, po czym przyznała: – Później dowiedziałam się, że mój syn dał jej pieniądze, ale ona nie wysłała Manueli do psychologa.

Brunetti zrozumiał, że niczego więcej się na ten temat nie dowie.

– Widziała ją pani na krótko przed wypadkiem?

– Nie. Za każdym razem, kiedy dzwoniłam, jej matka mówiła mi, że Manueli nie ma w domu.

– Jak długo to trwało?

– W końcu, mniej więcej tydzień przed wypadkiem, pozwoliła mi porozmawiać z Manuełą przez telefon. – Hrabina zaplotła ręce na piersi, jakby w pokoju nagle zapanował dotkliwy chłód. – Zapytałam, co u niej,

a ona powiedziała, że wszystko w porządku. Potem zapytała, co u mnie, a ja odpowiedziałam to samo. Ale jej głos nie brzmiał, jakby wszystko było w porządku. Brzmiał, jakby coś było bardzo nie tak.

– Co było potem?

– Tydzień później syn zadzwonił do mnie w środku nocy, żeby powiedzieć mi, co się stało. – Hrabina spojrzała na sufit i pokiwała głową, potwierdzając coś, czego Brunetti nie wiedział.

– Czyli nie widziała się z nią pani, zanim to się stało?

– Nie.

Brunetti wyjął notes i otworzył go.

– Poprosiłbym o numer telefonu pani synowej i pani własny – powiedział. Podała mu oba numery z pamięci, więc je zapisał. – Czy zna pani imiona jakichś przyjaciół Manuela, ludzi, których wtedy znała lub z którymi chodziła do szkoły? Czy miała jakichś chłopców?

Kiedy zastanawiał się, co jeszcze mogłaby mu powiedzieć, hrabina odparła:

– O te sprawy musi pan zapytać jej matkę. Wydaje mi się, że Manuela zerwała kontakty z przyjaciółmi. – Usłyszała własne słowa i poprawiła się: – Albo też oni przestali się z nią kontaktować.

Dawniej uważał, że inni, w szczególności rodzice, zauważyliby nietypowe zachowanie swojego dziecka, ale przekonał się już, że często tak się nie działo. Większość ludzi stawała się spostrzegawcza dopiero z perspektywy czasu.

– W jakich stosunkach pani z nią jest?

– Z moją synową? – zapytała hrabina. – Z moją byłą synową? – poprawiła się natychmiast. Zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią. – To zależy od dnia.

Brunetti omal się nie roześmiał, tak dziwnie zabrzmiała ta uwaga w tej pełnej powagi rozmowie, ale hrabina mówiła szczerze, boleśnie szczerze.

– Z jakich powodów?

– To także zależy od dnia – odparła tonem, w którym usiłowała brzmieć

troska. – To może być depresja albo lekarstwa, które na nią bierze, albo też alkohol. Dla mnie to bez znaczenia. Dzwonię do niej, kiedy chcę się zobaczyć z Manuelą i pójść z nią na spacer albo zaprosić ją tutaj na popołudnie. – Umilkła. Brunetti podejrzewał, że zastanawia się, ile powinna zdradzić. – Mieszka z nimi kobieta, Alina, Ukrainka, która kiedyś pracowała u mnie. Zajmuje się Manuelą. – Dodała jeszcze: – Manueli jest tam lepiej. Mieszkała z matką po rozwodzie i wyraźnie ją uspokaja przebywanie z nią. W domu, który dobrze zna.

– Czy go pamięta?

– Tak się wydaje. Ale zdarza się, że zapomina ludzi, a potem znowu ich sobie przypomina, ponieważ traktuje ich bardzo serdecznie. – Na twarzy hrabiny pojawiło się coś, czego Brunetti nie zdążył rozpoznać. – Zupełnie jakby przypominała sobie uczucia, nawet jeśli nie pamięta danej osoby.

– Bardzo mi przykro. – Znów mógł powiedzieć tylko tyle.

Hrabina zaskoczyła go, odpowiadając całkiem naturalnie:

– Dziękuję.

Pomyślał, że w tym momencie nie ma sensu rozmawiać z dziewczyną. Prawdopodobnie aż do czasu, gdy dowie się więcej o niej lub o tym, jaka była, zanim... zanim doznała szwanku. W tym momencie przygniotła go świadomość, że nie ma pojęcia, ile ta dziewczyna rozumie z tego, co się do niej mówi.

Przewrócił kartkę w notatniku.

– Jak się nazywał mężczyzna, który wyciągnął ją z wody? – zapytał.

– Pietro Cavanis – odpowiedziała hrabina. – Jestem pewna, że współpracownicy panu o nim opowiedzą.

Brunetti podziękował jej uśmiechem.

– Porozmawiam z nimi jutro. Czy on nadal mieszka w Santa Croce?

– Nie wiem. Nigdy więcej z nim nie rozmawiałam.

Wydało mu się to dziwne, ale nic nie powiedział. Nie miał więcej pytań, w każdym razie takich, które chciałby zadać teraz.

– Gdybym potrzebował znowu z panią porozmawiać...?

– Zawsze jestem tutaj – odparła hrabina. – Chyba że idę się spotkać z Manuelą. – Przez chwilę milczała. – Cóż, częściej się zdarza, że to Manuela mnie odwiedza. – Jej twarz odmienił uśmiech tak zaskakująco ciepły, że Brunetti poczuł się zmuszony odwrócić wzrok.

– Czy ona potrafi tu sama przyjść? – zapytał, trochę zawstydzony swoimi słowami.

– Moja pokojówka, Gala, przyprowadza ją tutaj. Pracuje u mnie od lat i zna Manuelę od maleńkości.

Brunetti zamknął notes i schował go do kieszeni.

– Wydaje mi się, że mam dostatecznie dużo na początek – powiedział i wstał. Zazwyczaj po rozmowie dziękował osobie, która udzieliła mu informacji, ale w tym przypadku wydało mu się to niestosowne.

Schylił się i ucałował wyciągniętą rękę hrabiny, po czym wyszedł z pokoju. Pokojówka, która siedziała na krześle na końcu korytarza, odprowadziła go do bramy *palazzo*.

Dokładnie w momencie, gdy Paola postawiła wieczorem na stole salaterkę z *paccheri con tonno*, Chiara zagadnęła ojca:

– Czy mogę ci zadać pytanie?

W oczekiwaniu na odpowiedź wzięła łyżkę i nałożyła sobie skromną porcję, a potem spojrzała na Brunettiego.

– Nie możesz mi zadać odpowiedzi, prawda? – odparł, używając słów, które na przestrzeni lat stały się częścią rodzinnych rytuałów konwersacyjnych oraz pułapką, w którą dzieci nadal bezwiednie wpadały. Stanowiły zemstę Brunettiego za prześladowania, jakie go spotykały ze strony jego ekologicznie myślącego potomstwa, dobijającego się gwałtownie do drzwi łazienki, kiedy zaczynał drugą minutę prysznic. Oni mogą dbać o środowisko, a on bardzo chętnie zajmie się logiką.

Poirytowana Chiara przewróciła oczami.

– O co chcesz zapytać? – spytał Brunetti.

– O prawo.

– Powiedziałbym, że to szeroki temat – wtrącił Raffi z drugiej strony stołu.

Chiara zignorowała brata, opuściła głowę i skoncentrowała się na makaronie. Paola rzuciła Raffiemu lodowate spojrzenie.

– To o co chodzi z tym prawem? – zapytał Raffi, a ponieważ siostra nadal nie zamierzała na niego patrzeć, dodał: – Tak dokładniej?

Uśmiechnął się do Paoli, żeby udowodnić czystość swoich intencji.

Chiara spojrzała na matkę, która nakładała sobie makaron, a potem na siedzącego naprzeciwko brata, jakby starała się oszacować szczerść jego pytania.

– Zastanawiałam się, czy proszenie ludzi o pieniądze na ulicy jest

niezgodne z prawem.

Brunetti odłożył widelec.

– To zależy – odparł.

– Od czego? – spytała Chiara.

– Od tego, kto cię wysłał, żebyś o nie prosiła – odpowiedział po chwili namysłu.

– Możesz mi dać jakieś przykłady? – poprosiła.

– Jeśli pracujesz dla Lekarzy bez Granic i masz odpowiednie pozwolenie, wtedy możesz prosić o pieniądze. Albo jeśli należysz do organizacji charytatywnej, takiej jak AVAPO, sprzedajesz pomarańcze, żeby za uzyskane pieniądze zapewniać opiekę domową pacjentom z nowotworami, i masz zgodę na ustawienie straganu na Campo San Bortolo, to wtedy też ci wolno to robić.

– A jeśli to nie jest żaden z tych przypadków? – zapytała Chiara, zapomniawszy o obiedzie.

Brunetti musiał nad tym chwilę pomyśleć.

– Wtedy, jak sędzę, jest to uznawane za żebractwo.

– Co to oznacza? – wtrąciła Paola, nagle zainteresowana tematem.

– To oznacza, że robisz coś, czego prawo, mówiąc najprościej, nie pochwała. Ale nie łamiesz prawa. – Dopiero kiedy to powiedział, Brunetti uświadomił sobie, jak absurdalnie to zabrzmiało.

– To prawdziwe prawo czy prawo na niby? – zapytała Chiara.

Chociaż Brunetti wiedział doskonale, co miała na myśli, czuł się w obowiązku zapytać:

– Co rozumiesz przez „prawo na niby”?

– *Papà*, nie próbuj być taki oficjalny. Wiesz doskonale, o czym mówię: prawo, które jest prawem, ale nikt nie zwraca na nie najmniejszej uwagi. – Chiara potrząsnęła przecząco głową, gdy Paola chciała jej nałożyć więcej makaronu.

Brunetti pomyślał o tym, jak często dzieci mówią prawdę, której dorośli

powinni zaprzeczyć. Wraz z kolegami z pracy od dawna przywykł do tego, że niektóre przepisy prawne pełniły funkcję dekoracyjną, a nie praktyczną. Ludzie aresztowani za kradzież lub użycie przemocy byli zabierani do komendy, gdzie stawiano im zarzuty, cudzoziemcom mówiono, że mają opuścić kraj przed upływem określonej liczby dni, a następnie ich wypuszczano. Aresztowano ich tydzień później za to samo przestępstwo i od nowa puszczano w ruch karuzelę, na której znajome konie kołysały się w górę i w dół przy każdym obrocie.

Wyczuł właściwy moment, gdy Paola uległa swoim impulsom, by narobić kłopotów, jeśli to możliwe.

– Tak jak prawo dotyczące...

– Tak jak właśnie mówiłem Chiarze – przerwał jej w pół słowa – to coś pomiędzy legalnością i nielegalnością. Jeśli zaczepiasz ludzi na ulicy i prosisz o pieniądze, to nie jest przestępstwo, chociaż jest to wykroczenie. Ale jeśli wysyłasz nieletnich, żeby żebrali o pieniądze, popełniasz przestępstwo.

Brunetti powiedział to tonem, jakiego używał podczas udzielania oficjalnych wyjaśnień, i miał nadzieję, że to wystarczy.

Chiara nie dawała jeszcze za wygraną.

– Co się może z tobą stać, jeśli prosisz o pieniądze?

– To *contravvenzione* – odparł, starając się, by to słowo zabrzmiało odpowiednio poważnie. Nie przestępstwo, ale naruszenie prawa, pomyślał. Czy Chiara zrozumie to rozróżnienie? Czy sam je rozumiał?

– Czy to znaczy, że nic ci nie grozi, jeśli to robisz? – zapytała Chiara.

Brunetti bez pośpiechu skończył makaron i popatrzył na Paolę.

– Co na drugie danie? – zapytał z nadzieją, że Chiara zajmie się myślą o dalszym jedzeniu.

– Czy tak jest, *Papà*? – powtórzyła pytanie.

– Cóż – odparł najbardziej salomonowym tonem. – Wobec osoby, która tak robi, zostaną podjęte sankcje administracyjne.

– To tylko taki termin – odparła szybko Chiara. – To nic nie znaczy.

– Policja wciągnie cię wtedy do kartoteki – wyjaśnił Brunetti.

– Ale tobie nic nie grozi – upierała się.

Przez cały ten czas Raffi patrzył to na siostrę, to na ojca, jakby obserwował lotkę badmintona. Paola odsunęła krzesło, zebrała talerze i zaniósła je do zlewu. Brunetti wypił łyk wina.

– Dlaczego tak cię to interesuje? – zapytał w końcu.

– Może szuka sposobu, żeby pozyskać dodatkowe kieszonkowe? – podsunął Raffi. – Dlatego chce wiedzieć, czy zostanie aresztowana.

Jego siostra chwyciła serwetkę i trzepnęła nią w jego kierunku. Paola odwróciła się na ten dźwięk, ale tymczasem serwetka znowu znalazła się na kolanach Chiary, która piła teraz wodę.

Chiara popatrzyła na ojca, potem na matkę, a potem znowu w swój talerz. Brunetti czekał, a Paola przy kuchni zaczęła nakładać jarzynę do dwóch ceramicznych misek.

– Jest taki jeden z tych nowych Afrykanów – zaczęła w końcu Chiara, po czym umilkła na dłuższą chwilę. – Zatrzymuje nas wszystkie i prosi o pieniądze. Codziennie, czeka zawsze, kiedy wychodzimy ze szkoły.

– Co to znaczy „nowi” Afrykanie? – zapytała Paola podniesionym głosem.

– Nie tacy jak *vu cumprà* – wtrącił Raffi.

Brunetti spodziewał się, że Chiara zaprotestuje, ale skinęła tylko twierdząco głową. Na przestrzeni lat Brunetti, podobnie jak większość weneccjan, przywykł do obecności senegalskich imigrantów, nazywanych przez wszystkich w mieście *vu cumprà*, chociaż polityczna poprawność wymagała, by mówić o nich *venditori ambulanti*. Brunetti starał się używać tej grzecznej formy, ale stale o tym zapominał, więc ostatecznie tak jak wszyscy zaczął się posługiwać pierwotnym określeniem.

– Nadal nie rozumiem – powiedziała Paola.

Chiara i Raffi wymienili przeciągłe spojrzenia, jakby pytali siebie nawzajem, czy rodzice mieszkają w tym samym mieście co oni.

– Ci, których mam na myśli, są tu od jakiegoś roku – powiedziała w końcu Chiara. – Są inni.

– Pod jakim względem? – zapytała Paola.

– Agresywni – wyjaśnił Raffi i spojrzał na Chiare w poszukiwaniu potwierdzenia. – Przynajmniej ci, których widziałem.

Chiara skinęła głową.

– *Vu cumprà* mieszkają tu od dawna. Wszyscy mówią po włosku i znają większość z nas. Dlatego możemy z nimi żartować i nie ma znaczenia, jeśli niczego nie kupimy, mimo to są życzliwi – powiedziała, co potwierdziło obserwacje Brunetti dotyczące senegalskich handlarzy ulicznych.

– A ci nowi? – spytała Paola i pochyliła się, by wyjąć półmisek z piecyka.

Chiara oparła podbródek na ręce, czego nie wolno jej było robić przy stole. Brunetti to zignorował, a Paola nie zauważyła.

– Zimno mi na jego widok – powiedziała w końcu, jakby przyznawała się do zbrodni. – Wiem, że nie powinnam tak mówić o imigrantach, ale ten facet jest inny. Jest taki bardziej złowrogi, a czasem kładzie nam rękę na ramieniu. – Podniosła głos, jakby się broniła. – *Vu cumprà* nigdy tak nie robią. Nigdy.

Siedzący przodem do kuchenki Brunetti wymienił spojrzenie z Paolą, która nagle znieruchomiała i zaczęła się uważnie przysłuchiwać. Nie podobała mu się myśl o tym, że jakikolwiek mężczyzna bez pozwolenia kładzie rękę na ramieniu jego córki. Zdawał sobie sprawę z tego, jak atawistyczna jest to reakcja, i nie obchodziło go to w najmniejszym stopniu.

– W ten sposób prosi o pieniądze? – zapytał najspokojniejszym ze spokojnych tonów.

– Tak.

Brunetti wziął widelec, żeby zająć się czymś, kiedy się będzie nad tym zastanawiać. Spojrzał na stół i z zaskoczeniem zobaczył, że jego talerz zniknął. Gdy wpatrywał się w puste miejsce, zostało ono nagle zapełnione, ponieważ Paola ustawiła przed nim żółte papryki nadziewane mięsem i serem ricotta.

Kiedy wszyscy dostali swoje porcje, a Paola znowu usiadła przy stole, Brunetti zjadł próbny kęs. Zjadł jeszcze trochę i właśnie miał się odezwać, kiedy Raffi oznajmił tonem, w którym irytacja mieszała się z rozbawieniem:

– U nas są ci od narkotyków, ale oni nas ignorują. Interesują ich tylko turyści.

– Jacy od narkotyków? – zapytała Paola głosem napiętym od z trudem opanowanego strachu.

Raffi odwrócił się do niej i uniósł rękę.

– Spokojnie, *Mamma*. Źle się wyraziłem, to są przeciwnicy narkotyków.

Brunetti spojrzał na Paolę i zobaczył, że na jej twarzy pojawił się wyraz życzliwej ciekawości, który znalazł odzwierciedlenie także w jej głosie.

– No to są za czy przeciw, Raffi?

Z całą pewnością ten spokojny głos nie mógł należeć do matki nastolatka, który właśnie wyraził się tak beztrosko o narkotykach.

– Och, oni mówią, że są ich przeciwnikami – wyjaśniła Chiara. – Ale wystarczy na nich popatrzeć.

– Na ich zęby – dodał Raffi, co przypomniało Brunettiemu o tym, co widział na skrzywionych twarzach narkomanów, którzy trafiali do komendy po drodze do więzienia, a także o tym, co można było zobaczyć na zdjęciach robionych, gdy byli rejestrowani.

Chiara z wyraźną ulgą przyjęła to, że nie musi już wyrażać się źle o afrykańskim imigrancie. Pochodziła z pokolenia przesiąkniętego ewangelią tolerancji i wierzyła w grzeszną naturę każdej krytyki wobec osób, które miały w życiu mniej szczęścia niż ona.

Brunetti pomyślał, że zna ludzi, o których mówiły jego dzieci, widywał różne ich grupki w mieście, zawsze w miejscach najbardziej uczęszczanych przez turystów. Obojga płci, w nieokreślonym wieku, nosili na szyjach jakieś oficjalnie wyglądające identyfikatory, które, jak zakładał, dawały im prawo do stania w miejscu publicznym i proszenia o pieniądze – tak jak ludziom z AVAPO czy wolontariuszom Lekarzy bez Granic. Myśl, że klasyfikuje ich we wspólnej kategorii z tymi dwoma grupami, była dla Brunettiego leciutko niekomfortowa, jakby łączył sól z cukrem i miodem. Chociaż pobudzili jego ciekawość, nigdy nie przykuli uwagi. Zawsze ich mijał, zostawiając ich na łasce turystów, albo raczej turystów na ich łasce.

Paola zapytała, czy ktoś chce dodatkową paprykę. Kiedy wszyscy odmówili, zainteresowała się:

– Czy mogłabym się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Jej głos był spokojny, zdradzający zaciekawienie, bez cienia podejrzliwości.

Chiara i Raffi znowu wymienili spojrzenia, żeby ustalić, kto będzie mówić pierwszy. Chiara pokręciła głową, więc odezwał się Raffi.

– Widziałem ich kiedyś pod bazyliką Frari. Zaczepiali ludzi i pytali, czy chcieliby coś zrobić dla zwalczania narkotyków, a jeśli mówili, że tak – zatrzymywali się tylko turyści – prosili ich, żeby coś podpisali, jakąś petycję, a potem dalej coś do nich mówili.

– To wszystko? – zapytał Brunetti, któremu precyzja weszła w nawyk.

Raffi zastanowił się nad pytaniem ojca.

– Moi koledzy mówili, że proszą o pieniądze.

– Naprawdę tak robią? – spytał Brunetti.

Zaskoczenie Raffiego było wyraźnie widoczne.

– Po co inaczej zawracaliby sobie głowę namawianiem ludzi do podpisywania petycji? Podpisywanie czegokolwiek jest bez sensu, nikogo nie obchodzi, jakie petycje ludzie podpisują, więc po co ich prosić, żeby to robili?

Brunetti nie po raz pierwszy pomyślał, jak jego dzieci różniły się od jego własnego pokolenia, i że to naturalne. W tak niewiele rzeczy mogły wierzyć, w tak niewielu pokładać nadzieję. Patrzył wstecz na polityczny entuzjizm swojej młodości i musiał przyznać, że nic z tego wszystkiego nie wynikło. Ale przynajmniej jego pokolenie się starało.

– Czyli to tylko pretekst, żeby zarabiać? – zapytała Paola. Użyła weneckiego sformułowania, *ciappar schei*, zapewne po to, żeby syknąć z obrzydzeniem przy ostatnim słowie.

– Skoro mają te identyfikatory, to znaczy, że muszą mieć pozwolenie – odparł Raffi, co uświadomiło obojgu jego rodzicom, że czasy, kiedy dawał się uciszyć samym tonem głosu, minęły – minęły i już nigdy nie powrócą.

Brunetti spojrzał na Paolę. To była jej sprawa, nie jego.

– Może to dla nich jedyny sposób na zdobycie pieniędzy. Niewykluczone, że państwo się od nich odwróciło.

– Państwo odwróciło się od nas wszystkich – oznajmił zapalczywie Raffi.
– Ode mnie też. – Uderzył w stół dla podkreślenia tych słów, a Brunettiego zaskoczyła złość w jego głosie. – Nie ma znaczenia, ile czasu spędzimy na studiach i jakie dyplomy uzyskamy, moi koledzy i ja nigdy nie znajdziemy pracy. – Zignorował to, że jego matka chce się odezwać. – Ja znajdę pracę dzięki *Nonno*, tym wszystkim jego interesom i ludziom, jakich zna. Ale moim kolegom to się nie uda, chyba że też będą znali właściwych ludzi. Inaczej będą musieli jechać do Anglii albo Francji, żeby mieć przyzwoitą pracę. Jakąkolwiek pracę – dodał szorstko po chwili zastanowienia.

Jego siostra, siedząca naprzeciwko, ułożyła dłonie w kształt litery T, jak sędzia proszący o przerwę w trakcie meczu.

Raffi umilkł, Paola powstrzymała się przed powiedzeniem czegokolwiek, a Brunetti skierował uwagę na córkę.

– Czy mogę przypomnieć, że to ja zaczęłam tę rozmowę i nadal nie usłyszałam odpowiedzi? – odezwała się Chiara niecierpliwie i dziwnie dorośle. – Powiedziałam ci o tym Afrykaninie, ponieważ chcę wiedzieć, co mogę zrobić w tej sprawie.

Brunetti czekał, żeby sprawdzić, czy Chiara zamierza powiedzieć, że nie chce zranic uczuć tego mężczyzny ani go przestraszyć – spodziewał się po niej czegoś takiego.

– Chcę, żeby dał mi spokój – oznajmiła po prostu.

Paola wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Raffi postanowił pomóc matce, zostawiając Brunettiemu rozmowę z Chiarą.

Brunetti pomyślał, że Vianello jest osobą, którą należy poprosić, by się tym zajęła, chociaż nie miał jeszcze pojęcia, czego oczekuje od swojego przyjaciela. Jak to ujął nadkomisarz brytyjskiej policji, którego poznał kiedyś na konferencji w Birmingham? „Zastosować jakieś straszaki”? Wtedy Brunettiego bawiło to sformułowanie, niezależnie od tego, jak nieprzyjemna

była rzeczywistość. Ale tego właśnie oczekiwał od Vianella, swojego przyjaciela z grubym karkiem i pięściami jak bochny chleba: żeby nastraszył człowieka, który nastraszył jego córkę.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedział.

Zaraz potem wrócili Paola i Raffi – każde z nich niosło dwa talerzyki z grubymi kawałkami ciasta kasztanowego.

6

Następnego dnia rano Brunetti po drodze do swojego gabinetu zajrzał do pokoju odpraw, gdzie Vianello przywitał go życzliwym uśmiechem. Brunetti chciał z nim pomówić o Afrykaninie, zanim opowie o rozmowie z hrabiną Lando-Continui, dlatego zapytał inspektora, czy słyszał jakieś skargi od ludzi nagabywanych na ulicy o pieniądze.

– Ktoś zawracałby sobie głowę przychodzeniem do nas? – zapytał Vianello. Nie było w tym sarkazmu, tylko zaskoczenie: przychodzić na policję, żeby ponarzekać na żebraków? Inspektor odsunął stos papierów na skraj biurka i popatrzył z dumą na pustą przestrzeń, jaka dzięki temu powstała. – Dlaczego pytasz?

Dopiero teraz, gdy musiał to wyjaśniać, Brunetti uświadomił sobie, jak niewiele wie o całej sprawie.

– Jakiś mężczyzna nieustannie prosi Chiare i jej koleżanki o pieniądze. Gdzieś w pobliżu jej szkoły. Mówiła, że jest bardzo natarczywy.

– W jaki sposób natarczywy? – zapytał Vianello.

– Powiedziała, że zdarza mu się kłaść jej rękę na ramieniu. Była tym... zaniepokojona.

– Czy to jeden z nowych Afrykanów? – spytał Vianello.

– Czy ja dowiaduję się o nich jako ostatni?

Vianello wstał, jakby przygotowywał się na dłuższą rozmowę i nie chciał siedzieć za biurkiem, gdy starszy stopniem kolega stoi.

– Trudno ich nie zauważyć – powiedział, przysiadając na krawędzi biurka.

– Dlaczego są nazywani nowymi? – zapytał Brunetti.

– Nie pochodzą z Senegalu, więc *vu cumprà* nie chcą mieć z nimi nic wspólnego. Nie wydaje się, żeby pracowali, słabo mówią po włosku i bardzo

natarczywie zebrzą o pieniądze. *Vu cumprà* zostali przeszkoleni przez mafię, ponieważ to dla niej pracują, i wiedzą, że nie mogą być natarczywi, a już na pewno nie mogą nikogo dotykać. Nie sprawiają kłopotów. – Vianello pokiwał głową z uznaniem dla ich zachowania. – Ci nowi nawet wyglądają inaczej. Senegalczycy są wysocy i szczupli, a ci faceci są niżsi i masywniejsi. Sprawiają wrażenie twardszych. – Vianello zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział. – Nigdy nie miałem żadnych problemów z *vu cumprà*.

Brunettiemu nie dawało spokoju, że nie zauważył tych nowych Afrykanów, albo może zauważył ich, ale się tym specjalnie nie przejął. Było mało prawdopodobne, by zaczepiali z prośbą o datek mężczyznę w garniturze. Zakładał, że ich głównym celem są kobiety i turyści. W przypadku tych pierwszych hojność była motywowana współczuciem, tych drugich – być może zawstydzeniem. Albo strachem?

– Czy możemy coś z nim zrobić? – zapytał Brunetti, świadomy tego, że nie dysponując legalnymi środkami, mogą się uciec tylko do próby perswazji. Obaj milczeli przez dłuższą chwilę, rozważając różne ewentualności.

– Mój Boże – wybuchnął Brunetti. – Tak właśnie czują się zwykli ludzie.

– Słucham? – zapytał Vianello.

– Jeśli nie masz żadnej władzy, nie możesz nic zrobić, kiedy ktoś ci się narzuca. Chiara może mnie poprosić o pomoc, ale jako jej ojciec nie mogę zrobić niczego, żeby go zmusić, by przestał, jeśli nie będzie chciał.

Vianello przejął pałeczkę i rozwinął wątek.

– Możemy mu powiedzieć, że musi zapłacić grzywnę. – Prychnął krótko ponurym śmiechem. – Albo zapowiedzieć, że jeśli jeszcze raz to zrobi, będzie musiał opuścić kraj. – Inspektor wstał i przełożył stos papierów na inne biurko.

Kiedy wrócił, Brunetti stał z rękami w kieszeniach i przyglądał się własnemu butom. Vianello zajął miejsce na krześle.

– Nie możemy nic zrobić – ciągnął Brunetti. – A jesteśmy przecież policjantami, na litość boską.

Vianello wzruszył ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że

dyskutują o rzeczach oczywistych.

– Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego ludzie głosują na Ligę Północną? – zapytał. Przysunął bliżej siebie mniejszy stosik papierów i podniósł wzrok na Brunettiego. – Podejdę dzisiaj po południu do tej szkoły i zamienię z nim dwa słowa.

Inspektor otworzył kolejną teczkę, więc Brunetti podziękował mu i poszedł powoli do własnego gabinetu. Zapomniał o hrabinie. Wykorzystując swoje uprawnienia, mógł wysłać policjanta, żeby porozmawiał z mężczyzną i zasugerował, że powinien przestać zaczepiać dziewczynki pod szkołą. Jeśli wszystko by się udało, Afrykanin po prostu poszedłby zaczepiać kogo innego gdzie indziej. Inne uczennice, kobiety idące na zakupy, ludzi chcących kupić rybę na targu Rialto.

Nie miało znaczenia, jak dostał się na teren Włoch. W prasie rozróżnienie między legalnymi i nielegalnymi imigrantami zostało już dawno zarzucone, podobnie jak termin *clandestina*. Brunetti zakładał, że większość z tych ludzi szuka pracy, podobnie jak zakładał, że jej nie znajdą. Państwo dawało im dach nad głową i wypłacało minimalny zasiłek, starczający na przeżycie, ale nie było w stanie zapewnić im żadnego zajęcia.

Przywołał wszystkie swoje prawomyślne zasady dotyczące sprawiedliwości społecznej, równości i praw człowieka, ale pozostał w nim tylko gniew na myśl o tym, że jakiś mężczyzna może dotykać jego córki bez jej zgody. Pomyślał, jak niewiele dzieli nas od jaskiniowców, ale gniew go nie opuszczał.

Aby pozbyć się tych refleksji, włączył komputer, a ponieważ nie przyszła żadna wiadomość od signoriny Elettry, wpisał w wyszukiwarce nazwisko hrabiny Demetriany Lando-Continui i śmiało nacisnął Enter, by wysłać swoją prośbę do cyberbogów.

Odpowiedzią na jego modlitwę była długa lista wyników zawierających jej nazwisko, jednak szybko zauważył, że większość z nich zawiera tylko adres i numer telefonu hrabiny, nic więcej. Jej zdjęcie pojawiało się w licznych relacjach prasowych z obiadów i przyjęć urządzanych przez fundację Salva Serenissima. Obejrzał uważnie zdjęcia i wydało mu się, że rozpoznaje ją na

dwóch z nich, w centrum małej grupki kobiet w podobnym wieku, a także, jak zakładał, o podobnym statusie społecznym i majątkowym.

Po trzech podobnych artykułach, jak również wzmiankach o hrabinie powtarzających się na Facebooku, poddał się i sięgnął po gazety. Nie dowiedział się z nich wiele więcej.

– A co z Salva Serenissima? – zapytał sam siebie na głos i przeniósł uwagę na tę organizację. Znalazł długą listę artykułów. Fundacja nie miała hasła w Wikipedii, po informacji odsyłano do profilu na Facebooku i konta na Twitterze. Brunetti nie dał się skusić na zajrzenie w żadne z tych miejsc. Dotarł do spisu członków rady nadzorczej i przestudiował go bez pośpiechu. Zobaczył na ekranie typową w takich przypadkach śmietankę – szlachetne nazwiska z lśniącymi tytułami. Szczególną przyjemność sprawiało mu odczytywanie łączonych dywizami nazwisk płynących jedno za drugim jak wydry w płytkim basenie. W cieniu arystokratycznych tytułów tłoczyło się pospólstwo, wśród którego także część nazwisk była mu znana. Jedno z nich, pod sam koniec listy, przykuło uwagę Brunettiego, ponieważ kilkakrotnie był w komendzie świadkiem, jak przyprowadzano żonę tego mężczyzny, zatrzymaną pod zarzutem kradzieży w sklepie.

– Tylko spójrz pan! – wykrzyknął na widok innego nazwiska, używając sformułowania, którego nauczył się od Paoli, wyrażającej za jego pomocą zdumienie i zachwyt.

Był to jego dawny przyjaciel Leonardo, markiz di Gamma Fede, który studiował razem z Brunettim, a później zniknął, by prowadzić rodzinne interesy tekstylne w Azji. Przez lata utrzymywali nieregularne kontakty. Brunetti pamiętał listy i pocztówki, które przysyłał mu Lolo, gdy dzieci pasjonowały się zbieraniem znaczków: ogromne żółte koperty w połowie pokryte licznymi, wielobarwnymi znaczkami o bardzo niskich nominałach, zawsze jednak wystarczającymi z nawiązką, by koperta, nawet jeśli powoli, dotarła do Włoch. Były tam stada słoni z Indii, niemal fluorescencyjne ptaki z Indonezji oraz horda kangurów z Australii. Nadal pamiętał je wszystkie, tak samo jak jego dzieci.

Lolo nie odzywał się od ponad roku, mimo że teraz korespondowali za

pomocą e-maili. Niestety, wykluczało to znaczki. Brunetti ucieszył się na widok tego nazwiska na liście, ponieważ to oznaczało, że Lolo bywa w Wenecji. Potem dopiero przyszło mu do głowy, że powinno go to cieszyć także z powodów zawodowych. Lolo nie był głupcem, a Brunetti zawsze uważał go za uczciwego człowieka. Zapisał w pamięci, że powinien się z nim skontaktować.

Dalej przepatrywał listę. Jeden z obecnych na niej arystokratów wiele lat temu wynajął mieszkanie przyjacielowi Brunettiego, który dopiero po wprowadzeniu się tam odkrył, że szyb windy przenosi z chińskiej restauracji na parterze zapachy wypełniające klatkę schodową. Gorszy od nich był jednak szyb wentylacyjny w sypialni, z którego wydobywał się taki sam smród. Ponieważ właściciel mieszkania groził sankcjami prawnymi, jeśli zerwą umowę i się wyprowadzą, musieli w końcu zapłacić trzy tysiące euro, żeby uwolnić się od tego miejsca i od niego. Nazwisko owego arystokraty na liście członków Rady Honorowej sprawiło, że Brunetti tylko uśmiechnął się pod nosem na myśl o sprawiedliwości na świecie.

Alessandro Vittori-Ricciardi był wymieniony wśród członków Rady Administracyjnej, czymkolwiek była. Towarzystwa dotrzymywali mu hrabia, wicehrabia oraz trzech zwyczajni śmiertelnicy.

Dopiero w trakcie powtórnej lektury Brunetti zauważył, że włoskich nazwisk na liście była niespełna połowa. Potem spostrzegł, że część z nich pojawia się dwukrotnie. Zdumiał się licznymi kategoriami, na jakie ich członkowie zostali podzieleni, z których każda miała własną tytulaturę. Przypomniał sobie wizytę w Metropolitan Opera w Nowym Jorku na wyjątkowo nużącym przedstawieniu Verdiego – minęło już tyle lat, że nie pamiętał tytułu opery. Podczas jednej z przerw otworzył wówczas program i znalazł niemalże niekończącą się listę mecenasów. Amerykanie mieli przynajmniej w swoim prostactwie dość odwagi, by uporządkować ją według wysokości przekazanej darowizny.

Teść powiedział kiedyś Brunettiemu, że dołącza tylko do rad nadzorczych organizacji nastawionych na zyski.

– Oni nie tracą czasu własnego i mojego, żeby zapraszać mnie na przyjęcia

– powiedział. – Nie oczekują także, że zapłacę za umieszczenie mojego nazwiska na liście.

Hrabina Lando-Continui była na liście Rady Międzynarodowej, trzecia w niealfabetycznej kolejności, co sprawiło, że Brunetti zaczął się zastanawiać nad systemem rankingu i nad tym, jakich kłótni i dąsów był ów system przyczyną.

Przypomniał sobie słowa córki hrabiego Faliera, jego najdroższej żony, nie dotyczącej bezpośrednio rad nadzorczych, ale jego reagowania na ludzi, którzy w nich zasiadali.

– Mam nadzieję, że będziesz umiał zostawić przeszłość za sobą, Guido, i zapomnieć o swoich uprzedzeniach klasowych – powiedziała kiedyś, wiele lat temu, wysłuchawszy jego krytycznych uwag na temat wyboru nowego rektora, noszącego nazwisko dwóch dożów. – Gdyby nazywał się Scarpa, nie uznalibyś za stosowne komentować jego nominacji.

Brunetti palił się ze wstydu przez tydzień, a uczucie to wracało, gdy przyłapywał się na uprzedzeniach wobec bogatych i szlachetnie urodzonych. Ostatecznie nie chował w sobie urazy jak syn robotników, którzy protestują, ponieważ ich wysiłki nie zostały docenione. Jego ojciec, odkąd wrócił z wojny, był beznadziejnym nierobem i nie uważał za konieczne pracować, jeśli mógł tego uniknąć.

Jakby jego dusza dostała po głowie zwiniętą gazetą. Brunetti znowu popatrzył na listę i powiedział sobie, że powinien, tak jak wszyscy weneccjanie, być wdzięczny hrabinie, że wykorzystuje swój majątek, by pomagać młodym i ratować zabytki miasta.

Pomyślał o Pucettim, najbardziej obiecującym z młodych funkcjonariuszy, który powiedział kilka tygodni temu, że może przeprowadzi się do Marghery, jeśli zostanie tam przeniesiona jego dziewczyna, nauczycielka matematyki. Urodzony w Castello, Pucetti wydawał się znać wszystkich w *sestiere*. Powiedział kiedyś Brunettiemu, że jego dziadek był pierwszym w rodzinie, który nauczył się włoskiego, a dla jego ojca nadal był to drugi język. Jego prababka przez całe życie ani razu nie opuściła Castello.

Dlaczego inne fundacje nie naśladowały hrabiny i nie robiły czegoś dla

wenecjan zamiast dla Wenecji? Było mało prawdopodobne, by mimo licznych obietnic zajęły się tym władze miasta. Ostatnim razem, gdy duży budynek komunalny został podzielony na prywatne mieszkania wystawione na sprzedaż po korzystnej cenie, podejrzaną liczbę z nich nabyli politycy i ich żony. Brunetti powściągnął swoje myśli – z tych rozważań mogły wyniknąć tylko kłopoty.

Zszedł na dół, dywagując o Mahomecie i górze. Kiedy wszedł do gabinetu signoriny Elettry, zastał ją przy biurku i natychmiast zaniepokoił się niewróżącym dobrze wyrazem jej twarzy. Lekki uśmiech był niebezpieczny, zaciśnięte wargi osłaniały zęby, zapewne po to, by nie sugerować zagrożenia.

Brunetti popatrzył w tę samą stronę co ona i ujrzał porucznika Scarpę stojącego przy oknie najbliższym otwartych właśnie przez niego drzwi i dzięki temu niewidocznego dla wchodzących. Porucznik, którego ubranie mogłoby posłużyć do studium elegancji doprowadzonej do perfekcji, opierał się o parapet w miejscu zajmowanym zazwyczaj przez Brunettiego podczas rozmów z signoriną Elettrą i ze zrozumiałych względów uważanym przez komisarza za jego własne.

– Ostatnią rzeczą, jaką mogłabym zrobić, jest stawianie pańskiej uczciwości pod znakiem zapytania, poruczniku – oznajmiła signorina Elettra w momencie, gdy Brunetti wszedł do gabinetu. – Nie potrafiłabym spojrzeć sama sobie w oczy, gdyby choć przeszła mi przez głowę myśl, że nie jest pan bezgranicznie oddany służbie policyjnej, której jest pan prawdziwą ozdobą. – Głuchy ton, jak złej aktorki czytającej zły scenariusz, źle przetłumaczony z innego języka, stał w takiej sprzeczności z wypowiedzianymi słowami, że cała scena wydawała się odrealniona. Usta signoriny Elettry poruszyły się w sposób, który powinien sugerować uśmiech, ale tego nie robił.

– To dla mnie prawdziwa ulga, *signorina* – odparł porucznik z polaną syropem powagą. Spojrzał na Brunettiego, ale żadnym gestem nie zareagował na jego obecność. Znowu popatrzył na signorinę Elettrę. – W takim razie muszę gdzie indziej szukać osoby, która próbowała się włamać do mojego komputera. – Po tych wszystkich miękkih uprzejmościach ostatnie zdanie zabrzmiało jak świst bata.

Aha! – pomyślał Brunetti. O to chodziło. Wiedział, że signorina Elettra ma dostęp do komputera *vice-questore* i prawdopodobnie zna jego zawartość lepiej niż sam Patta. Od dawna znała też hasło porucznika Scarpy, ale być może je zmienił, a ona musiała je ponownie złamać. Czy pozostawiła jakiś odpowiednik śladu zapachu perfum lub upuszczonej chusteczki, gdy rozglądała się w jego plikach?

Brunetti wyprostował się na całą wysokość i zrobił krok w głąb gabinetu. Machnął ręką koło ucha w geście, który porucznik Scarpa mógł zinterpretować jako salut, co by go zmusiło do wyprostowania się w odpowiedzi. Nawyk służbisty sprawił, że porucznik podniósł się ze swojego miejsca. Uniósł prawą dłoń do czoła ze znaczącym uśmiechem, mającym pokazać, że wie doskonale, iż Brunetti stara się wykorzystać swój autorytet, on zaś uważa te próby za interesujące, nawet jeśli bezużyteczne.

– *Commissario* – powiedział, jakby dopiero w tym momencie zauważył Brunettiego.

– Czy to wszystko, co mogę dla pana zrobić, poruczniku? – zapytała signorina Elettra, tym razem nie marnując sił na uśmiechy.

– Na razie tak, *signorina* – powiedział porucznik i opuścił pokój.

Kiedy Brunetti był pewien, że Scarpa jest już na schodach, zapytał:

– Czy przyłapał panią na czytaniu jego e-maili?

– Mój Boże, oczywiście, że nie – odparła signorina Elettra głosem przepełnionym zdumieniem z powodu absurdalności tego pomysłu. – Ale ktoś inny rozglądał się u niego.

– Kto? – zainteresował się Brunetti.

Wzruszyła ramionami.

– To mogła być ta sama osoba, która obserwuje *vice-questore*.

– Ktoś z ministerstwa? – zapytał, zastanawiając się, cóż takiego mogło zająć, skoro ministerstwo szpieguje własną korespondencję wewnętrzną. – Czy on – Brunetti kiwnięciem głowy wskazał drzwi, przez które właśnie wyszedł Scarpa – jest dość dobry, żeby to wykryć?

– Niewykluczone – odparła signorina Elettra, a Brunetti zauważył, że

wypowiedzenie tego słowa przyszło jej z dużym trudem.

– Czy ma pani jakiś pomysł, o co może im chodzić?

Uniosła podbródek, jakby chciała mieć lepszy widok na sufit. Lub też na gwiazdy. Jediną oznaką wskazującą, że nie zapadła w obezwładniający letarg, były jej usta. Wargi ściągnęły się, jakby miała zamiar napić się z górskiego źródła, wykrzywiły się w grymasie lekkiej irytacji, a potem przyjęły całkowicie neutralny wyraz, podczas gdy signorina Elettra pozostawała w łączności duchowej z czymś, czego Brunetti nie byłby w stanie pojąć.

Wyższe moce uwolniły ją bez uprzedzenia. Signorina Elettra spojrzała prosto na Brunettiego.

– Giorgio się tego dowie.

Giorgio, jak pomyślał Brunetti, był cybernetycznym odpowiednikiem *deus ex machina*.

– Musi pani uciekać się do jego pomocy?

Podparła podbródek lewą dłonią i machinalnie nacisnęła kilka klawiszy na komputerze, jak pianista poszukujący lepszego akordu lub mały ptaszek dziobiący okruszki.

– Tak, potrzebuję go, *commissario* – powiedziała i popatrzyła na niego. – To wystarczająco ważne, żeby go włączyć. To, co się stało z pocztą *vice-questore*, nie było przypadkowym działaniem, lecz próbą włamania. Dlatego jeśli dowiemy się, kto to zrobił, być może będziemy mogli się domyślić, czego szukał. Zawsze warto znać także cele wrogów swoich wrogów.

– Myśli pani, że *vice-questore* i porucznik mają wrogów? – zapytał Brunetti. Został obdarzony spojrzeniem pełnym zdumienia.

Ponieważ nie odpowiadała, uzupełnił:

– Czy są jakieś powody, dla których mieliby mieć wrogów?

Signorina Elettra uśmiechnęła się.

– Niech pan pozwoli, że je policzę.

– Czy szukała pani informacji o hrabinie Lando-Continui? – zapytał Brunetti.

Zamiast odpowiedzieć, signorina Elettra odwróciła się i nacisnęła klawisze komputera, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Proszę spojrzeć – powiedziała z zapalem, skinieniem ręki zapraszając Brunettiego, by podszedł i stanął za nią.

Zobaczył coś, co wyglądało jak pierwsza strona „Il Gazzettino”. Układ strony był już od dawna zmieniony, widoczna na ekranie pochodziła sprzed piętnastu lat.

– Młoda arystokratka ofiarą wypadku – przeczytał. – Wczoraj, około północy, Manuela Lando-Continui, córka Teodora Lando-Continui i Barbary Magello-Ronchi oraz wnuczka nieżyjącego hrabiego Marcella Lando-Continui i hrabiny Demetriany Lando-Continui, została wyciągnięta z Rio San Boldo. Przypadkowy przechodzień, który zobaczył tonącą dziewczynę, skoczył w wody kanału i wyciągnął ją na brzeg, gdzie sam także stracił przytomność. Inny mężczyzna pospieszył na pomoc im obojgu i przeprowadził reanimację dziewczyny, która następnie została przewieziona do Ospedale Civile. Jej stan lekarze oceniają jako krytyczny. Wezwana na miejsce zdarzenia policja zakłada, iż był to wypadek.

Gdy tylko Brunetti skończył czytać, signorina Elettra, która zajęła jego miejsce przy parapecie, powiedziała:

– Następne dwa artykuły kontynuują ten wątek.

Przewinął stronę w dół i zobaczył zdjęcie młodej dziewczyny w białej koszuli, być może męskiej, której dolna krawędź sięgała prawie kolan jej spłowiałych dżinsów. Dziewczyna lewą rękę miała luźno opuszczoną i oplecioną wodzami, zaś prawą obejmowała szyję czarnego konia, który

przycisnął opuszczony łeb do jej brzucha tak, że widoczne było tylko jedno oko i ucho. Koń miał otwarty pysk i wydawało się, że skubie guziki jej koszuli.

Długie i ciemne włosy dziewczyny, zaczesane do tyłu, odsłaniały wysokie czoło. Uśmiechała się radośnie do aparatu, świeża i młoda, uchwycona dokładnie w tym punkcie życia, gdy zaczynała się zmieniać z ładnej dziewczynki w piękną kobietę. Na jej twarzy malowało się pytanie, kierowane do osoby robiącej jej zdjęcie: czy to najszcześniejszy dzień naszego życia? Miała na sobie wysokie buty do jazdy konnej i stała na palcach, by wygodniej obejmować konia.

– Śliczna dziewczyna – zauważył Brunetti i dopiero teraz uświadomił sobie, że po raz pierwszy widzi jej zdjęcie.

– Owszem, była śliczna – przyznała signorina Elettra.

– Była? – zapytał Brunetti.

– To było dawno temu, mogła się zmienić – odparła signorina Elettra. – Proszę przeczytać artykuły.

Pierwszy, opublikowany dwa dni po poprzednim, wymieniał nazwisko Pietra Cavanisa, weneccjanina, który ocalił dziewczynie życie. Wspominał także o jej rodzicach, czuwających przy łóżku córki w oczekiwaniu, aż wybudzi się ze śpiączki, w której pozostawała od momentu wyciągnięcia z wody.

Kolejny artykuł ukazał się tego samego dnia w innej lokalnej gazecie i donosił o obiecujących wynikach dziewczyny w jeździectwie – teraz rozumiał, skąd na zdjęciu koń. Manuela była dobrze znaną członkinią klubu jeździeckiego w pobliżu Treviso, chociaż od pewnego czasu nie brała udziału w zawodach.

– To wszystko? – zapytał Brunetti, oderwawszy się od komputera.

– Tak – odparła signorina Elettra. – Co pan o tym myśli?

Nie mógł tego dłużej przeciągać.

– Rozmawiałem z jej babką.

– Jak to?

– Zostałem zaproszony do niej na obiad, to przyjaciółka mojej teściowej. Powiedziała, że chciałaby ze mną porozmawiać. – Brunetti wskazał ekran. – O niej.

– Kiedy się pan z nią widział?

– Wczoraj. Przyszedłem, żeby pani o tym opowiedzieć. – Brunetti czuł się dziwnie, siedząc przy komputerze signoriny Elettry, która tymczasem stała tam, gdzie on zwykle, ale nie chciał zakłócić rozmowy propozycją zamiany miejsc.

– Co takiego panu powiedziała?

– Opowiedziała mi o wypadku. – Brunetti machnął ręką w stronę ekranu, na którym ujawnione były tylko najbardziej podstawowe fakty. – Dziewczyna nigdy nie doszła całkowicie do siebie. Przebywała pod wodą tak długo, że nastąpiło niedotlenienie mózgu. – Brunetti dał jej chwilę na zastanowienie i dodał: – Hrabina użyła określenie „doznała szwanku”.

– Biedna dziewczyna – szepnęła signorina Elettra.

– Wszyscy oni są biedni – stwierdził Brunetti. – Mężczyzna, który skoczył do kanału, żeby ją ratować, był pijany. Nie zastanawiał się, co robi, po prostu rzucił się na pomoc. – Przypomniawszy sobie, co mówiła hrabina. – Wydaje mi się, że to był miejscowy pijak.

– W gazecie nie napisali, że był pijany – zauważyła. – Ale pewnie nie chcieli o tym wspominać.

– Hrabina mówiła, że usłyszała o nim od policji. Powiedziała także, że kiedy policja pojawiła się na miejscu, zeznał, iż widział mężczyznę wpychającego Manuelę do wody. Był jednak tak pijany, że policjanci nie wzięli tego na serio. Zapewne słusznie, ponieważ kiedy obudził się następnego dnia, nie pamiętał już niczego.

Signorina Elettra zeskoczyła z parapetu i podeszła do biurka. Zabrała notes i ołówek, po czym natychmiast wróciła na poprzednie miejsce.

– Jak się nazywał? – zapytała. – Widziałam jego nazwisko w artykule, ale nie zapamiętałam go.

– Pietro Cavanis.

Skinęła głową i zapisała to.

– Czy mówiła o nim coś jeszcze? – spytała.

– Tylko to, że dała mu trochę pieniędzy, a on dzięki temu nie trzeźwiał przez cały miesiąc.

– Rozumiem. – Signorina Elettra to również zapisała w notesie. – Jak pan myśli, co zrobiliśmy w tej sprawie?

– My?

– Policja.

Brunetti uświadomił sobie, że mogły to być różne rzeczy, ale najprawdopodobniej nie zrobiono nic. Niepotwierdzona relacja mężczyzny znanego jako miejscowy pijak, zdana pod wpływem silnego stresu i wycofana następnego dnia – nikt nie przywiązywałby do niej wagi. Brunetti wzruszył ramionami.

Signorina Elettra postukała w komputer gumką od ołówka.

– Mam tutaj datę. Zobaczę, czy uda mi się znaleźć raport z tego wypadku.

– Napisała coś jeszcze i przerwała, żeby popatrzeć na Brunettiego. – Co pan o tym myśli?

Brunetti zastanawiał się nad tym od rozmowy z hrabiną. Pijany świadek, niepamiętający historii, którą opowiedział?

– Nie wiem. Skoro nie pamiętał niczego następnego dnia, policja nie mogła nic zrobić.

Signorina Elettra czekała, by zmusić go do przyznania, że nie odpowiedział na jej pytanie.

– Najbardziej prawdopodobne jest, że dziewczyna wpadła do wody – ciągnął. – A właściwie byłoby, gdyby w grę nie wchodziła jej fobia. – W odpowiedzi na pytające spojrzenie signoriny Elettry kontynuował: – Hrabina powiedziała mi, że Manuela omal nie utonąła, kiedy była małym dzieckiem, i od tego czasu panicznie bała się wody. Nie zbliżała się do niej, co oznaczało, że nie szłaby nabrzeżem kanału, zwłaszcza sama i po zmierzchu. – Zanim signorina Elettra zdążyła zapytać, wyjaśnił: – Jej babka mówiła, że mogła się poruszać po mieście, ponieważ pamiętała, które *calli*

nie przebiegają wzdłuż kanałów. Kiedy przechodziła przez mosty, patrzyła tylko pod nogi.

Wyraz twarzy signoriny Elettry sugerował, że – jak każda osoba mieszkająca w Wenecji – uznawała takie orientowanie się w układzie ulic za mało prawdopodobne, jeśli nie wręcz niemożliwe.

– Co najważniejsze, powiedziała mi, że w miesiącach poprzedzających wypadek dziewczyna była coraz bardziej nieobecna i przygnębiona, więc nie da się wykluczyć narkotyków lub alkoholu – dodał Brunetti. – Jeśli była pod ich wpływem, mogła iść nabrzeżem.

– Ummm. – Signorina Elettra nie przerywała pisania. – A ta informacja, że od pewnego czasu nie startowała w zawodach?

Czy w jej głosie pojawiła się nuta dociekliwości?

– Nadal miała konia – odpowiedział Brunetti. – Jej babka za niego płaciła.

Sam zdawał sobie sprawę z tego, jak niepełna była ta odpowiedź.

Signorina Elettra uniosła dłoń gestem, który mógł oznaczać cokolwiek.

– Nie wiem – powiedziała i spojrzała na swoje stopy. Odsunęła je, jedną po drugiej, od ściany, a potem popatrzyła na Brunettiego. – Ta historia przykuwa uwagę, prawda?

Brunetti zdawał sobie z tego sprawę, chociaż nie miał pojęcia, co właściwie mogło przykuć uwagę signoriny Elettry w tej smutnej opowieści: utracona młodość, utracone możliwości, pech? To mogło być zaledwie zainteresowanie nieszczęśliwymi losami arystokratki z jej rodzinnego miasta albo też wyczulona wrażliwość na los kobiet. Przesunął artykuł na ekranie tak, by wrócić do zdjęcia dziewczyny, i przyglądał mu się przez chwilę.

– Mogła mieć przerwę w zawodach z powodu upadku – podsunął. – Albo też... nie wiemy, ile miała lat, gdy zrobiono to zdjęcie... Mogło być tak, że podobnie jak wiele dziewcząt, zapomniała o koniach, gdy odkryła chłopców.

– Spojrzał na signorinę Elettrę, która wydawała się zaabsorbowana sprawdzaniem, jak wysoko jest w stanie unieść stopy.

– Jej koń mógł mieć kontuzję – dodał Brunetti.

Paola dawno temu ogłosiła ich dom strefą wolną od zwierząt, dlatego nie

miał własnych doświadczeń dotyczących relacji między dziewczętami a ich koźmi. Czytał jednak, że taki związek może być bardzo silny.

Signorina Elettra odepchnęła się i bezgłośnie zeskoczyła z parapetu. Gdy podeszła do biurka, Brunetti wstał, by zwolnić jej krzesło i komputer. Uznał, że zna ją dostatecznie dobrze, by zadać następne pytanie.

– Czy przykuła także pani uwagę?

Odwróciła się, by na niego spojrzeć.

– Oczywiście. – Odgarnęła pasmo włosów za ucho, usiadła i postukała w klawiaturę jednym palcem. – Coś w tym wszystkim jest nie tak. Muszę sprawdzić, czy uda mi się znaleźć oryginalny raport i zeznania świadków.

– Ile ona może mieć teraz lat? Jest chyba po trzydziestce?

– Tak, chociaż niedużo – odparła signorina Elettra. – Jeśli to, co mówiła jej babka, jest prawdą, to znaczy, że praktycznie trudno powiedzieć, by przeżyła te ostatnie piętnaście lat.

– Jej babka nie mówiła o szczegółach – przyznał Brunetti. – Ale opowiadała o Manueli, jakby była małym dzieckiem.

Obserwował, jak signorina Elettra naciska kolejne klawisze, chociaż nie patrzyła nawet na monitor. Musiała to robić machinalnie, tak jak palacz obracający w palcach ołówki na podobieństwo papierosa.

Stał jeszcze przez dłuższą chwilę, ale signorina Elettra nie odezwała się już ani słowem.

– Co pani zamierza zrobić? – zapytał w końcu, jakby także była komisarzem i razem przygotowywali strategię.

– Zacznę od stajni i sprawdzę, czy ktoś tam jeszcze ją pamięta. Tak samo ze szkołą.

– A kiedy już pani z tym skończy? – zapytał.

– Powiem panu, czego się dowiedziałam.

– A potem?

– Potem się zobaczy.

Po południu Brunetti przez kilka godzin pisał „ocenę wyników zawodowych” sześciu szeregowych funkcjonariuszy. Gdy skończył, pozwolił sobie opuścić komendę, popłynął jedyneką do Lido i poszedł na długi spacer plażą. Jesień była wyczuwalna w powietrzu i widoczna w białych grzywach fal, więc wrócił do domu zmęczony, przemarznięty i bardzo głodny.

Po obiedzie razem z Paolą przenieśli się do salonu, gdzie opowiedział jej o rozmowie z hrabiną Lando-Continui oraz o jej prośbie – raczej błaganiu – żeby dowiedział się, co się przytrafiło jej wnuczce.

– Mimo że to było piętnaście lat temu? – zapytała Paola.

– Hrabina powiedziała, że musi to wiedzieć. Zanim umrze.

Paola zastanowiła się nad tym.

– Tak, pewnie tak właśnie jest. Każdy człowiek by tego chciał, prawda?

– Czego?

– Chciałby chociażby wiedzieć, że nie jest za to odpowiedzialny.

Siedziała w fotelu odwróconym przodem do kanapy, na której mógł się wyciągnąć Brunetti. Było już późno, a oni pili napar z werbeny – Brunetti nie miał ochoty na grappę, a Paola zmagiała się z bólem gardła.

– Dlaczego miałyby być odpowiedzialna? – zapytał i poprawił swoją pozycję, znajdując dla głowy i ramienia idealne ułożenie przy poręczu kanapy. – Dziewczyna mieszkała z matką, a hrabina prawie jej nie widywała przez ostatnie miesiące, zanim to się stało.

– Zapewne uważa, że powinna była to robić.

– Była jej babką, nie aniołem stróżem.

– Guido – odezwała się Paola, akcentując mocno pierwszą sylabę, jak to robiła, gdy chciała przywołać dzieci do porządku.

– Co takiego?

– Jesteś bezduszny. To jej wnuczka. – Po tych słowach Paola wypła łyk naparu.

Brunetti pomyślał, że jej głos jest bardziej schrypnięty niż przy obiedzie. Najwyraźniej werbena nie zdołała pomóc na gardło, co oznaczało, że

używane od wieków lekarstwo rodziny Falier przegrało w walce z zarazkami.

Wziął od żony kubek, zaniósł go do kuchni i wstawił do zlewu. Kiedy wrócił, Paola siedziała z głową odchyloną na oparcie fotela i zamkniętymi oczami, bez książki w ręce.

– Chyba już pora się położyć – powiedział Brunetti.

Nie odpowiedziała. Przyjrzał się jej i wydało mu się, że jej nos się wydłużył, a już na pewno był zaczerwieniony na końcu. Wraz z czerwonymi wypiekami wielkości monety euro na obu policzkach nadawał Paoli wygląd bardzo zmęczonego klauna. Brunetti pochylił się i dotknął jej ramienia.

– Wystarczy na dzisiaj – oznajmił i pomógł jej wstać.

Noc minęła Brunettiemu niespokojnie. Paola, jak miała w zwyczaju, zdrowa czy chora, spała koło niego kamiennym snem. Około trzeciej nagły strach obudził go i poderwał na równe nogi. Zupełnie rozbudzony, a przy tym roztrzęsiony, próbował sobie przypomnieć sen, który tak nim wstrząsnął, ale sen już zniknął. Brunetti pamiętał tylko strach i obawę o bezpieczeństwo Chiary.

Poszedł do kuchni i wypił szklankę wody, a po niej kolejną, starając się przypomnieć sobie szczegóły, choćby najdrobniejsze, które mogły do tego stopnia zmrozić jego duszę. Nie zgasił światła w korytarzu i, powtarzając sobie, że nie zachowuje się jak przesądny głupiec, otworzył drzwi do pokoju Chiary. Ponieważ robił to niezliczoną ilość razy, od kiedy była małym dzieckiem, wiedział dokładnie, na ile może je uchylić, żeby światło nie padło na jej poduszkę. Spojrzał zza krawędzi drzwi. Kiedy jego oczy przywykły do ciemności, zobaczył potarganą głowę córki leżącą tam, gdzie powinna leżeć, dzinsy leżące tam, gdzie nie powinny leżeć, oraz resztę ubrania w radosnym nieładzie na krześle w nogach łóżka.

Cofnął głowę i bezszelestnie zamknął drzwi, uradowany przelotnym widokiem jej i jej biurka, zawalonego papierami i porzuconymi książkami. Dzięki Bogu za bałagan robiony przez dzieci. Chwalmy to, że nie sprzątaję po sobie, lecz dają dowody młodości i energii, pozostawiając za sobą przedmioty, ubrania, książki, buty, filmy, wszystko, co krzyczy, że żyją.

Brunetti wrócił do kuchni i pochylił się nad zlewem, opierając dłonie na jego krawędziach. Stał w ten sposób przez dłuższą chwilę, dopóki nie opuściła go fala euforii. Kiedy to nastąpiło, napomniał siebie, kim jest i gdzie się znajduje. Pomyślał o dzieciach i przerażającej cenie, jaką trzeba płacić za ich posiadanie. Kiedy się uspokoił, odepchnął się od blatu, zgasił światło i wrócił do sypialni. Wślizgnął się bezszelestnie pod kołdrę, chociaż wiedział

doskonale, że Paola nie obudziłaby się, nawet gdyby sprowadził tu zespół muzyczny z perkusją. Odwrócił się do niej, objął ją lewym ramieniem i oczami duszy zobaczył znowu zdjęcie dziewczyny obejmującej ramieniem konia. Wtedy jednak dopadł go sen, a dziewczyna i koń oddalili się w ciemność nocy.

Kiedy rano przyszedł do komendy, skutki nocnego koszmaru całkowicie zniknęły, więc Brunetti był w dobrym humorze, zawdzięczanym po części temu, że uległ słabości i wstał na kawę i brioszkę zarówno do Ballarin, jak i do Rosa Salva. Zajrzał do gabinetu Vianella z zamiarem zapytania go, czy udało mu się podejść do szkoły Chiary i zobaczyć, co się tam dzieje.

Inspektor siedział za biurkiem i czytał poranne „Gazzettino”.

– Wydaje mi się, że powinni dodawać do tego opaskę z ostrzeżeniem – oznajmił Brunetti, wskazując skinieniem głowy gazetę.

– Jakim? – zapytał Vianello.

– Że zawartość może być szkodliwa dla zdrowia. – Brunetti postukał się przy tym w czoło i zakręcił palcami przed twarzą, sugerując bzika.

– Czytam to od trzydziestu lat – odparł Vianello. – Co oznacza, że albo jestem szalony, albo odporny.

Brunetti nie zamierzał płacić za wersję papierową, a żeby przeczytać coś online rzadko znajdował czas, dlatego jego życie było praktycznie wolne od „Gazzettino”. Gdyby ktoś go spytał, powiedziałby, że tego żałuje. Z całą pewnością, wraz z drugą miejscową gazetą, „La Nuova di Venezia”, była to obowiązkowa lektura dla osób, które chciały być dobrze poinformowane, nawet jeśli informacje dotyczyły tego, które apteki są czynne w niedzielę lub w nocy, przewidywanej pogody, prognozowanego poziomu *acqua alta* oraz śmierci ludzi z sąsiedztwa. Pojawiały się także przelotne wzmianki o reszcie świata.

– Mój przyjaciel, Bobo Ferruzzi, zawsze mnie ostrzegał: *Per diventar cretin', leggi il Gazzetin'* – odparł Brunetti w charakterze komentarza.

Umilkł na chwilę, przypominając sobie zmarłego przyjaciela.

– Ale to chyba nie działało, ponieważ Bobo codziennie czytał tę gazetę i nie stał się nigdy kretynem.

Vianello najwyraźniej zaspokoił już ciekawość treścią gazety.

– Podszedłem wczoraj do szkoły Chiary – powiedział. – Wstąpiłem do baru na kawę i czekałem, aż dzieciaki skończą lekcje. – Uśmiechnął się. – To było jak powrót do moich szkolnych czasów. Siedzenie i czekanie, aż dziewczyny wyjdą ze szkoły.

Brunetti uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

– Po jakichś dziesięciu minutach od mojego przyścia w *calle* po lewej stronie szkoły pojawił się Afrykanin. Pięć minut później dzieciaki zaczęły wychodzić, a on prosił je, ale tylko dziewczyny, o pieniądze. Przynajmniej tak to wyglądało.

– Jak reagowały?

– Większość z nich ignorowała go i szła dalej, jakby go tam nie było. Ale niektóre nie mogły go uniknąć.

– Co takiego robił?

– Podchodził bardzo blisko, zastępował im drogę. Raz dotknął ramienia dziewczyny, ale natychmiast się odsunęła – powiedział Vianello. – Wydaje mi się, że chciał tylko zwrócić jej uwagę.

– Czy któraś z nich dała mu pieniądze?

– Nie, żadna.

– Ile czasu to trwało?

– Około dziesięciu minut. Siedziałem w barze i obserwowałem. Chciałem zobaczyć, co robi. Kilku chłopaków coś do niego mówiło, a on odpowiadał, ale nie było w tym żadnej agresji ani szukania kłopotów. W końcu, kiedy wszystkie dzieci wyszły ze szkoły, odwrócił się i skierował *calle*, którą przyszedł, w stronę Akademii.

– Co zrobiłeś?

– Poszedłem za nim.

– I co?

– Kiedy wyszliśmy na *campo*, podszedłem do niego, pokazałem mu legitymację i poprosiłem o dokument tożsamości – zaczął Vianello. – Widziałem, że zastanawiał się nad ucieczką, ale potem powiedział, że zostawił dokumenty w pokoju i że wszystko jest z nimi w porządku. Znał tylko kilka słów po włosku, ale potrafił to jasno przekazać.

– A potem?

– Zapytałem, skąd jest, a on odparł, że z Republiki Środkowoafrykańskiej. Spróbował mnie oczarować szerokim uśmiechem i nazywał mnie *amico*.

Vianello nie wydawał się oczarowany, Brunetti słuchał dalej.

– Powiedziałem mu, że nie jestem jego *amico*, tylko *la Polizia*, a potem dodałem jeszcze, żeby trzymał się z dala od szkoły.

– Zrozumiał to?

– Myślę, że wyraziłem się dostatecznie jasno – odparł Vianello.

– Chyba ani trochę mu nie współczujesz – zauważył Brunetti.

– Dlaczego miałbym mu współczuć? Jest tutaj, nie ma pracy, więc opłacam jego utrzymanie ze swoich podatków. Państwo daje mu dach nad głową i pięćdziesiąt euro dziennie...

Zanim Vianello się rozkręcił, Brunetti zapytał:

– Skąd wiesz, że to pięćdziesiąt euro?

– Wszyscy o tym wiedzą – odparł Vianello.

– Wszyscy mogą tak mówić – przyznał Brunetti. – Ale nie jestem pewien, czy ktoś to wie na pewno. Próbowaleś pomnożyć pięćdziesiąt przez trzydzieści?

– Co takiego? – zapytał Vianello obronnym tonem.

– Czy próbowałeś pomnożyć pięćdziesiąt przez trzydzieści?

Brunetti odpowiedział na własne pytanie, zanim Vianello zdążył to zrobić.

– Tyle właśnie jest dni w miesiącu. Razy pięćdziesiąt.

Czekał, aż Vianello to policzy.

– To tysiąc pięćset euro – oznajmił inspektor, nie próbując nawet ukrywać zaskoczenia.

– Myślisz, że rząd ma tyle, żeby dawać każdemu z nich? – zapytał Brunetti. – Plus zakwaterowanie?

Vianello przeczesał palcami włosy.

– Ale... – zaczął. – Wszyscy tak mówią. Mówią też, że nie trzeba płacić od tego podatku – dodał po chwili i popatrzył na Brunettiego. – Gdyby tak było, to wychodziłoby tyle, ile dostaje na rękę osoba zarabiająca około trzech tysięcy euro miesięcznie.

Złożył gazetę i odsunął ją powoli na krawędź biurka.

– To niemożliwe, prawda? – zapytał, patrząc na Brunettiego. – Że dostają aż tyle?

– Wątpię w to – odparł Brunetti. – Słyszałem wiele wersji tej samej historii: że dostają całe mieszkania, nie tylko pokoje. Że ich nazwiska zawsze są na początku listy przydziału lokali komunalnych, więc Włosi nie mają gdzie mieszkać. – Jedna z ulotek, które otrzymał z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, podawała szacunkową kwotę pięćdziesięciu euro, był to jednak koszt utrzymywania imigranta w jednym ze schronisk lub innych ośrodków. Bardzo niewiele z tego trafiało do nich bezpośrednio. – Możliwe, że rząd wydaje na nich pięćdziesiąt euro dziennie, ale oni nie dostają tych pieniędzy – podsumował.

– *Mamma mia* – wybuchnął Vianello. – Jeszcze trochę, a zacznę głosować na Ligę Północną.

– Logika była moim ulubionym przedmiotem w szkole – powiedział Brunetti, jakby chciał usprawiedliwić swoją krytyczną postawę. – Lubiłem ją, ponieważ pozwalała stwierdzić, dlaczego to, co ktoś mówi, jest nonsensem.

– Na przykład? – zapytał Vianello.

– Tak jak z tymi imigrantami i argumentem, że powodują zubożenie naszego kraju, zabierają pieniądze, które się nam należą. A także naszą pracę i nasze kobiety.

Umilkł na chwilę, ale gdy Vianello nie ponaglił go następnym pytaniem, zaczął wyjaśniać dalej:

– Zgodnie z logiką, to się odwołuje do lęków. Jeśli sprawisz, że ludzie

zaczną się czegoś bać, możesz ich skłonić, żeby zrobili to, co chcesz.

Vianello, który właśnie zażartował na temat popierania Ligi, dodał:

– Jeśli przemnożysz pięćdziesiąt euro dziennie przez kilka miesięcy, przekonasz się, że niemożliwe, by dostawali aż tyle.

Brunetti wzruszył ramionami.

– Właśnie. Odwoływanie się do lęków – powiedział.

– Nie brakuje tego, prawda? – zapytał Vianello.

Tym razem to Brunetti skinął bez słowa głową. Miał już zapytać Vianella, czy signorina Elettra powiedziała mu o próbie włamania do poczty *vice-questore*, gdy inspektor dorzucił:

– Ale mimo wszystko, niezależnie od tego, czy te pieniądze trafiają bezpośrednio do imigrantów, wydaje się na nich pięćdziesiąt euro dziennie. – Spojrzał szybko na Brunettiego. – Osiemnaście tysięcy euro na rok?

Tym razem to Vianello musiał zaczekać. Brunetti skinął głową, kiedy sam to porachował.

– To nadal więcej, niż ja zarabiam rocznie. – Vianello przeprowadził kolejne obliczenia i uznał, że powinien sprostować. – To znaczy, po odjęciu podatków.

Czy na twarzy inspektora pojawił się uśmiech?

Brunetti uznał, że czas udać się do własnego gabinetu.

Brunetti nie spotkał na schodach nikogo. Wszedł do gabinetu, oparł się pokusie zamknięcia za sobą drzwi i podszedł do okna, żeby spojrzeć na fasadę San Lorenzo. Ekipa konserwatorska już dawno zniknęła, nie pozostawiając żadnych śladów swojej obecności. Co gorsza, zniknęło stojące tam od lat kocie kondominium, podobnie jak – niestety – same koty.

Na przestrzeni lat z tej okolicy zniknęła większość wolno żyjących kotów, a teraz zlikwidowano ich ostatni dom, fantazyjny wieżowiec. Brunetti uświadomił sobie, że przejmuje się bardziej ludźmi niż kotami. One były sprytne, więc znajdą nowe bezpieczne kryjówki i będą żyć dalej, ale co z ludźmi z domu opieki, których tak cieszyła ich obecność? Jak oni przyjmą to okropne zdarzenie? I co z Vianellem, któremu z taką wyższością mówił o logice i jej wspaniałości?

Usłyszał poruszenie przy drzwiach.

– *Avanti* – zawołał i odwrócił się, by przywitać gościa.

To była signorina Elettra, ubrana w coś, co można by wziąć za mundur polowy. Marynarka, uszyta z materiału w szaro-zielone plamki, miała na wysokości piersi zapinane kieszonki. Trochę mniej stosownie wyglądały spodnie, grafitowe i bardzo wąskie – zdecydowanie nie tego rodzaju, jaki włożyłoby się, ruszając do bitwy. Jednakże buty pasowały do wcześniejszego obrazu – na grubej podeszwie, z czarnej skóry wyglansowanej tak, że lśniła jak lustro, sięgały do połowy łydki, a białe sznurowadła były związane w skomplikowany sposób. W ręce signorina Elettra trzymała zamiast broni teczkę.

– Planuje pani odparcie inwazji? – zapytał Brunetti.

– Znalazłam trochę informacji o wnuczce hrabiny Lando-Continui – odparła. Może tylko mu się wydawało, że się odezwał?

– Chętnie posłucham – powiedział i wskazał ręką krzesła.

Usiadła, założywszy nogę na nogę. Otworzyła teczkę.

– Manuela – zaczęła – ma stwierdzoną niepełnosprawność intelektualną w stopniu umiarkowanym, a jej matka otrzymuje na nią zasiłek pielęgnacyjny w wysokości stu dwunastu euro miesięcznie.

Signorina Elettra spojrzała na Brunettiego, który skinieniem głowy zachęcił ją, by kontynuowała.

– Miała długotrwałe niedotlenienie mózgu. Oficjalny raport podaje to jako przyczynę jej niepełnosprawności i uzasadnienie przyznania zasiłku. Stwierdza także, że upośledzenie objawia się utrwalonym dziecięcym zachowaniem. Jej wiek mentalny jest szacowany na siedem lat, chociaż w niektórych obszarach wydaje się mieć większe możliwości. – Spojrzała na Brunettiego, który potrząsnął głową. To było więcej, niż chciał wiedzieć. – Znalazłam szkołę, do której uczęszczała, i porozmawiałam z *preside*, który pracuje tam dopiero od czterech lat. Akta osobowe Manuely są dostępne online i wynika z nich, że przez ostatnie trzy miesiące, jakie spędziła w szkole, opuszczała sporą część lekcji. Tylko jeden z jej nauczycieli nadal tam pracuje. Uczył ją włoskiego, ale pamięta niewiele poza tym, że była piękna.

Brunetti zdawał sobie sprawę, że chociaż fakty piętrzą się wokół niego jak przyływ, niewiele z nich może sugerować okoliczności kryminalne. Jeśli chciał poczynić jakieś realne postępy, nie mógł zrobić nic więcej bez oficjalnego upoważnienia.

Signorina Elettra zauważyła, że przestał jej poświęcać uwagę.

– O co chodzi? – zapytała.

– *Vice-questore* nic o tym nie wie. Nie miałem czasu mu o tym wspomnieć. – Gdy Brunetti usłyszał sam siebie, uświadomił sobie, jak marna to była wymówka.

– Ach – odparła i przeniosła spojrzenie na przeciwległą ścianę, jakby tam było wypisane rozwiązanie i musiała tylko przyjrzeć się dokładniej, by je poznać. – Byłoby najlepiej... – zaczęła i urwała, by przestudiować ścianę

i odczytać resztę przekazu – gdyby uznał, że to śledztwo może mu w jakiś sposób pomóc w karierze.

Brunetti gapił się w punkt, z którego signorina Elettra wyczytała tak trafne sugestie. Ich spojrzenia kierowały się w to samo miejsce, gdyż siedzieli w identycznej pozycji i wpatrywali się w ścianę z nadzieją na objawienie.

– Poznała pani żonę dottore Patty? – przerwał ciszę pytaniem.

– Spotkałam ją raz, na przyjęciu dla *praetore*. Starła się przyciągać jego uwagę, nie moją.

Brunetti był zaskoczony tym ostatnim zdaniem i koncepcją osoby, która chciała zwracać na siebie uwagę.

– Tak należy to zrobić – powiedział w końcu.

– Jak?

– Wykorzystać uwagę, którą może ją obdarzyć hrabina, jako przynętę na jego żonę.

Obserwował, jak signorina Elettra zastanawia się nad tym. Uśmiech, który w końcu wykwitł na jej twarzy, był wystarczającą nagrodą.

W szufladzie biurka Brunetti trzymał dziesięcioletnią nokię, którą kupił Raffiemu na wyprzedaży za dziewiętnaście euro. *Telefonino* służyło jego synowi przez cztery lata, a następnie zostało przekazane Chiarze, do czasu, gdy jej zażenowanie używaniem telefonu tak niemodnego – chociaż nadal sprawnego – urosło do takich rozmiarów, że wykorzystwała kieszonkowe, by kupić sobie nowszy model. Komórka, z poobijaną i popękaną obudową, wylądowała w teczce Brunettiego, a następnie w jego biurku. W środku znajdowała się karta kupiona za gotówkę przez jednego z jego informatorów, na fałszywą *carta d'identità*, dzięki czemu nie można było jej śledzić. Brunetti zostawiał telefon w szufladzie, ponieważ miał pewność, że nikt nie ukradnie czegoś takiego.

Używał go tylko wtedy, gdy nie chciał, by po rozmowie pozostał jakikolwiek ślad, który mógłby doprowadzić do niego.

Hrabina podała mu swój numer i upoważniła go, żeby zadzwonił, jeśli będzie trzeba. Zapewniła też, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by mu

pomóc. Odebrała telefon, wypowiadając tylko krótkie „Sì”, bez wątplenia dlatego, że nie знаła numeru, z którego do niej dzwoniło.

– To ja, pani hrabino. Powiedziała pani, że mogę dzwonić.

– Ach – szepnęła.

– Czy byłaby pani skłonna zaprosić pewne małżeństwo na obiad i, jeśli będzie trzeba, zaproponować żonie miejsce w radzie nadzorczej Salva Serenissima?

– Zrobię to, jeśli mnie pan poprosi – odparła natychmiast.

– Dziękuję – odparł i rozłączył się.

Spojrzał na siedzącą po drugiej stronie biurka signorinę Elettę i, dostosowując się do stylu jej ubioru, uniósł palce w triumfalnym „V”.

Dwadzieścia minut później Brunetti siedział przed biurkiem swojego zwierzchnika i robił, co w jego mocy, by sprawiać wrażenie zakłopotanego, wręcz zawstydzonego, bez wątplenia tym, iż on, zwyczajny śmiertelnik, został wybrany, by zaaranżować spotkanie gwiazd.

– Nie, *vice-questore*, ja nie poruszałem tego tematu. Zrobiła to hrabina. – Pilnował się, by nie spojrzeć Patcie w oczy, i nie odrywał wzroku od blatu biurka. – Tak jak panu mówiłem, kilka dni temu zostaliśmy zaproszeni na obiad, a hrabina opowiadała o swojej fundacji, Salva Serenissima. Powiedziała, że zwolniło się miejsce w radzie nadzorczej, ale zależy jej na znalezieniu kobiety, stanowczo kobiety, która w porównaniu z jej pozostałymi członkami miałaby bardziej obiektywne spojrzenie. Powiedziała, że ma już dość snobów i poszukuje poważnej osoby, której naprawdę leży na sercu dobro naszego miasta.

Brunetti podniósł głowę i spojrzał w oczy Patcie.

– Właśnie wtedy Paola pomyślała, by wspomnieć o pańskiej żonie.

Patta z każdym zdaniem pochylał się coraz bardziej do przodu i nalegał, by Brunetti opowiedział mu dokładnie, co zaszło, jakby chciał mieć pewność, że potrafi zdać szczegółową relację, jeśli przyjdzie mu opowiadać o tym komuś innemu.

– Mów dalej – zachęcił. – Proszę.

– Oczywiście, *dottore*. Tak jak mówiłem, Paola słyszała wiele dobrych rzeczy o pańskiej żonie, więc zasugerowała hrabinie, by zaproponowała jej ewentualne wejście do rady.

– Czy hrabina zasięgnęła twojej opinii? – spytał Patta tonem, który miał być przyjazny, ale zabrzmiał raczej złowrogo.

– Owszem, a ja powiedziałem, że moim zdaniem Paola ma rację.

– Doskonale – potwierdził Patta życzliwszym głosem. – Co było dalej?

– Pozwoliłem sobie przekazać jej numer pańskiego telefonu. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, zrobiłem tak, ponieważ nie znałem telefonu pańskiej żony.

– Co dalej? – zapytał ponownie Patta.

– Powiedziała, że zadzwoni w tym tygodniu, by dowiedzieć się, czy... – Zamierzał właśnie powiedzieć „czy pańska żona zechce z nią porozmawiać”, ale w porę się zorientował, że zabrzmiałoby to zbyt uniżenie nawet w uszach Patty. – ...czy pańska żona mogłaby być zainteresowana tą pozycją. – Brunetti skrzyżował nogi i oczekiwał na słowa zwierzchnika.

– Porozmawiam z nią o tym dziś wieczorem. – Patta usilnie się starał brzmieć nonszalancko, jakby on i jego żona codziennie mieli do czynienia z podobnymi propozycjami. – Czy mógłby mi pan powiedzieć coś więcej o rodzinie Lando-Continui?

– To jeden z najstarszych rodów w mieście – skłamał Brunetti. – Fundacja hrabiny jest bardzo znana. – Dał Patcie czas na zastanowienie się nad tym. – Ich *palazzo* naprawdę robi wrażenie.

Teść Brunettiego stwierdził, że jest to posiadłość drugiej kategorii, ale Brunetti z całą pewnością nie zamierzał publicznie rozgłaszać tej opinii.

– Jest tylko jedna sprawa... – zaczął Brunetti.

– Co takiego? – zapytał Patta.

– Chodzi o wnuczkę.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Mało kto o tym pamięta, ja sam wiem o tym tylko dlatego, że powiedziała mi to moja teściowa, ale hrabina zadrezcza się pewną sprawą i uważa, że to my możemy być za to odpowiedzialni.

– Ty i twoja żona?

– Nie, *dottore* – odparł Brunetti z uśmiechem, który robił wrażenie odpowiednio nerwowego. – Policja.

– Jakim cudem kobieta o takim statusie społecznym miała w ogóle do czynienia z policją? – Patta przybrał ostrzejszy ton.

Teraz, gdy przełożony połknął haczyk, Brunetti postanowił pociągnąć linkę mocniej i wykorzystał w tym celu tytuł matki Paoli.

– Hrabina Falier opowiedziała nam o tym przy okazji tamtego obiadu. Wiele lat temu hrabina Lando-Continui, jej najbliższa przyjaciółka, skarżyła się jej, jak bardzo jest niezadowolona ze sposobu, w jaki policja prowadziła śledztwo w sprawie zdarzenia, które ona uznała za napad na jej wnuczkę.

– Nic o tym nie wiem – odparł Patta, dokładnie tak, jak się Brunetti spodziewał. Był zaskoczony, że *vice-questore* nie potrząsnął dzwonkiem, aby wezwać porucznika Scarpę, i nie kazał mu przynieść miski z ciepłą wodą, by umyć ręce od wszelkiej odpowiedzialności.

– To było na długo przedtem, zanim pan tu przyjechał, *dottore*. To jasne, że nie może pan o tym nic wiedzieć. Ale hrabina jest najwyraźniej przekonana, że popełniono jakąś pomyłkę. – Brunetti uniósł ręce i wzruszył ramionami, jakby chciał zasugerować, że żona jego zwierzchnika będzie miała inne okazje, by dołączyć do weneckiej śmietanki towarzyskiej.

– Przyjrzałeś się tej sprawie? – zapytał Patta.

– Pamiętam ją trochę. – Brunetti tym razem skłamał z większą łatwością. Pokręcił głową na boki, co mogło naśladować gest indyjskiego aktora widzianego w bollywoodzkim filmie kilka tygodni temu lub wyrażać niepewność.

– Co takiego wiesz? – Ton głosu Patty stał się bardziej dociekliwy.

– Wydaje mi się możliwe, iż podczas tamtego śledztwa przeoczono pewne szczegóły – odparł Brunetti wymijająco.

– Czy tę sprawę można na nowo otworzyć? – zapytał Patta.

– Na pewno, jeśli poprosi pan sąd, żeby to nakazał, *dottore* – Brunetti promieniował chęcią pomocy i życzliwością.

– Oczywiście – odparł Patta tonem człowieka nawykłego do wydawania rozkazów. – Prześlij mi e-mail ze wszystkimi informacjami: numerem sprawy, datami, osobami zamieszanymi w sprawę, a ja się zastanowię, czy znajdę kogoś, kto by wydał odpowiedni nakaz. – Umilkł na chwilę i dodał: – Gottardi się do tego nada. Jest nowy i nie będzie sprawiać problemów.

Brunetti wiedział, kiedy należy zniknąć. Podniósł się z krzesła.

– To bardzo pięknie z pana strony. Jestem pewien, że hrabina Lando-Continui będzie zadowolona.

Sama myśl o tym, że osoba z arystokracji będzie z niego zadowolona, rozlała uśmiech na twarzy Patty. Brunetti opuścił gabinet.

Gdy wyszedł, nie był pewien, czy Patta zadzwoni do żony natychmiast, czy też zaczeka do obiadu, by zaskoczyć ją dobrą nowiną, więc nie chciał zostawać i rozmawiać z signoriną Elettrą. Jednakże ona przywołała go gestem do swojego biurka.

– Rozmawiałam z Giorgio – powiedziała. – Niedawno dostał awans i jest bardzo zajęty, ale powiedział, że przyjrzy się temu, kiedy tylko znajdzie czas.

Rozmowa z Pattą zrobiła na Brunettim takie wrażenie, że potrzebował chwili, żeby zrozumieć, że signorina Elettra mówi o próbie włamania do poczty elektronicznej *vice-questore* i porucznika.

– Czym on się teraz zajmuje? – zapytał Brunetti.

Signorina Elettra omiotła go spojrzeniem, jakby chciała oszacować, czy można mu powierzyć tę informację i czy w ogóle powinien ją znać. Najwyraźniej oba sprawdziany zaliczył pomyślnie, ponieważ odparła, niższy głos:

– Pracuje nad sposobem wymazania wszystkich rejestrów z numerami, na jakie dzwoniło z określonego telefonu, jak również wszelkich nagrań samych rozmów, jakie mogły powstać.

– Jak rozumiem, to wszystko może zrobić ze swojego komputera?

– Cóż – odparła z udawanym wahaniem. – Nie ze swojego komputera, ale z komputera.

– Z jednego z komputerów należących do Telecomu? – zapytał Brunetti, zdumiony informacją, że Giorgio zwrócił się przeciwko swojemu pracodawcy i jeszcze bardziej zdumiony tym, że ryzykowałby w tym celu użycie jednego ze służbowych komputerów.

– Myślałam, że panu o tym mówiłam, *dottore*. On już nie pracuje w Telecomie. Od jakiegoś czasu. – Równie dobrze mogłaby przylepić sobie na czoło podświetlony znak ZAKAZ WSTĘPU.

– Ach tak – odparł Brunetti, który nagle zaczął pojmować. – Mam nadzieję, że nadal jest chętny, by...? – zaczął, ale nie potrafił dokończyć zdania, albo raczej znaleźć właściwego określenia na to, co Giorgio od lat robił dla signoriny Elettry. Większość terminów, jakie przychodziły mu do głowy, w zwykłych okolicznościach wymagałaby wszczęcia śledztwa policyjnego.

– Owszem, jest chętny.

Było oczywiste, że to wszystko, co signorina Elettra zamierza w tym momencie powiedzieć. Brunetti skinął głową i wrócił do swojego gabinetu.

Pół godziny później nadal siedział tam, niepewny, co chce zrobić. Przeczytał większość papierów, jakie zgromadziły się na jego biurku, i potrafiłby powtórzyć treść większości z nich, tak bardzo zmuszał się do koncentracji na nich. Jednakże żadna z tych spraw nie wymagała jego uwagi. Sprawa bangladeskiego tragarza, który dźgnął śmiertelnie innego bangladeskiego tragarza podczas zacieklej kłótni o podział terytorium na dworcu kolejowym, została rozwiązana w ciągu kilku godzin od śmierci ofiary. Ciało znalezione w lagunie cztery dni temu szybko zidentyfikowano jako emerytowanego elektryka, który dostał ataku serca i wypadł z łodzi podczas wędkowania. Listonosz z Lido, który podpalił kamper nowego przyjaciela swojej byłej żony, został znaleziony i aresztowany.

Brunetti wiedział, że wykorzysta szybkie zakończenie tych spraw, by usprawiedliwić zajęcie się dochodzeniem dotyczącym wypadku sprzed piętnastu lat, który mógł w ogóle nie być sprawą kryminalną.

Zastanawiał się, czy właśnie na tym będzie polegać jego emerytura? Na wtykaniu nosa w sprawy innych ludzi, kiedy tylko zacznie mu się wydawać, że dostrzega jakieś nieścisłości w ich historii? Czy każda śmierć musi zostać schludnie zapakowana, zanim były komisarz Brunetti odczepi się od niej i pozwoli ludziom żyć spokojnie?

Wybrał numer gabinetu Rizzardiego przy kostnicy. Patolog odebrał i przedstawił się.

– To ja, Ettore – powiedział Brunetti. – Chciałbym cię poprosić o przysługę.

– Doskonale, dziękuję – odparł Rizzardi tonem konwersacyjnym. – A u ciebie?

– Chodzi o dokumentację medyczną ze szpitala. Pomyślałem, że możesz coś wiedzieć. – Rizzardi milczał, więc Brunetti brnął dalej. – Sprzed piętnastu lat. Dostanę nakaz sądowy, który pozwoli mi do niej zajrzeć, ale chyba dopiero za kilka dni, więc na razie nie mam upoważnienia, żeby zadawać pytania albo zobaczyć te dokumenty. Czy w archiwum szpitalnym jest ktoś, kto mógłby mi pomóc?

– Czy chodzi ci o kogoś z moich pacjentów, że tak to ujmę? – zapytał patolog. – Czy może o pacjenta któregoś oddziału? – Jeśli to było możliwe, głos Rizzardiego stał się jeszcze bardziej przyjazny, jakby ta rozmowa sprawiała mu ogromną przyjemność.

– O kogoś, kto został przyjęty do szpitala – odparł Brunetti. – A potem z niego wyszedł.

– Dlaczego nie poprosisz po prostu sekretarki *vice-questore*, żeby włączyła się do systemu? – zapytał życzliwie Rizzardi. – Chyba że teraz już sam potrafisz to zrobić.

– Ettore – powiedział Brunetti – wydaje mi się, że nie powinieneś o tym wiedzieć. A przynajmniej mówić.

– Ach – odparł Rizzardi. – Przepraszam. Rozumiem, że to ściśle strzeżona tajemnica. – Patolog nie odzywał się tak długo, że Brunetti zaczął się zastanawiać, czy nie odłożył słuchawki. W końcu jednak Rizzardi

powiedział: – Muszę cię rozczarować, Guido. Jedyna osoba, którą znałem w archiwum, to znaczy znałem dostatecznie dobrze, by poprosić o tego rodzaju przysługę, przeszła w zeszłym roku na emeryturę. Teraz nie ma tam nikogo, kto byłby skłonny naginać zasady.

– Mimo wszystko dziękuję, Ettore – powiedział Brunetti i dodał: – Niedługo będzie zupełnie tak, jakbyśmy pracowali w Szwecji.

– Wiem – odparł Rizzardi. – To szokujące.

Brunetti zastanawiał się nad poszukaniem numeru telefonu online, ale ostatecznie, wierny swoim luddystycznym przekonaniom, wyciągnął z dolnej szuflady książkę telefoniczną. Jedyne wymieniony w niej Pietro Cavanis mieszkał w Santa Croce.

Połączył się z pocztą głosową, w opryskliwym dialekcie weneckim polecono mu podać nazwisko i numer oraz cel rozmowy i obiecano, być może, oddzwonienie później.

Brunetti podał swoje nazwisko i numer *telefonino*. Powiedział, że chciałby porozmawiać z signorem Cavanisem o wypadku sprzed kilku lat w pobliżu Campo San Boldo.

Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Przypomniało mu się wyrażenie, które Paola zapożyczyła od amerykańskiej przyjaciółki i którego używała, by karcić dzieci niemalże od czasów ich niemowlęctwa: *You've got ants in your pants* – „Masz mrówki w spodniach”. Bawiło ich to od lat. Brunetti wstał i podszedł do okna, wmawiając sobie, że chce sprawdzić, jaka jest pogoda. To, co zobaczył, zaskoczyło go. Pogodne poranne niebo zasnuwała teraz masa ciemnoszarych, skłębionych chmur niewróżących niczego dobrego. Spojrzał na zegarek i doszedł do wniosku, że jeśli wyjdzie teraz i będzie szedł szybkim krokiem, zdąży do domu, zanim zaczną padać deszcz, zapowiadany obecnością tych chmur.

Zaczęło padać, gdy przechodził przez most Rialto, więc skręcił za nim w lewo, pod arkady. Przez łuki po prawej stronie widział, że deszcz się nasila.

Po kilku minutach ledwie widział sklepy po drugiej stronie ulicy. Nie powinno tak padać, nawet o tej porze roku. To był monsun zapowiadający koniec świata. Brunetti szedł dalej do miejsca, w którym arkady zakręcały

i skąd roztaczał się lepszy widok na nieduże *campo*. Z trudem dostrzegał sylwetki sprzedawców ze sklepów po drugiej stronie placu, pospiesznie wnoszących do środka wieszaki z chustkami i tace z portfelami, stojące wcześniej na zewnątrz.

Otworzył parasol, uznał, że pada teraz trochę mniej, wyszedł na niemal całkowicie opustoszałą *calle* i ruszył szybko w stronę domu. Zanim dotarł do mostu, miał przemoczone buty, a rękawy marynarki nie zdołały uchronić przed deszczem, wysuwając się poza obręb parasola.

Powiedział sobie, że mógł poczekać i że zmókł, ponieważ był niecierpliwy. Ale szedł dalej. Wąska *calle* chroniła go trochę przed deszczem. Wyszedł na San Aponal, skręcił na rogu w lewo, drugą ręką wyjął z kieszeni klucze, otworzył drzwi i wszedł do ogromnego holu wejściowego.

Był przemoczony do nitki. Z butów przy każdym kroku wypływała woda i prawdopodobnie były już do niczego. Woda spływała z włosów za kołnierz koszuli i marynarki. Nie zatrzymywać się. Iść na górę. Wspinał się po schodach, w jednej ręce trzymając ociekający parasol, a w drugiej klucze. Do góry. Na swoim piętrze obejrzał się za siebie i zobaczył, że nadal zostawia mokre ślady. Zatrzymał się przed drzwiami mieszkania, postawił parasol w kącie i otworzył drzwi.

Rozłożył ręce na boki, a kiedy to zrobił, usłyszał, jak materiał koszuli odlepia się od jego ciała. Paola zawołała go z kuchni i stanęła w drzwiach po prawej stronie.

– O, doskonale, że jesteś – wykrzyknęła na jego widok.

Brunetti dosłuchiwał się sarkazmu w jej głosie, ale nie dosłyszał ani śladu.

– Chodź do kuchni – poprosiła.

Zatrzymał się tylko, żeby zdjąć buty, a potem poszedł za nią, plaskając stopami.

Ciepło kuchni przyniosło mu ulgę – do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo przemarzł. Rozejrzał się, wziął ścierkę do naczyń i wytarł sobie twarz i włosy.

– Popatrz. – Paola wskazała okno, z którego rozciągał się widok na góry na

północy.

Góry były ukryte za ścianą deszczu – nie, za wodospadem, który spadał dokładnie dziesięć centymetrów od okna.

– Co się stało? – Brunetti machnął ścierką w stronę okna.

– Myślę, że musiała się zatkać rynna. – Paola stanęła koło niego i wzięła go pod ramię, najwyraźniej nie przejmując się tym, jak było mokre, ani tym, że woda z niego kapie na kafelki. Pociągnęła go o krok do tyłu i wskazała ścianę nad oknem, przez które nadal widział kurtynę lejącej się wody. Na samej górze biała farba zmieniła kolor na jasnoszary od wilgoci przenikającej przez cegły.

– Woda w rynnie gromadzi się i ścieka po ścianie na zewnątrz – powiedziała.

Brunetti doszedł do podobnego wniosku. Wstał i przyjrzał się uważniej. Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

– Przynieś mi parasol z zagiętą rączką – poprosił Paolę, nie odrywając wzroku od wody za oknem.

Paola wyszła. Brunetti zsunął na bok rzeczy stojące na blacie i po krześle wszedł na blat. Ponieważ był teraz zbyt wysoko w stosunku do okna, przykląkł.

Paola wróciła z parasolem, więc Brunetti otworzył okno, lecz odskoczył w bok, gdy zbłąkany podmuch wiatru wtargnął do środka, zalewając deszczem kuchnię i jego samego. Zignorował to i wziął do ręki parasol. Wysunął zakrzywioną rączkę przez okno i zaparł się o framugę drugą ręką. Wychylił się, wysunął ramię przez wodną kurtynę i zaczął grzebać w rynnie nad oknem. Przesuwał rączkę parasola to w jedną, to w drugą stronę. Gdy napotkał opór, popchnął mocniej. Mocniej chwycił framugę, ponieważ miał świadomość, że znajduje się cztery piętra nad chodnikiem.

To w jedną, to w drugą, to w jedną, to w drugą, coraz bardziej popychając coś w stronę rynny odpływowej w rogu budynku. Wychylił się jeszcze dalej i poczuł, że to coś nad nim się poddaje. Nagle Paola znalazła się za nim na blacie i objęła go na wysokości piersi.

W jednej chwili opór zniknął, a parasol przesunął się swobodnie po rynnie. Tak samo szybko zniknął wodospad, ponieważ woda znalazła właściwy odpływ. Brunetti wciągnął parasol do środka, a potem zamknął okno.

Paola zeszła z blatu i stanęła przed nim. Przyłożyła obie dłonie do głowy.

– Oboje oszaleliśmy. Co by się stało, gdybyś stracił równowagę?

– Wydaje mi się, że okno jest zbyt małe – powiedział Brunetti, odwracając się, by oszacować jego rozmiary. – Nie zmieściłbym się w nim, szczególnie z tobą w charakterze kotwicy.

Kiedy znowu się odwrócił, zobaczył, że nie udało mu się uspokoić atawistycznego lęku Paoli.

– Popatrz – powiedział i poklepał się po brzuchu, widocznie zaokrąglonym pod oblepiającą go moką koszulą. – Twoje obiady prawdopodobnie uratowały mi życie.

Kiedy Brunetti wracał do komendy, z siłami wzmocnionymi długim i bardzo gorącym prysznicem oraz lunchem, zaczął się zastanawiać nad Pattą i nad tym, jak łatwo było go przechytrzyć. Wystarczyła sugestia, że żona Patty awansuje trochę na drabinie społecznej, a jego zwierzchnik wpadł jak śliwka w kompot. Czego chciała ta kobieta? Zostać przewodniczącą Lions Club? Damą Honoru i Dewocji w Zakonie Maltańskim? Mieszkała w Wenecji od lat i, o ile wiedział Brunetti, nie zdołała się dostać do żadnej z religijnych lub społecznych organizacji, w których uczestnictwo wiązało się z prawdziwym prestiżem. A jednak on, dzięki magii rodzinnych koneksji, miał niedługo sprawić, że jej marzenia się spełnią. Nie czuł ani odrobiny triumfu z tego powodu.

Kiedy znalazł się w komendzie, było już dobrze po czwartej. Na drugim piętrze spotkał schodzącą na dół signorinę Elettrę.

– Powiedział coś pani? – zapytał, kiedy zatrzymała się nad nim.

– Nie, ani słowa – odparła, wyraźnie zaciekawiona.

– Złoży wniosek o ponowne otwarcie śledztwa – zapowiedział Brunetti.

Signorina Elettra oparła się o poręcz schodów. Brunetti, który dopiero co doszedł do siebie po tym, jak wychylał się przez okno swojego mieszkania, bezwiednie położył jej rękę na ramieniu.

– O co chodzi? – zapytała, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia. Nie wyrwała mu się, ale wyswobodziła ramię z jego uścisku.

– Przepraszam. Czuję obawę, gdy ktoś się w ten sposób opiera o poręcz. – Przytrzymał się obiema rękami poręczy i wyjrzał, by ocenić wysokość. Oszacował liczbę metrów: jedenaście? Dwanaście? Z pewnością dostatecznie dużo.

Signorina Elettra cofnęła się od barierki i weszła jeden stopień wyżej.

Odwróciła się, by oprzeć się o ścianę.

– Czy tak lepiej? – zapytała.

– Tak, zdecydowanie. Dziękuję.

– To nie jest przyjemne uczucie, skoro pracuje pan na trzecim piętrze.

Brunetti wzruszył ramionami.

– Zawsze idę przy ścianie, więc mi to aż tak nie przeszkadza.

Skinęła głową, akceptując jego zdrowy rozsądek.

– O czym pan wcześniej mówił? – zapytała swobodnym tonem.

– *Vice-questore* uważa, że powinniśmy się dokładniej przyjrzeć temu, co się wydarzyło.

– I będzie chciał, żeby to pan się tym zajął?

Czuł się niezręcznie, gdy signorina Elettra tak bardzo zbliżyła się do prawdy.

– Można z tego odnieść określone korzyści społeczne.

– Jakie to szczęście, że hrabina Lando-Continui jest tak znana. Czy chciałby pan, żebym włączyła się w to śledztwo? – zapytała, ze swobodą ignorując to, że już się w nie włączyła.

– Oczywiście. – Zastanawiał się, co mogło akurat ją skłonić do zadania takiego pytania. – Będzie pani umiała poradzić sobie z *vice-questore*, gdyby jego entuzjizm zaczął słabnąć lub gdyby zaczął stawiać...

– Opór? – podsunęła.

– Jak zawsze czyta mi pani w myślach, *signorina*.

– To obowiązek każdej kobiety, *dottore* – odparła.

Uśmiechnął się z ulgą, że z taką łatwością wrócili do zwykłego przekomarzania się. Ruszył dalej w górę, świadomy tego, że wcześniej powiedział prawdę: trzymał się blisko ściany.

Na biurku nie znalazł niczego, co wymagałoby jego uwagi, więc wyjął telefon i wybrał numer Leonarda Gamma Fede.

– Skąd wiedziałeś, że wróciłem? – zapytał Lolo, który odebrał telefon.

– Pamiętaj, że jestem *commissario di polizia* – odparł Brunetti i zaniósł się

śmiechem, który miał zabrzmieć diabolicznie. – Nigdy nie jesteś przed nami bezpieczny.

– Nie mów tego nawet żartem – powiedział Lolo bez cienia rozbawienia.

– Jakież kłopoty?

– Nic, do czego nie byłbym przyzwyczajony – stwierdził wymijająco Lolo.

– Masz może czas, żeby wpaść na drinka przed obiadem?

– Właśnie dlatego dzwonię.

– Doskonale. Jesteś w pracy?

– Tak.

Obaj zamilkli i przeprowadzili geograficzne obliczenia, poszukując najdogodniej położonego baru, w którym mogliby dostać drinka i znaleźć święty spokój.

– Jest taki lokal przy Campo San Filippo e Giacomo – podsunął Brunetti.

– Ten na rogu?

– Tak. Będę tam za pół godziny.

– Doskonale – zgodził się Lolo i rozłączył się.

Brunetti, któremu pozostało trochę czasu do zabicia, czytał raporty, dopóki ich monotonia nie skłoniła go, by podszedł do okna i przyjrzał się temu, co działo się na dole. Niezgrabna łódź transportowa posuwała się powoli, zmuszając gondolę, by przycisnęła się do nabrzeża wąskiego kanału, dopóki się nie wyminęły. Obok przepłynęła taksówka wodna, której pasażerowie kryli się w kabinie. Dwóch mężczyzn w bieli wiosłowało w *sàndolo* w stronę *bacino*.

Był taki okres w życiu Brunettiego, gdy całe dłonie miał w odciskach po miesiącach spędzonych na wiosłowaniu po lagunie. To była jedyna rzecz, jakiej nauczył go ojciec, zabierający go na pokład swojej *puparìn*, od kiedy Brunetti skończył siedem lat. Nadal pamiętał radosne uczucie, gdy ojciec pochylał się nad nim i przykrywał jego dłonie swoimi szorstkimi dłońmi, by pokazać mu, gdzie należy trzymać je na wiosłach.

Jego ojciec był człowiekiem wybuchowym i impulsywnym, niezdolnym do utrzymania pracy lub przyjaźni przez dłuższy czas. Zawsze musiał mieć

rację i nie znosił żadnego sprzeciwu. Co gorsza, nie miał cierpliwości dla niekompetencji i potrafił krytykować hydraulika za użycie niewłaściwego narzędzia, rzeźnika za krzywo ukrojony kotlet i listonosza za spóźniający się list, chociaż nie przeszkadzało mu, jeśli z opóźnieniem przychodziły rachunki. Małego Brunettiego wyjście z domu z ojcem napełniało jednocześnie radością i przerażeniem, ponieważ nigdy nie mógł przewidzieć, kiedy jego ojciec zacznie się pieklić na kogoś, kto szedł za blisko niego lub zbyt powoli przed nim.

Gdy jednak znajdował się na wodzie, mógł uchodzić za wcielenie cierpliwości, natychmiast zapominał o wszystkich swoich wymaganiach dotyczących szybkości czy precyzji ruchów. Spędzał godziny z Brunettim, układając ręce syna we właściwym miejscu, a potem, po kilku minutach, zatrzymując łódź i przesuwał się naprzód, by je łagodnie poprawić.

– Świetnie ci idzie, Guido – mówił ojciec i klepał go po ramieniu lub po głowie, gdy jego syn zdołał utrzymać dłonie we właściwej pozycji dostatecznie długo, by przepłynąć pięć metrów.

Pamiętał także chwilę, gdy miał chyba czternaście lat, a jego ojciec zaproponował zupełnie obojętnie, że tego dnia mógłby spróbować usiąść z tyłu przy wiosłach. Jego serce nadal biło mocniej na to wspomnienie – najpierw ze strachu, że nie zdoła zapanować nad łodzią, a potem wszechogarniającego szczęścia, kiedy ojciec zawołał do niego:

– Dobra robota, *capitano*.

Wyrwał się z zamyślenia i spojrzał na zegarek. Do spotkania z Lolo zostało mu tylko dziesięć minut. Spóźnił się, ale jego przyjaciel tak samo – jednocześnie weszli na *campo* z przeciwnych stron.

Ponieważ widział go po raz pierwszy po tak długim czasie, ponad roku, Brunetti sam był zaskoczony tym, jak ucieszył go widok Lolo i jak bardzo był przywiązany do starego przyjaciela.

– Lolo – zawołał, a markiz, który kierował się do baru na rogu, odwrócił się do niego. Podszedł szybszym krokiem do Brunettiego i uściskali się serdecznie jak dwa niedźwiedzie, a potem odsunęli od siebie na chwilę, by zaraz uściskać się jeszcze mocniej.

Tak jak przy każdym spotkaniu, ponieważ dochodziło do nich tak rzadko, najpierw jeden, a potem drugi oznajmił „Nic się nie zmieniłeś”, po czym pokleпали się mocno po ramionach i znowu uściskali.

– Gdzieś ty się podziewał? – zapytał Brunetti, gdy przyjrzał się uważniej przyjacielowi. Dopiero teraz zauważył, jak blady był Lolo, bez śladu mocnej opalenizny, którą zazwyczaj przywoził z zagranicznych wojaży. Był także szczuplejszy, kości policzkowe wyraźnie rysowały się pod ciemnymi oczami.

– W Argentynie – odparł Lolo i znowu poklepał Brunettiego po ramieniu, jakby słowa nie mogły w dostatecznym stopniu wyrazić radości, jaką odczuwał na jego widok. Dodał z nieco bledszym uśmiechem: – Płacę za swoje grzechy. – Zaraz jednak jego głos się rozpogodził: – I chcę mieć oko na swoje inwestycje.

Chociaż Brunetti był zadowolony, uznał, że lepiej będzie kontynuować tę rozmowę nad dwoma kieliszkami wina, więc położył rękę na ramieniu Lolo i skierował go do baru.

Lokal został odnowiony od czasu, gdy ostatnio wstąpił tu na drinka. Drewniany bar pokryty przetartą różową ceratą zniknął, zastąpiony płytą z białego marmuru, która wyglądała jak zrabowana z etruskiego grobowca. Goście, chcący wypić szybką kawę lub kieliszek wina, nie musieli już stać, ale byli zapraszani, by usiąść na wysokich i wyglądających na niestabilne stalowych stołkach z plastikowymi siedzeniami w neonowopomarańczowym kolorze. Butelki ustawione na półkach przed idealnie czystym lustrem miały wyszukane etykiety, które nawet nie próbowały sugerować ich zawartości.

Sześć starych drewnianych stolików, podrapanych i poprżypalanych przez pokolenia gości, odeszło na emeryturę wraz z ladą barową. Brunetti i Lolo zawahali się w drzwiach, a potem, zgodziwszy się bez słowa, poszli na koniec sali i zajęli miejsca przy jednym z trójnogich stolików pod ścianą. Ponieważ obaj byli słusznego wzrostu, górowali znacznie ponad lustrzanym blatem.

Brunetti przyjrzał się przyjacielowi raz jeszcze i zobaczył mężczyznę o pociągłej twarzy, po pięćdziesiątce, postawnego i muskularnego, z oczami w koronce cieniutkich kresek, wyżłobionych przez lata przebywania w zbyt

mocnym słońcu, wydającymi się teraz nie na miejscu na jego dziwnie bladej twarzy.

Gdy podszedł kelner, Brunetti poprosił o kieliszek białego wina.

– *Due* – powiedział Lolo, najwyraźniej tak samo jak Brunetti niezainteresowany długą listą możliwości, które zaczął prezentować kelner. Wystarczyło, że będzie białe i chłodne.

– Argentyna? – zapytał Brunetti, gdy kelner się oddalił.

Lolo schylił głowę i obiema rękami poczochnął włosy. Brunetti zauważył, że nadal były gęste i ciemne, zaszeleściły sucho, gdy Lolo je przeczesywał. Uporawszy się z tym, spojrział na Brunettiego.

– Jeden z moich braci ma tam ranczo i hoduje bydło. Poprosił mnie, żebym przyjechał i pomógł mu wyplątać się z kłopotów.

– Jak długo tam byłeś?

– Trzy miesiące.

– Na ranczu?

– Głównie w biurze rancza – wyjaśnił Lolo i spojrział na zbliżającego się kelnera, który postawił kieliszki na stole i wrócił za bar. – Staralem się ratować, co się dało.

Brunetti uznał, że to wyjaśnia brak opalenizny. Podniósł kieliszek i stuknął nim kieliszek Lolo. Co takiego mogło zająć trzy miesiące?

– A co z twoją rodziną? – zapytał.

– Brat jest przecież rodziną – odparł zaskoczony Lolo. – Wszyscy tam teraz mieszkają. – Pociągnął długi łyk wina i odstawił kieliszek. – Argentyńskie jest lepsze.

– Wino?

– Tak. I wołowina. To wszystko. – Lolo upił jeszcze łyk, zakręcił winem w kieliszku i dodał: – Przysięgam, że już nigdy w życiu nie będę krytykować biurokracji w tym pięknym kraju.

– Tutaj? – Brunetti nie potrafił ukryć zdumienia.

Kelner ponownie zbliżył się do stolika, postawił między nimi miseczkę

z solonymi fistaszkami i odszedł.

– Guido – Lolo wziął garść orzeszków i odchylił głowę, by wrzucić je jeden za drugim do ust – w porównaniu z Argentyną mieszkamy w Szwajcarii. – Pogryzł, przełknął, wrzucił do ust więcej orzeszków. – W Szwecji. W Norwegii. – Więcej orzeszków. – W Finlandii. – Wziął jeszcze garść i posłał je w ślad za poprzednimi. – Nie masz nawet pojęcia.

– Trudno w to uwierzyć – przyznał Brunetti, siląc się na spokój.

– Wiem o tym, ale możesz mi wierzyć. – Lolo odstawił kieliszek i odsunął krzesło na tyle daleko, by skrzyżować nogi, nie uszkadzając ani siebie, ani stolika. – Co chcesz wiedzieć? – zapytał, co przypomniało Brunettiemu, że jego przyjaciel nie znośił marnowania czasu.

– Chciałbym się dowiedzieć czegoś o fundacji Salva Serenissima. Zobaczyłem twoje nazwisko na liście rady nadzorczej. Ale przede wszystkim chciałem się z tobą spotkać i zobaczyć, jak się miewasz – odparł Brunetti, co było szczerą prawdą.

Lolo roześmiał się.

– Nie mów mi, że Demetriańska sięgnęła także do twojej kieszeni. – Potrząsnął głową z mieszaniną szacunku i irytacji. – Jest naprawdę nieznośna, ale nie potrafię jej nie lubić.

– Dobrze ją znasz?

– Tak jakby odziedziczyłem ją po rodzicach – powiedział Lolo i napił się wina. – Wydaje mi się, że moi rodzice znali ich od zawsze, ją i jej zmarłego męża. Jest dla mnie prawie jak przyszywana ciotka.

– A Salva Serenissima? – zapytał Brunetti.

Lolo odchylił się tak, że przednie nogi krzesła oderwały się od podłogi. Splótł ramiona i spojrzał w dal, jakby zastanawiał się nad pytaniem Brunettiego.

– Myślę, że to jej dziecko.

– Słucham?

Lolo pozwolił, by nogi krzesła opadły na ziemię.

– Może należałoby powiedzieć, że to dla niej źródło największej

satysfakcji.

– Ma przecież syna, prawda? – zauważył Brunetti.

– Owszem. Łebski gość z tego Tea. Odziedziczył połowę rodzinnych interesów i zbija fortunę na własną rękę. Większość z tego jest obecnie za granicą, więc on także cały czas gdzieś wyjeżdża. Tajlandia, Indonezja, Indie.

– Zanim Brunetti zdążył zapytać, Lolo dodał: – Nigdy nie potrafili się porozumieć z Demetrianą.

– Poznałeś jego pierwszą żonę? – drążył Brunetti.

– O, tak. – Lolo podniósł kieliszek i opróżnił go. – Barbarę. – Rozejrzył się za kelnerem, wykonał gest w jego stronę, podniósł kieliszek i spojrzał na Brunettiego, który skinął głową. – *Due* – zawołał do kelnera, a potem oparł łokcie na stole i klasnął w dłonie kilka razy.

– Wiesz o ich córce? – zapytał.

– Tak. Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać – odparł Brunetti.

Lolo spojrzał na Brunettiego badawczo.

– Ach, a ja myślałem, że twój telefon zawdzięczam tylko swojemu urokowi osobistemu.

– To przede wszystkim – odparł Brunetti podobnie żartobliwym tonem. Dodał poważniej: – Poprosiłem *vice-questore* o ponowne otwarcie śledztwa w sprawie tego, co się z nią stało.

– Czy to konieczne?

Przerwał im kelner, stawiając kolejne dwa kieliszki wina i wymieniając na wpół opróżnioną miskę fistaszków na pełną.

Brunetti zignorował kieliszek i zrelacjonował przyjacielowi nieliczne znane mu fakty, kończąc na historii o pijanym ratowniku Manueli.

Lolo podniósł kieliszek za nóżkę, obrócił go kilka razy i odstawił, nie tknąwszy alkoholu.

– Cóż, uratował ją i nie uratował – powiedział w końcu. Nie odrywał wzroku od kieliszka, ale Brunetti widział, że twarz przyjaciela przybrała ponury wyraz.

– Widziałeś ją od tamtego czasu? – zapytał.

– Tak.

– Jaka ona jest?

Lolo wypił połowę zawartości kieliszka. Odstawił go niezgrabnie, z głośnym stuknięciem.

– To piękna kobieta z pustą twarzą, zwykle nierozumiejąca nic z otoczenia. Jest urocza, ale po chwili zauważasz, że coś jest z nią nie tak.

Lolo zapytał z taką samą powagą, jaka pojawiła się w jego głosie, gdy opisywał tę kobietę:

– Dlaczego zawracasz sobie tym głowę? Co się stało, to się nie odstanie.

– Jej babka prosiła mnie o to. Nie chce umierać, nie wiedząc, co się stało.

– Co jej to da?

Brunetti w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Ale to niczego nie zmieni – powiedział gwałtownie Lolo.

– Będzie przynajmniej wiedziała, co się stało. – Tylko tyle potrafił odpowiedzieć Brunetti.

Lolo znowu splótł ramiona i siedział przez dłuższą chwilę, nie odrywając wzroku od przeciwległej ściany.

– W takim razie Salva Serenissima nie powinna cię interesować – zauważył.

– Owszem, powinna. Poznałem kilka osób, które do niej należą lub będą należeć i chyba jestem ciekaw ich motywacji. – Brunetti potrząsnął głową, ponieważ nawet w jego uszach zabrzmiało to ogólnikowo. – Ona... hrabina chce zostawić to miasto lepsze, niż je zastała. Nie wydaje mi się, by można było w to wątpić.

– Ale? – zapytał Lolo.

– Ale część ludzi wokół niej... Nie rozumiem, czego oni chcą.

– Kto taki?

– Angielski bankier i jego przyjaciółka. Myślę, że on jest głupcem, ale ona nie. On wyraźnie byłby gotów w czymś pomóc, jeśli to zostanie szybko

zrobione. – Brunetti nagle przypomniał sobie o winie i napił się go.

– A on będzie mógł sobie przypisać zasługi? – zapytał Lolo.

– Znasz tych ludzi, o których mówię?

– On jest niski i nijaki z wyglądu, a ona ma ogromne brązowe oczy i niewiele mówi? – zapytał Lolo.

Brunetti skinął głową.

– Masz rację w obu przypadkach – zgodził się jego przyjaciel i dodał szybko: – Ale co z tego, jakimi są ludźmi, jeśli tylko dadzą pieniądze i coś za nie zostanie zrobione?

Brunetti roześmiał się.

– Widzę, co zrobiły z tobą te trzy miesiące w Argentynie – odrzekł.

Lolo w pierwszej chwili był zaskoczony, potem próbował udawać oburzonego, a w końcu się uśmiechnął.

– Całe życie w Wenecji zrobiło więcej.

Brunetti roześmiał się na te słowa, więc Lolo nie musiał niczego wyjaśniać. Zamiast tego zapytał:

– Czy interesuje cię ktoś jeszcze?

– Nikt spośród cudzoziemców.

– Kto w takim razie? – Lolo uniósł kieliszek.

– Na obiedzie był wenecjanin, który bezwstydnie schlebiał hrabinie. Trochę młodszy od nas, z bródką jak ostatni car. Wydawało się, że słuchanie go sprawia jej przyjemność – dodał Brunetti z lekkim rozczarowaniem w głosie.

– Ach, Vittori – powiedział tylko Lolo.

– Czy on nie nosi podwójnego nazwiska? – zapytał Brunetti.

Lolo prychnął śmiechem w kieliszek. Kiedy się uspokoił, zadał zaskakujące pytanie:

– Czy możesz wymienić nazwisko kogoś, dla kogo pracował twój ojciec?

– Słucham?

– Nazwisko kogoś, kto zatrudnił twojego ojca do dowolnej pracy. Podaj mi

je.

Brunetti pomyślał o handlarzu warzywami i owocami, który gdy jego ojciec miał okres relatywnie spokojniejszy, zatrudnił go, by rozwoził produkty do restauracji.

– Camuffo.

– W takim razie masz takie samo jak on prawo, by nazywać się Guido Brunetti-Camuffo.

– Chcesz powiedzieć, że sam to wymyślił?

Lolo splótł ramiona, odchylił się do tyłu i zamyślił, zapatrzony w sufit. W końcu powiedział:

– Zawsze się zastanawiałem: skoro ludzie tacy jak on są zdolni dodać nazwisko do swojego nazwiska, to co potrafią dodawać do swoich rachunków? – Pozwolił, by jego krzesło opadło ze stuknięciem na podłogę. – Można by raczej powiedzieć, że pożyczył sobie to nazwisko – wyjaśnił z ledwie skrywaną odrazą. – Jego ojciec pracował dla Ricciardich, chyba jako ogrodnik. Wszyscy o tym wiedzą.

Brunetti, który o tym nie wiedział, nadal zastanawiał się nad tym, jak to by było, gdyby szedł przez życie jako Guido Brunetti-Camuffo.

– Ale po co miałyby to robić? – zapytał.

Lolo wyciągnął rękę nad stołem i lekko zmierzwił włosy przyjaciela.

– Jesteś cudowny, Guido, naprawdę cudowny. Twoja żona ma najbardziej błękitną krew w mieście, a ty nadal nic nie rozumiesz.

– Że takie rzeczy są dla ludzi ważne? – zapytał z oburzeniem Brunetti.

Tym razem Lolo odsunął krzesło tak mocno, że uderzyło o krzesło przy sąsiednim stoliku. Popatrzył na przyjaciela i powiedział w końcu:

– To jeden z powodów, dla których jesteś mi tak bliski, Guido, i dla których jesteś tak dobrym przyjacielem.

– Ponieważ tego nie rozumiem?

– Nie, ponieważ nie ma dla ciebie znaczenia, jak ktoś się nazywa. – Po chwili dodał: – Jak ja się nazywam.

Brunetti popatrzył na fistaszki, a ponieważ musiał się czymś zająć, wsunął palce do miseczki i zamieszał orzeszki, przesuwając je z boku na bok i jeszcze raz. Gdy ułożył je w zadowalający dla siebie sposób, spojrzął znowu na Lola.

– Co jeszcze możesz o nim powiedzieć? – zapytał.

– Tylko to, że Demetriańska nie jest jedyną starszą panią, której nadskakuje.

– Co stara się od nich uzyskać? – zapytał Brunetti, który znał ten typ mężczyzn.

– Pracę. Obiady. Zaproszenia. Wyjazdy. Cokolwiek skapnie ze stołu albo co mógłby trochę poszturchać, aby skapnęło i wylądowało mu pod nogami.

– Rozumiem – odparł Brunetti. – Jak myślisz, czego chce od hrabiny?

– Prawdopodobnie pracy – odparł Lolo, wyraźnie dając do zrozumienia, że ten temat go niezbyt interesuje.

– Czy wiesz coś jeszcze o jej wnuczce?

Lolo zamknął oczy i ściągnął wargi, a potem popatrzył na Brunettiego.

– Wiesz, że nie znoszę marnotrawstwa, Guido. Nie ma znaczenia, o co chodzi, nie cierpię patrzeć, jak coś przepada albo się psuje.

Brunetti skinął głową, by zachęcić go do kontynuowania.

– To właśnie stało się z Manuelą. Była uroczym, kochanym dzieckiem. Widywałem ją rzadko, może z pięć czy sześć razy, gdy była młodsza i odwiedzała Demetriańską. Potem, gdy skończyła czternaście czy piętnaście lat, Demetriańska powiedziała mi tylko, że ma jakieś „problemy”, ale nie zdradziła żadnych szczegółów. – Machnął ręką. – Wiesz, jak to jest, gdy ktoś używa tego słowa w odniesieniu do bliskiej osoby. Może chodzić o cokolwiek: narkotyki, anoreksję, złe towarzystwo.

Brunetti starał się zachować nieprzenikniony wyraz twarzy, gdy przyjaciel wypowiedział jego najgłębsze lęki.

– Potem zdarzył się ten wypadek, znalazła się w szpitalu, a gdy z niego wyszła, była już inną osobą.

Pojawił się kelner, więc Lolo zapłacił, zbywając machnięciem ręki propozycję Brunettiego, że pokryje swoją część.

– Nie rozmawiamy o niej z Demetrianą. Nic się nie zmieni. Nigdy. To właśnie marnotrawstwo, jej życie jest całkiem stracone i nic nigdy tego nie naprawi. Dlatego nie ma tu nic do powiedzenia.

– A jeśli coś się stanie z jej matką? – zapytał Brunetti.

Lolo zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę, być może rozważając, ile może powiedzieć Brunettiemu. W końcu odparł:

– Będzie musiała zamieszkać z babką lub z ojcem. Demetrianą jest po osiemdziesiątce, a Teo ma nową żonę i dzieci. Dlatego przypuszczam, że będzie musiała zostać przeniesiona gdzie indziej. Do jakiejś placówki. – Podniósł się z krzesła, a Brunetti poszedł w jego ślady.

Na zewnątrz, na *campo*, wymienili jeszcze jeden niedźwiedzi uścisk, a potem Lolo zawrócił w stronę San Marco, zaś Brunetti ruszył do San Zaccaria, żeby wsiąść na *vaporetto*.

Obiad upływał w ciszy i spokoju. Raffi poszedł na pizzę z Sarą Paganuzzi, która wróciła po roku studiów w Paryżu. Zarówno Brunetti, jak i Paola odnieśli wrażenie, że Raffi mówił o niej z mniejszym entuzjazmem niż poprzednio. Być może przyczyną była jego nerwowość na początku nowego roku akademickiego, w którym miał mieć do czynienia z trzema nowymi wykładowcami i musiał dostosować się do ich nawyków. Równie dobrze mogło mu też mijać zauroczenie pierwszą miłością, ale Brunetti i Paola mogli tylko obserwować i czekać.

Chiara wypełniła pustkę spowodowaną nieobecnością brata i zapytała rodziców, czy w przyszłe wakacje pozwolą jej jechać do Londynu z przyjaciółką ze szkoły. Miały zamiar pracować jako kelnerki w restauracji wujka przyjaciółki.

– Co ty w ogóle wiesz o byciu kelnerką? – zapytała Paola, która uczestniczyła w rozmowie, stojąc przy kuchence.

– Wiem, że należy obsługiwać gości z lewej – odparła natychmiast Chiara i dodała: – Chociaż ty podajesz mi wszystko z prawej.

Paola właśnie odwróciła się do męża i córki, by przynieść na stół farfalle z *radicchio* i gorgonzolą. Zatrzymała się, odstawiła dwa talerze na blat obok siebie i uniosła głowę, by zwrócić się do Bóstwa Urażonych Matek.

– Podaję jej wszystko z prawej strony – powiedziała tonem czysto konwersacyjnym. – Z prawej, rozumiesz? Podczas gdy kelnerki powinny to robić z lewej. – Splotła ramiona i oparła się o blat. – Mam nadzieję, iż to znaczy, że dostrzega różnicę między kelnerką a swoją matką, która rano miała trzygodzinny wykład na temat poematu *Porwany lok*, a następnie przez dwie godziny siedziała na zebraniu komisji, dyskutując o zmianach w systemie emerytalnym, dotyczących profesorów uniwersyteckich.

Ponieważ zwróciła już ich uwagę, popatrzyła na nich i znowu wzniosła oczy do Bóstwa, mogącego krążyć gdzieś nad nimi.

– Uniwersytet, który ukończyłam, poniósł sromotną porażkę w zakresie przygotowania mnie do zawodu kelnerki, dlatego też idę przez życie, podając wszystko z prawej strony. Być może czynię to dlatego, że oszczędza mi to obchodzenia naokoło córki, która siedzi przy stole i czeka, aż zostanie obsłużona, a potem wracania, by obsłużyć męża. Który, pozwolę sobie dodać, zajmuje się analogicznym oczekiwaniem. – Najwyraźniej uznała, że należy rozwiązać wszelkie wątpliwości, jakie któreś z nich lub też Bóstwo mogłoby mieć w kwestii tego, na co oczekuje Brunetti. – Aż zostanie obsłużony – zakończyła.

Z tymi słowami Paola odwróciła się, wzięła dwa talerze i podeszła do stołu. Postawiła talerz przed Chiarą z prawej strony, następnie przed Brunettim, a wreszcie wróciła do kuchenki, by nałożyć porcję dla siebie.

Chiara popatrzyła na ojca, który przyłożył palec do warg, rozkoszując się ciszą. Wskazał siebie, by powiedzieć Chiarze, żeby zostawiła to jemu.

Paola z talerzem w ręce wróciła do stołu i zajęła swoje miejsce. Spojrzała na córkę i zapytała pogodnie:

– Jak tam dzisiaj było w szkole, skarbie?

Reszta posiłku upłynęła w napięciu, chociaż Chiara zrobiła, co mogła, by pomóc pozierać ze stołu, a nawet wytarła i pochowała naczynia, zanim udała się bez słowa do swojego pokoju odrabiać lekcje. Brunetti zostawił je, by poukładały swoje sprawy, i przeszedł do salonu, gdzie zajął się czytaniem kolejnego fragmentu *Argonautiki* Apolloniosa z Rodos, książki, do której nie zaglądał od czasów, gdy w liceum walczył z jej fragmentami po grecku. Kilka tygodni temu znalazł włoski przekład w antykwariacie i nie mógł się doczekać, aż przeczyta całość z mniejszymi trudnościami niż kilkadziesiąt lat temu.

Lolo, będący prymusem z greki, mógłby przeczytać tę książkę z taką samą łatwością jak po włosku. Nikt, włącznie z nim samym, nie miał pojęcia, dlaczego tak się działo, jaka część jego umysłu kryła sekret szybkiej nauki

języków, ale Lolo miał dar, jakiego Brunetti nie zaobserwował u nikogo innego. Lolo potrzebował miesiąca, by zacząć mówić i czytać swobodnie w danym języku. Kiedy kończyli szkołę, znał już płynnie angielski i francuski, potrafił też bez trudu czytać teksty po łacinie i grecku. Od tamtej pory podłapał – sam używał tego wyrażenia – niemiecki, hiszpański i kataloński. Powiedział kiedyś Brunettiemu, że po pewnym czasie nie ma już wrażenia, że tłumaczy sobie w głowie obcy język na włoski, tylko czyta go tak, jakby był jego rodzimym językiem.

Kiedy Paola weszła z dwiema filiżankami kawy, z których sterczały w górę łyżeczki, Brunetti powiedział:

– Widziałem się dziś po południu z Lolem.

Jej szczerą radość pozwoliła całkowicie zatrzeć w pamięci scenę, jaką zrobiła przy obiedzie.

– Nie wiedziałam, że tu jest. Gdzie się z nim spotkałeś?

– Umówiliśmy się na drinka. Był w Argentynie, wyciągał brata z jakichś kłopotów.

– Tego od krów?

– Tak. Znasz go?

– Znałam go w szkole. Odrabialiśmy razem zadania domowe z chemii. – Zamieszała kawę, wyjęła łyżeczkę i upiła łyk. – Beznadziejni. Oboje byliśmy beznadziejnymi idiotami. Bóg jeden wie, jak udało nam się zdać egzamin. Jestem pewna, że użył uroku osobistego, by przekonać nauczyciela, żeby go przepuścił. Rozumiał z chemii jeszcze mniej ode mnie.

– Czy tak właśnie ty sobie poradziłaś? Urokiem osobistym? – zapytał Brunetti. Trudno mu było wyobrazić sobie Paolę zdającą egzamin z chemii w jakiś inny sposób.

– Nie, ja po prostu nauczyłam się na pamięć podręcznika, chociaż nie rozumiałam z niego ani słowa. – Znowu upiła łyk kawy.

Brunetti potrzebował lat, by oswoić się z jej niezwykłą pamięcią i nadal trudno mu było uwierzyć, że mogła się nauczyć czegokolwiek na pamięć, po prostu czytając to bardzo uważnie i powtarzając sobie, że musi zapamiętać to,

co czyta.

– To wszystko, czego od nas wymagano. Od tamtej pory patrzę podejrzliwie na naukowców.

– Rozumiem – powiedział Brunetti i napił się kawy.

– Opowiedz mi o Lolu – poprosiła, siadając koło niego.

– Twierdzi, że przy Argentynie Włochy wydają się Szwajcarią.

– Ojej – powiedziała. – Na jak długo przyjechał?

– Nie wiem.

Odwróciła się i spojrzała prosto na niego.

– Nie widziałeś się z nim ponad rok i nie zapytałeś, jak długo zamierza tu zostać?

– Rozmawialiśmy o innych sprawach.

– Jakich?

– O Manueli Lando-Continui – powiedział, chociaż nie zamierzał użyć jej pełnego nazwiska. Uświadomił sobie, że zrobił to, by uczynić ją, choćby na tę krótką chwilę, odrębną, samodzielną osobą.

– A, prawda. – Paola usiadła wygodniej i oparła głowę na poduszkach. – On zna ich od zawsze. Wydaje mi się, że on i Barbara, jej matka...

– On i Barbara? – zapytał Brunetti.

– Mogło ich coś łączyć, wiele lat temu, kiedy był na studiach.

– A ona?

– O, ona zaczynała wtedy marnować sobie życie.

– Nigdy jej nie spotkałem – przyznał Brunetti. – Dobrze ją znałaś?

– Nie. Między nami jest jakieś sześć lat różnicy, więc nie miałyśmy wspólnych przyjaciół i nie chodziłyśmy nawet razem do szkoły. Dlatego znałam ją tylko z plotek, chociaż wtedy czasem ją widywałam.

– Jaka była? – zapytał Brunetti. Zanim Paola zdążyła odpowiedzieć, wstał i poszedł do kuchni, skąd wrócił szybko z dwoma kieliszkami i prawie opróżnioną butelką domowego śliwkowego sznapsa, który dostawali od przyjaciela na każdą Gwiazdkę. Nalał po trochu do kieliszków i zajął swoje

miejsce.

Paola podziękowała mu i wypila mały łyk, jakby nie miała ochoty tego próbować. Zawsze w ten sposób piła sznapsa, z powodu czegoś w rodzaju przeniesionej nieufności, jaką żywiła do mężczyzny, który przynosił jej mężowi w prezencie ten alkohol.

– Była bardzo piękna. Wysoka, z długimi, prostymi włosami blond i jasnoniebieskimi oczami. Tak bardzo była do nas niepodobna, że mogłaby uchodzić za studentkę ze Skandynawii, która przyjechała na wymianę.

Brunetti pomyślał, że to zabrzmiało dziwnie w ustach jasnookiej blondynki.

Wydawało się, że Paola odpłynęła. Zapatrzyła się na wieczorne niebo, na jeszcze oświetloną *campanilę* przy bazylice św. Marka, ledwie widoczną z tego kąta salonu.

– Nie moglibyśmy mieszkać nigdzie indziej, prawda?

– Chyba nie.

– To sprawia, że rozumiem, dlaczego Demetrian chce uratować to miasto. Albo przynajmniej próbuje.

– W takim razie życzymy jej powodzenia – odparł Brunetti i wrócił do spraw służbowych. – W jaki sposób Barbara marnowała sobie życie?

– Tak jak zwykle robią to bogate i niezbyt mądre dziewczyny: mężczyźni, trochę narkotyków, trochę więcej mężczyzn, dużo imprez i dużo wyjazdów, potem jeszcze trochę narkotyków, a potem miała dwadzieścia pięć lat i na tyle dużo szczęścia, że poznała Tea, który był naprawdę bardzo miłym chłopakiem. Wyszła za niego za mąż, urodziła dziecko i częściowo się uspokoiła.

– Częściowo?

– Częściowo – powtórzyła Paola. – W końcu Teo stracił do niej cierpliwość. Barbara miała pecha, bo właśnie wtedy poznał kogoś innego, więc skończył z nią na dobre.

– Mówisz to tak, jakby to było całkiem łatwe.

– Wydaje mi się, że dla mężczyzn to jest łatwe, szczególnie jeśli mają dość

pieniędzy i czeka na nich inna kobieta.

– A jego dziecko? – zapytał Brunetti, starając się, by zabrzmiało to neutralnie.

– Jaki sędzia przyznałby opiekę nad dzieckiem ojcu, Guido? We Włoszech, gdzie *Mamma* jest powszechnie wielbiona?

– Czyli zostawił je?

– Zostawił je, ale Barbara także miała kogoś, kto na nią czekał.

Brunetti obserwował Paolę, która zastanawiała się, czy powinna powiedzieć coś jeszcze.

– Jednakże on też nie został na dłużej – stwierdziła w końcu.

– A Manuela?

– Jeśli wierzyć Demetrianie, kochała swojego konia i to sprawiało, że łatwiej jej było ułożyć sobie życie z matką. – W głosie Paoli Brunetti nie usłyszał ani cienia sarkazmu czy ironii, których się spodziewał. – Manuela mieszkała z nią, spędzała mnóstwo czasu ze swoim koniem, a potem wpadła do wody i było po wszystkim.

– Czy twoja matka kiedykolwiek opowiadała o Manueli? – zapytał Brunetti.

Paola bardzo długo patrzyła na *campanilę*, zanim odpowiedziała.

– Tylko jeśli spotkała ją u Demetriany. To urocza dziewczyna. Kobieta. – Umilkła i zajęła się kieliszkiem, a potem dodała: – Nikt z nas raczej o niej nie mówi.

– Nie wydaje ci się, że to dziwne? – zapytał.

– Guido – powiedziała Paola bardzo cicho – czasami cię nie rozumiem.

Brunetti pomyślał, że jego żona po prostu zapomina, że on jest policjantem, ale postanowił nic nie mówić.

– Rozmawiamy o niej oczywiście, ponieważ ją widzimy. Ale nigdy nie rozmawiamy o tym, co się z nią stało. – Paola odstawiła kieliszek. – Tego wymaga przyzwoitość, prawda?

– Prawda – odparł Brunetti i wstał, by odnieść butelkę do kuchni.

Po drodze do komendy Brunetti zastanawiał się nad tym, jak bardzo ta sprawa różniła się od innych, z jakimi miał do czynienia w trakcie swojej kariery zawodowej. Istniała poszkodowana osoba, ale żadnych dowodów, że padła ofiarą przestępstwa, nie było też pośpiechu, ponieważ po co pośpiesznie szukać winnego, gdy nie ma ani ofiary, ani podejrzanego?

Cała sprawa przypominała raczej ćwiczenie akademickie, przeprowadzane po to, by umożliwić żonie *vice-questore* awans społeczny w weneckim towarzystwie i by pozwolić starszej kobiecie umrzeć w spokoju. Jednakże Brunetti nie potrafił się nie przejmować losem tej dziewczyny.

Kiedy wszedł do komendy, pracująca z nim Claudia Griffoni właśnie zaczynała wchodzić po schodach. Odwróciła się, gdy zawołał ją po imieniu, i zatrzymała na trzecim stopniu, by na niego zaczekać.

– Pracujesz nad czymś ważnym? – zapytał Brunetti, gdy podszedł bliżej.

– Turysta został wczoraj w nocy napadnięty i obrabowany – odpowiedziała. – Na Calle degli Avvocati.

Brunetti był zaskoczony – przy tej uliczce mieścił się niewielki hotel oraz domy zamożnych ludzi. Zamknął oczy i sięgnął do pokładów pamięci: wąski zaułek odchodzący od Campo Sant'Angelo kończył się drzwiami budynku i stanowił miejsce, które mogło stać się pułapką dla kogoś nieświadomego zagrożenia.

– Co się stało?

Griffoni wyjęła notes z kieszeni kurtki i otworzyła go.

– Ofiarą jest dwudziestotrzyletni Irlandczyk. Rano, o ósmej, byłam w szpitalu, żeby się z nim zobaczyć. Był wczoraj wieczorem w barze i podrywał dziewczynę. Postawił jej kilka drinków, sam też trochę wypił, a potem ona zaproponowała, żeby poszli do niej do domu. Kiedy znaleźli się

w głębi *calle*, dwóch mężczyzn rzuciło się na niego od tyłu. Nic więcej nie pamięta.

– O której to było?

Spojrzała w notatki.

– Około wpół do drugiej. Zgłoszenie dostaliśmy o pierwszej trzydzieści siedem.

– Kto zadzwonił?

– Mężczyzna mieszkający przy *calle*. Hałas obudził jego psa, a szczekanie psa obudziło jego. Kiedy zobaczył mężczyznę leżącego na ulicy, zadzwonił po karabinierów. Gdy się pojawili, mężczyzna zniknął, znaleźli go na *campo*, opartego o ścianę. Wezwali karetkę, która zabrała go do szpitala.

W innym mieście takie incydenty mogły być na porządku dziennym, ale ten napad zaskoczył Brunettiego. Tego rodzaju przestępstwa się tutaj nie zdarzały. Zdarzały się rzadko – poprawił sam siebie.

– Rozmawiałaś z nim? – Ponieważ Griffoni skinęła głową, Brunetti uzupełnił pytanie: – Co powiedział?

– Że był zbyt pijany, żeby się bronić, szczególnie przed dwoma przeciwnikami.

– Jest w bardzo złym stanie?

– Musiał mieć założonych kilka szwów na głowę i jest posiniaczony, ale nie ma nic połamanego. – Po chwili dodała: – Chyba mogło być znacznie gorzej.

– A dziewczyna?

– Zniknęła bez śladu. On nie pamięta nic poza tym, że mówiła trochę po angielsku i wydawało się, że wie, dokąd idą. Nie ma pojęcia, co się z nią stało.

– Czyli mogła go tam celowo zaprowadzić – podsunął Brunetti.

– Albo zareagować zgodnie ze zdrowym rozsądkiem i uciec gdzie pieprz rośnie, kiedy zaczęła się szamotanina – odparowała Griffoni.

– Oczywiście – ustąpił Brunetti. – Masz jakiś rysopis? – zapytał.

– Był jeszcze oszołomiony, kiedy z nim rozmawiałam – powiedziała Griffoni. – Nie wiem, czy to alkohol, szok, czy może to, co dostał, kiedy mu zakładano szwy. Nie rozpoznałby ich, chociaż przypomniałby sobie dziewczynę.

– Myślisz, że warto się tym zajmować? – zapytał.

Machnęła notesem, wykonując okrężny gest.

– Wątpię w to. W pobliżu nie ma żadnych kamer monitoringu. On nie pamięta, w jakim barze był ani którędy szli w miejsce, gdzie to się stało: wszystko wydaje mu się podobne. Przypuszcza, że mogli przejść przez trzy czy cztery mosty.

– Czyli to mogło być gdziekolwiek – zauważył Brunetti.

– Właśnie. – Zaczęli wchodzić po schodach. Na drugim piętrze Griffoni zatrzymała się: – Czy mogę ci zadać pytanie, które może zabrzmieć dziwnie?

– Oczywiście.

– Tam, gdzie pracowałam poprzednio, tego rodzaju rzeczy zdarzały się dziesięć, dwadzieścia razy każdej nocy. Codziennie, w weekendy częściej. Stale kursowaliśmy do szpitali i z powrotem.

– Neapol – stwierdził. Wiedział, że było to jej rodzinne miasto, a także miejsce, gdzie była poprzednio przydzielona.

– *Casa mia* – odparła ze śmiechem.

– O co chcesz zapytać? – przypomniał Brunetti.

– Jeden napad, i to dopiero trzeci, od kiedy tu pracuję, a ja już jestem zaszokowana. Kiedy to sobie uświadomiłam, zaczęłam podejrzewać, że przydzielono mnie na inną planetę. – Potrząsnęła głową ze zdumieniem.

Brunetti odwrócił się do schodów wiodących na ostatnie piętro, żeby pójść do gabinetu, ale zatrzymał się i znowu popatrzył na Griffoni.

– Jesteśmy rozpuszczeni, prawda? – zapytał.

Ściągnęła wargi, jak uczennica, której nauczyciel zadał trudne, być może kryjące jakąś pułapkę pytanie. Brunetti obserwował, jak stara się sformułować odpowiedź.

– Być może byłoby lepiej powiedzieć, że masz szczęście – odparła w końcu.

– Co zamierzasz zrobić w tej sprawie? – zapytał, wskazując nadal trzymany przez nią notes.

Przechyliła głowę i uniosła jedno ramię w geście rezygnacji.

– O ile dziewczyna nie zgłosi się nagle i nie opisz tych dwóch napastników, nic nie będziemy mogli zrobić.

– Poza siedzeniem i czekaniem, aż przyjdą i sami się przyznają? – podsunął Brunetti.

– Nie przyszło mi to do głowy – zgodziła się kwaśno.

– W takim razie, jeśli nie masz nic do roboty, zajrzyj do mojego gabinetu, to opowiem ci o innej sprawie, gdzie jak się wydaje, bardzo niewiele można zrobić.

Brunetti potrzebował trochę czasu, by opowiedzieć o hrabinie Lando-Continui i jej wnuczce, ponieważ Griffoni co chwila przerywała mu prośbami o dodatkowe wyjaśnienia i zapisywała odpowiedzi w notesie.

Chociaż w zdarzeniach, które zaszły, nie rozeznawał się lepiej niż wtedy, gdy relacjonował je po raz ostatni, Brunetti spostrzegł, jak jednoznacznie opinie wyrobił już sobie o ludziach, których nigdy nie spotkał. Dla Manueli żywił wyłącznie współczucie, nadal myśląc o niej jak o nastoletniej dziewczynce, chociaż miała co najmniej trzydzieści lat. Nie lubił jej matki, którą słowami Paoli definiował jako kogoś, kto „zmarnował sobie życie”. Niestety, mogła też w jakiś sposób przyczynić się do zaistnienia okoliczności, w jakich zostało zmarnowane życie jej córki. Ojciec był zaledwie cieniem z podwójnym nazwiskiem. Pod względem uczuć zachowywał się jak kapitan Schettino – pozostał na pokładzie swojej „Costa Concordia”, dopóki morze pożycia małżeńskiego nie stało się wzburzone, a potem uciekł ze statku i znalazł nową załogę, z którą odpłynął od tonącego wraku. Brunetti uświadomił sobie, że współczuje także hrabinie Lando-Continui z powodu jej rozpaczliwej potrzeby dowiedzenia się, co stało się z jej wnuczką, zanim straci na wieczność możliwość dowiadywania się

czegokolwiek.

– Naprawdę przekonałeś Patte, żeby poprosił sędziego o ponowne otwarcie tej sprawy? – zapytała Griffoni z nieukrywanym podziwem.

– Powiedziałem ci, co dostanie w zamian za to – odparł Brunetti.

– W twoich ustach to brzmi tak, jakby było całkiem proste – zauważyła.

Brunetti roześmiał się.

– Znam go od tak dawna, że niemal zaczynam do niego żywić cieplejsze uczucia – przyznał. Widząc jej zaskoczenie, dodał: – Ale tylko czasami.

Griffoni zamknęła notes i poprawiła się na krześle.

– Wybacz, że to powiem: nie potrafiłabym nigdy zaufać Sycylijczykowi.

Pierwszą reakcją Brunettiego było rozbawienie, ponieważ uznał, że jego koleżanka żartuje. Gdy jednak zorientował się, że tak nie jest, zdołał ukryć zaskoczenie, unosząc rękę do ust, a następnie pocierając brodę palcami w geście, który miał sugerować głęboki namysł. Zastanawiał się, czy takie właśnie wrażenie robią jego słowa, kiedy mówi, że nie potrafi ufać neapolitańczykom? Dlaczego uprzedzenia innych wydają się tak dziwne, podczas gdy nasze własne są zawsze przemyślane i uzasadnione?

Aby zmienić temat tak szybko, jak to możliwe, zapytał:

– Czy masz czas, żeby mi w tym pomóc?

– Tak, oczywiście – odparła. – Inaczej mogłoby mnie kusić, żeby raz jeszcze przyjrzeć się tej sprawie bagażowych.

– Moja droga Claudio – powiedział z filozoficzną flegmą – zdążymy doczekać się gromadki wnuków, podczas gdy bagażowi nadal będą otwierać walizki i przywłaszczać sobie, co tylko wpadnie im w oko, a nagrania z kamer pokazujące, jak to robią, wypełnią przez ten czas duży magazyn. Ale to nasze wnuki będą się zajmować śledztwem w tej sprawie, nie my, a to śledztwo będzie się ciągnęło do czwartego pokolenia.

Griffoni nie podjęła kwestii.

– Czego ode mnie oczekujesz w tej sprawie? – tym razem ona zapytała tak szybko, jak tylko mogła.

Zamiast odpowiedzi Brunetti zapytał:

- Czy znasz się na koniach?
- Kto ci powiedział? – Griffoni uniosła brwi.
- Co takiego?
- O koniach – odpowiedziała.

Brunetti uniósł dłonie w geście kapitulacji.

– Nikt mi nie mówił niczego o koniach ani o tobie i koniach. To było zwyczajne pytanie. – Ponieważ milczała, zapytał: – Dlaczego tak cię to zaskoczyło?

- Nikomu tutaj o tym nie mówiłam.

Potrząsnął głową, z każdą jej odpowiedzią rozumiejąc coraz mniej.

- Jeździłam sportowo – powiedziała Griffoni. – Startowałam w ujeżdżeniu.
- Czy to ta dyscyplina, w której konie tak jakby tańczą? – zapytał Brunetti, który o jeździe konnej wiedział tyle samo co o wyścigach gołębi pocztowych.
- Widuję to czasem w telewizji. Jeźdźcy noszą cylindry, prawda?

- Tak.

- Czy tutaj także jeździsz?

- Nie – odparła z wyraźnym niezadowoleniem.

- Dlaczego nie?

– Guido – fuknęła – czy możesz mi powiedzieć, co cię interesuje, i nie zajmować się innymi rzeczami?

- Oczywiście – odparł przepaszajaco.

Widział, że ta rozmowa – właściwie teraz uznał, że bardziej przypominała przesłuchanie – wytrąciła Griffoni z równowagi.

– Jej wnuczka miała konia, trzymała go niedaleko Treviso. Chciałem porozmawiać z ludźmi w stajni i wolałbym zabrać ze sobą kogoś, kto ma pojęcie o jeździe konnej. – I jakby w obawie, że Griffoni mogła nie zrozumieć jego wyjaśnień, dodał: – Dlatego właśnie cię zapytałem.

– Przed chwilą mówiłeś, że to wszystko działo się piętnaście lat temu – zauważyła Griffoni. – Myślisz, że będą tam pracować ci sami ludzie?

– Być może. A może nie. Ktokolwiek tam będzie, chciałbym zrozumieć odpowiedzi, jakie uda mi się uzyskać.

– To brzmi tak, jakby mieli zamiar urządzić ci sprawdzian z jazdy konnej i odmawiali odpowiedzi na pytania, dopóki go nie zdasz.

– Nie chodzi mi o pytania – odparł Brunetti – tylko o odpowiedzi. Jeśli będą opowiadać o niej i o tym, jak jeździła konno, albo też o niej i o koniach, muszę zrozumieć, co takiego mi mówią.

Griffoni wydawała się całkowicie zbita z tropu.

– Mówisz tak, jakbyś uważał ich za cudzoziemców.

Brunetti uśmiechnął się na tę uwagę.

– Nie, to ja jestem cudzoziemcem. Nie wiem dostatecznie dużo o tym, co łączy jeźdźca z koniem, szczególnie gdy w grę wchodzi młoda dziewczyna. – Ponieważ Griffoni nie odpowiadała, Brunetti czuł się zmuszony dodać w obronie własnej: – Proszę, nie mów mi, że zwariowałem. Albo że to wszystko pseudopsychologia.

Przerwała mu, zanim zdążył coś jeszcze powiedzieć:

– Jeśli coś ją dręczyło, koń o tym wiedział, to pewne. Niestety, trudno się je przesłuchuje – dodała z uśmiechem.

Ten pomysł sprawił, że Brunetti także się uśmiechnął.

– Mam nadzieję – zaczął – że ktoś będzie ją tam pamiętał. Wtedy zakwalifikowano to jako wypadek, więc jestem pewien, że nikt nie zawracał sobie głowy przesłuchiowaniem tych ludzi.

– Czytałeś raport?

– Signorina Elettra powinna go już znaleźć.

– Podejdziemy tam i sprawdzimy? – zapytała Griffoni, podnosząc się z miejsca.

Signorina Elettra najwyraźniej przyznała samej sobie awans, ponieważ dzisiaj miała dwurzędową niebieską marynarkę z epoletami i złotym szamerunkiem na mankietach. W spojrzeniu Griffoni mieszały się zazdrość i podziw, których nawet nie próbowała ukrywać.

Brunetti zrobił krok naprzód, ponieważ to od niego wyszła prośba.

– Znalazła pani raport z jej wypadku? – zapytał.

– Jest pan pewien daty, *commissario*? – odpowiedziała signorina Elettra, ale było to raczej zdanie twierdzące niż pytanie.

Czytała przecież artykuły o wypadku, tak samo jak on, więc nie było wątpliwości co do daty. Wiedziała o tym i on o tym wiedział, więc jej uwaga była zakamuflowanym komunikatem, że... Brunettiemu przez myśl przemknęły i zostały odrzucone możliwości, że nie udało jej się tego znaleźć i nadal szuka lub też że nie znalazła tego w aktach. Ostatecznie uznał, że signorina Elettra podejrzewa, iż raport zaginął.

– Te akta zostały w całości przeniesione do komputera, prawda? – zapytał.

– Tak, jakiś czas temu – odparła signorina Elettra. – Wszystko z papierowych raportów zostało przepisane i wprowadzone do systemu.

– A wersja papierowa? – zapytała Griffoni, która przeszła przez pokój, by oprzeć się o parapet w ulubionym miejscu Brunettiego.

– Oczywiście została zniszczona – powiedziała signorina Elettra i usiadła wygodniej na krześle, jakby czekała, aż zrozumieją, co chce im powiedzieć.

Obie głowy jednocześnie obróciły się w jej stronę, na obu twarzach jednocześnie pojawił się wyraz zrozumienia. Brunetti pozwolił koleżance po fachu wyrazić na głos oczywisty wniosek:

– Czyli jeśli raportu nie ma w komputerze, przepadł na dobre.

Nigdy jeszcze tak proste słowa nie brzmiały w uszach Brunettiego tak nieodwracalnie.

Signorina Elettra skinęła głową, ale wyjaśniła:

– Zanim zaczniecie podejrzewać spisek, powinniście wiedzieć, że brakuje mniej więcej jednej trzeciej raportów z tamtego roku. W programie był błąd i zanim go odkryto, wprowadzano dane, a oryginały niszczone.

– Ile potrwało, aż się zorientowali, co się dzieje? – zapytała Griffoni.

– Wprowadzili prawie wszystko, zanim to zauważyli.

Brunetti i Griffoni wymienili spojrzenia. Z jej wzruszenia ramionami

wyczytał irytację dla niekompetencji i błędów.

– A co ze szpitalem? – zapytała Griffoni. – Jeśli tam trafiła, musi istnieć dokumentacja medyczna.

Ach, pomyślał Brunetti, czy tak właśnie wyobrażają nas sobie południowcy? Jako osoby ceniące porządek, rutynę, metodyczność? Kiedy ostatnio był w szpitalu, odwiedzał swoją bratową na dzień przed operacją żylaków. Zastał brata przyklejającego do jej nogi plastikową koszulkę na dokumenty, w której znajdowała się kartka z napisem: *Operować TĘ NOGĘ*. Postanowił tego nie komentować.

– Zobaczymy, czego uda mi się dowiedzieć – powiedział Brunetti i wziął telefon signoriny Elettry.

Ponieważ Brunetti był weneccjaninem i miał rangę komisarza, został szybko połączony z archiwum szpitalnym. Przedstawił swoją prośbę mężczyźnie, którego głos brzmiał tak, jakby był generowany maszynowo, i który głosem tym wyjaśnił mu ze szczegółami proces składania wniosku o wydanie kopii karty pacjenta. Jeśli tylko sąd przedstawi formalny wniosek, określonego dnia szpital dostarczy kopię dokumentacji opisującej wykonane procedury, osobie wskazanej we wniosku.

Zanim Brunetti zdążył przekazać tę informację pozostałym, by wszyscy razem mogli się tym ucieszyć, mężczyzna dodał, że dokumenty, o które pytał, sprzed piętnastu lat, istnieją tylko w formie papierowej i ich szukaniem musi się zająć ktoś zaznajomiony z systemem archiwizacji.

– Czy wie pan może, ile to mogłoby potrwać? – zapytał Brunetti.

Długa chwila milczenia była prawdziwą odpowiedzią, chociaż mężczyzna udzielił tylko oficjalnej:

– To nie powinno potrwać dłużej niż kilka dni.

Cóż, pomyślał Brunetti, zbudowanie systemu wałów chroniących miasto przed *acqua alta* nie powinno potrwać dłużej niż trzydzieści lat. Lecz powiedział tylko tonem najbardziej przyjaznym, na jaki go było stać:

– Czy gdybym poprosił mojego przyjaciela, doktora Rizzardiego, by zadzwonił do pana i zapytał, ile to potrwa, udzieliliby pan innej odpowiedzi?

– Czy to dobry przyjaciel? – zapytał mężczyzna.

– Znamy się od ponad trzydziestu lat. – Przesadził, ale w słusznej sprawie.

– Powiedziałbym mu, żeby w ogóle nie czekał – odparł mężczyzna głosem, który teraz stał się wyraźnie bardziej ludzki. Brunettiemu podobało się, że nie próbował wymyślać wymówek ani usprawiedliwień dla tego, co właśnie powiedział. Podziękował mężczyźnie i rozłączył się.

Popatrzył na dwie współpracownice i potrząsnął głową.

– Beznadziejna sprawa – powiedział tylko.

Griffoni, która teraz siedziała na parapecie, ponieważ podciągnęła się na niego, gdy Brunetti zaczął rozmowę telefoniczną, zeskoczyła i skierowała się do drzwi.

– Będę u siebie. Muszę napisać raport z napadu – powiedziała i wyszła. Brunetti oznajmił signorinie Elettrze, że musi załatwić kilka telefonów, a następnie udał się na górę do swojego gabinetu.

Signorina Elettra znalazła nazwę szkoły jazdy konnej w pobliżu Preganziol, niedaleko Treviso. Brunetti posłużył się internetem, jakby był w nim biegły, by znaleźć numer telefonu. Ponieważ konie nadal zaprzętały jego myśli, wpisał „ujeżdżenie” i przeczytał ogólny opis tej dyscypliny, chociaż trudno mu było myśleć o niej jako o sporcie. Gracja i elegancja koni i jeźdźców kojarzyły mu się z baletem. Ale sztuka pozostawała chyba domeną ludzi, a nie zwierząt?

Czytał szybko, a jego zainteresowanie coraz bardziej wzrastało, w miarę jak dowiadywał się kolejnych szczegółów. Przyczyniały się do tego cylindry, białe czapki pod siodła, oficerki, kurtki, grzywy plecione w warkocze i nachrapniki kombinowane – nieskończona ilość gadżetów dla człowieka i zwierzęcia. Przystudiował schematy pokazujące różne próby, jakim muszą sprostać koń i jeździec, zobaczył, jak mogą poruszać się po skosie, chociaż wydaje się, że idą prosto przed siebie, obejrzał zdjęcia i grafiki prezentujące „kapriole” i „lewadę”. Gdy przeczytał, że jeden z jego ulubionych autorów, Ksenofont, pisał o systematycznym treningu konia, uznał, że jego własne zainteresowanie tematem jest w pełni uzasadnione.

Wrócił na stronę Google i dodał do „ujeżdżenia” „Claudia Griffoni”, ciekawy, co znajdzie. Jak się okazało, srebrny medal. Griffoni zdobyła go dla włoskiej drużyny olimpijskiej osiemnaście lat temu. Przez cały czas, który razem przepracowali, niemal nie wspominała o swojej przeszłości, a już z pewnością nigdy nie wspominała o koniach, chociaż jak się okazało, była srebrną medalistką. Komisarz pomyślał najpierw, że trzeba to konieczne zachować w tajemnicy przed Pattą, ponieważ na pewno wygadałby się

Scarpie, a sama myśl o tym sprawiła, że Brunetti zaczął się denerwować.

Podobnie jak wielu mundurowych, Scarpa nie przepadał za kobietami, chociaż w jego przypadku słuszniej byłoby powiedzieć, że otwarcie ich nie lubił. Przy każdej sposobności okazywał brak szacunku signorinie Elettrze, która ze swojej strony ignorowała go, dopóki nie zwrócił się bezpośrednio do niej, a potem udzielała odpowiedzi pełnych takiej słodyczy, że Brunettiemu podnosił się poziom insuliny, gdy słyszał niektóre z nich.

Porucznik w szczególności nie lubił kobiet mających władzę. Zawsze ostentacyjnie ociągał się z wykonaniem poleceń wydawanych mu przez Griffoni, chociaż ostatecznie nie miał innego wyboru, jak tylko podporządkować się jej i jej rozkazom. Signorina Elettra z kolei była zaledwie sekretarką, podczas gdy on był porucznikiem policji, więc jego świat wywróciłby się do góry nogami, gdyby miał robić to, co ona mu powie. Nawet teraz nie zamierzał uwierzyć, że jego patron, *vice-questore* Giuseppe Patta, był zdany całkowicie na łaskę i niełaskę jej zdolności i umiejętności, a gdyby poprosiła, z przyjemnością pokroiłby swojego porucznika na przynętę dla ryb, jeśli tego by wymagało utrzymanie dobrych stosunków z sekretarką.

Lepiej, by mężczyzna z głową nabitą podobnymi poglądami, nie dowiedział się, że komisarz Griffoni nie tylko potrafi jeździć konno, ale uprawiała tak frywolną dyscyplinę jak ujeżdżenie i, co gorsza, zdobyła w niej medal olimpijski. Brunetti obawiał się, iż taka wiedza mogłaby doprowadzić porucznika do rozstroju nerwowego.

Brunetti wybrał numer szkoły jazdy konnej i przedstawił się, a następnie wyjaśnił, że dzwoni w sprawie osoby, która trzymała u nich konia piętnaście lat temu, i chciałby porozmawiać z kimś, kto mógł tam wtedy pracować.

– W takim razie powinien pan porozmawiać z signorą Enrichettą – powiedziała kobieta, która odebrała telefon.

– Kim ona jest? – zapytał Brunetti.

– Właścicielką. W każdym razie obecnie. Przejęła stajnię po śmierci męża. Tylko ona może coś na ten temat wiedzieć.

– Czy ją zastałem?

– Możliwe, że jest w tej chwili w ujeżdżalni. Czy mógłby pan zadzwonić za dziesięć minut? – zapytała jego rozmówczyni.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko, zaczekałbym – odparł Brunetti, ponieważ miał wieloletnie doświadczenie z podobnymi dziesięcioma minutami, po których upływie aż za często nikt już nie odbierał telefonu, gdy się zadzwoniło ponownie.

– Oczywiście – powiedziała kobieta i odłożyła słuchawkę na bok. Brunetti położył swoją słuchawkę na biurku, głośnikiem do góry, i przysunął plik dokumentów. Większość z nich dotyczyła nowych rozporządzeń ministerstwa. W jednym z nich określano, w jaki sposób funkcjonariusze powinni zabezpieczyć swoją broń w domu: pistolet w jednym zamkniętym sejfie, a amunicja w drugim; pistolet nie może być naładowany przez cały czas pozostawania w domu.

Wydawało mu się, że podobne ostrzeżenia czytał od dziesiątków lat, a jednak często natrafiał na doniesienia prasowe o dzieciach policjantów, które zdołały się dostać do broni rodziców i postrzelić siebie lub innego członka rodziny. Nic nie było straszniejsze, nic nie było bardziej realne.

Następny dokument zawierał nowe rozporządzenia w sprawie parkowania pojazdu służbowego, gdy prowadzący go policjant nie jest aktualnie na służbie. Brunetti przekartkował go z ciekawością, nie po to, żeby przeczytać treść, ale żeby zobaczyć, ile stron dokument liczy. Cztery. Odłożył go na bok.

Usłyszał głos w słuchawce na biurku.

– Sì? – powiedział.

– Czy jest pan z policji? – zapytała jakaś kobieta.

– Tak. Czy rozmawiam z signorą Enrichetta?

– Tak. Moja pracownica nie potrafiła powtórzyć, o co chodzi. Czy mógłby mi pan powiedzieć, z kim rozmawiam i w jakiej sprawie pan dzwoni?

– Nazywam się Brunetti, jestem komisarzem z Wenecji. Dzwonię, ponieważ chciałbym zasięgnąć informacji o dziewczynie, która trzymała w tej stajni konia mniej więcej piętnaście lat temu.

– Oczekuje pan, że będę coś pamiętała? – zapytała, ale z rozbawieniem

i zaskoczeniem, a nie z pewnością, że niczego sobie nie przypomni.

– Mam taką nadzieję – odparł Brunetti najzyczliwiej, jak potrafił. – Dziewczyna nazywa się Manuela Lando-Continui. Chociaż teraz właściwie jest już dorosłą kobietą.

– Ach – odparła kobieta. – Manuela. Biedactwo. Słyszałam, co się z nią stało. Mój mąż bardzo ją lubił.

– Czy mógłbym może przyjechać, żeby porozmawiać z panią?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała. – Lecz najwcześniej w poniedziałek. Przepraszam, ale w ten weekend mamy zawody w Desenzano. Ma pan szczęście, że mnie pan złapał, ponieważ za godzinę wyjeżdżamy. Zabieramy tam dwa konie.

– W takim razie chciałbym przyjechać w poniedziałek – powiedział Brunetti.

– Proszę bardzo. Powinniśmy wrócić w niedzielę wieczorem, więc dowolna pora po południu będzie mi pasować.

Brunetti chciał powiedzieć coś jeszcze, ale kobieta zapytała:

– Co u niej słyhać?

– Nie rozmawiałem z nią jeszcze, ale jej babka mówi, że jest zadowolona z życia. – To było najlepsze, co Brunetti potrafił naprędce wymyślić.

– Cóż, to zawsze coś – odparła kobieta bez przekonania. – W takim razie do zobaczenia w poniedziałek po południu. – Odłożyła słuchawkę.

Brunetti przypomniał sobie, że Pietro Cavanis nie oddzwonił, więc wyjął *telefonino* i na nowo odszukał numer.

Po siódmym dzwonku odezwał się głos mężczyzny, zaspany i niewyraźny.

– Signor Cavanis? – zapytał Brunetti.

– Tak mi się wydaje – odparł mężczyzna. – Mów pan, o co chodzi, a ja przez ten czas przypomnę sobie, kim jestem.

– Chciałbym z panem porozmawiać o Manueli Lando-Continui.

– Jesteś pan z policji? – zapytał mężczyzna. – Tak pan brzmisz.

– Tak, mówi komisarz Guido Brunetti. Poproszono mnie, żebym przyjrzał

się wypadkowi, jaki miał miejsce w pobliżu Campo San Boldo.

– Jasne, wypadkowi – potwierdził Cavanis, nadal zamroczony sennością. – Co chcesz pan wiedzieć?

– Chciałbym porozmawiać z panem o tym, co się wydarzyło.

– A jeśli powiem, że nie pamiętam? – Zanim Brunetti zdążył odpowiedzieć, mężczyzna stwierdził: – Chwila. – Brunetti usłyszał stuknięcie słuchawki o blat, szelest papieru, trzask zapalniczki i przeciągłe westchnienie zadowolenia. Telefon został odrobinę niezgrabnie podniesiony. – Co pan mówił? – zapytał mężczyzna.

– Chciałbym porozmawiać z panem o tym, co się wydarzyło.

– Piętnaście lat to trochę długo, żeby zacząć się zajmować tą sprawą – zauważył mężczyzna z udawaną życzliwością, jakby to była po prostu uwaga, a nie przygana. Brunetti usłyszał szcęknięcie szkła, a potem dźwięk, który zinterpretował trafnie dopiero po chwili. Ach tak, pierwszy kieliszek na początek dnia. Nie był pewien, czy usłyszał gulgotanie alkoholu w gardle, czy tylko mu się wydawało.

– Tak, sporo czasu minęło, ale jest nowe dochodzenie w tej sprawie. Czy mógłbym może z panem porozmawiać? – zapytał Brunetti, który postanowił zignorować zaczepkę Cavanisa.

– Oczywiście, ale to nic nie da. Mówiłem już: nic nie pamiętam, a im więcej czasu upływa, tym mniej pamiętam.

Brunetti pomyślał, że mężczyzna mówi to z wyjątkowym naciskiem.

– Mimo wszystko chciałbym z panem porozmawiać – odparł najbardziej przyjaznym tonem.

– W weekend nie mam czasu. Może w poniedziałek?

– Mam umówione spotkanie po południu – odparł Brunetti.

– Wtorek? – zaproponował Cavanis z łatwością człowieka, który nie musi chodzić do pracy, i stanowczością kogoś, kto nie uważa, że przedpołudnie to odpowiednia pora na spotkanie.

– Doskonale – powiedział Brunetti. – Proszę powiedzieć, gdzie pana znajdę.

Cavanis wymienił nieznaną Brunettiemu bar i wyjaśnił, że mieści się on przy Rio Marin, kilka domów od oddziału gazowniczego, idąc od strony stacji. zaproponował późne popołudnie, ale Brunetti powiedział, że bardziej odpowiadałoby mu spotkanie koło południa. Może mógłby zaprosić signora Cavanisa na lunch? To najwyraźniej przekonało mężczyznę, powiedział, że będzie na miejscu o dwunastej. Brunetti, który kilka razy usłyszał stuknięcie kieliszka o słuchawkę telefonu, powtórzył, że umówili się na wtorek.

– Jeśli mnie tam nie będzie, poproś pana właściciela baru o klucze. Wystarczy przejść na drugą stronę kanału, bo mieszkam dokładnie naprzeciwko, żeby mnie obudzić, jasne? Zielone drzwi na drugim piętrze. Wystarczy wejść i trochę mną potrząsnąć.

Brunetti, który zauważył, że zaproszenie na lunch wprowadziło jego rozmówcę w lepszy humor, a może nawet obudziło przyjazne instynkty, obiecał, że tak zrobi. Cavanis odłożył słuchawkę bez odpowiedzi i tak zakończyła się ta rozmowa.

Ponieważ było piątkowe popołudnie, a Brunetti był znudzony, niespokojny i narastało w nim przecucie zbliżającej się zimy, zadzwonił do Lola i zapytał, czy nadal ma *sàndolo* na wodzie. Kiedy przyjaciel potwierdził, że wciąż ma łódź i jest ona sprawna, Brunetti zaproponował, żeby następnego dnia uciekli z domu, popłynęli na lagunę i spędzili dzień na wiosłowaniu.

– A jeśli nam się spodoba, powtórzymy to w niedzielę – odparł Lolo bez wahania.

Późnym sobotnim popołudniem Brunetti wrócił do domu i pokazał Paoli cztery opatrunki na rękach oraz pęcherz na lewej pięcie, gdzie tenisówka otarła mu skórę, gdy on koncentrował się na przypominaniu sobie obrotów i balansu, popychania i zagłębiania się w wodę, jakie wymuszało na nich pojedyncze wiosło. Po obiedzie usiadł ciężko przed telewizorem i przysypiał z przerwami podczas wiadomości lokalnych: pożar w mieszkaniu przy Santa Croce, dziki strajk sprzedawców biletów na tramwaje wodne i krótki wywiad z Sandrem Vittori-Ricciardim, mężczyzną, którego widział na obiedzie u hrabiny Lando-Continui, opowiadającym o nowym projekcie. Brunetti był

jednak tak zmęczony późnojesiennym słońcem, zimnym wiatrem od wody i godzinami spędzonymi na wiosłowaniu, że z tych trzech segmentów zapamiętał tylko to, iż Vittori-Ricciardi zgolił bródkę i w efekcie wyglądał na młodszego o dobrych kilka lat.

Kiedy Paola przełączyła telewizor na powtórkę pierwszej serii *Downtown Abbey*, Brunetti wstał z trudem i dowlóknął się do łóżka, gdzie padł jak góra wyczerpanych mięśni. Przespał noc niemal bez ruchu, a o ósmej rano wstał, noga za nogą poczłapał na spotkanie z Lolem i ponownie wsiadł do *sàndolo*.

Zeszłej nocy przyszła niespodziewana *acqua alta*, ale jedynym śladem po niej był wilgotny chodnik na nabrzeżu kanału, w którym Lolo zacumował swoją łódź. Niewiele rozmawiali, gdy wypływali na lagunę, ponieważ zdawali sobie sprawę, że słowa mogą przeszkadzać. Od czasu do czasu Brunetti ostrzegał przed unoszącą się na wodzie kłodą, żeby mogli zmienić kurs. W pewnym momencie zobaczył dwa długodziobe ptaki wygrzewające się w słońcu, z rozłożonymi skrzydłami, na kępach trawy porastających muł. Nie pamiętał już, jak się nazywają.

– Czy to nie pora, żeby odlatywały na południe? – zapytał Brunetti wiosłującego z tyłu łodzi przyjaciela. Minęli ptaki, które nie zwróciły na nich uwagi.

– Teraz zimują tutaj – odparł Lolo.

Zanurzyć wiosło, wsunąć je głębiej w wodę, przekręcić i wyjąć z wody, przenieść do przodu i znowu zanurzyć. Raz za razem, w milczeniu, niemal całkowicie machinalnie. Nieskończona płaszczyzna rozciągała się wokół nich, niebo miało kolor stalowoszary, a wiatr był zdecydowanie za zimny, by usprawiedliwiać beztroskę, z jaką chłodził ich spocone ciała.

O drugiej postanowili odpocząć chwilę, więc powiosłowali, by zatrzymać się przy brzegu wąskiego kanału, przecinającego kilka porośniętych trawą wysepek. Stojący na dziobie Brunetti obrócił się w prawo, a potem w lewo. Wokół nich rozciągała się pustka laguny: trawa, wiatr, kępy trzciny, żadnego dźwięku poza ich nadal ciężkimi oddechami oraz odległym nawoływaniem ptaków. Zrobiło się trochę jaśniej, ale słońce nadal ukrywało się przed nimi, chociaż teraz, gdy znaleźli się w miejscu osłoniętym od wiatru, zdołało ich

trochę rozgrzać.

– Guido – zawołał Lolo z tyłu.

Gdy Brunetti się odwrócił, przyjaciel rzucił mu zawiniętą w papier kanapkę. Brunetti nagle poczuł taki głód, że nie sprawdzał nawet, co w niej jest. Zjadł ją w sześciu kęsach, nadal stojąc, a potem popatrzył znowu na Lola.

– Nigdy w życiu nie jadłem niczego równie smacznego – powiedział. – A nie mam nawet pojęcia, co to było.

W poniedziałkowy poranek skuł go paraliż – lub coś bardzo do niego zbliżonego. Brunetti położył się spać jako szczęśliwy człowiek, który dowiódł swej kondycji wiosłowaniem przez sześć godzin, wrócił do domu rozpierany dumą z powodu własnej sprawności, zjadł dwa talerze *polpette* z ziemniakami i *porcini*, cztery kawałki *merluzzo* ze szpinakiem, a następnie zdołał jeszcze zmieścić duży kawałek *torta della provvidenza*, po czym wreszcie wycofał się do łóżka z *Argonauticą* i zasnął, zanim przeczytał dwie strony.

Obudził się jako inny człowiek, zniedołężniały starzec, który ledwie może zwlec się z łóżka i którego ciało, gdy szedł pod prysznic, protestowało gwałtownie, każdy krok stawiał w nieoczekiwanym miejscu. Nie był w stanie zdjąć spodni od pizamy, więc pozwolił, by opadły na ziemię, i sięgnął do prysznicza, by odkręcić gorącą wodę. Gdy w końcu się pojawiła, pokonawszy pięć kondygnacji, zanurzył się w kojącym cieple. Przekręcił sitko prysznicza w prawo, a sam przesunął się tak, by z czołem przyciśniętym do kafelków pozwolić wodzie uderzać, pluskać i spływać po jego plecach.

Po pięciu minutach poczuł, że jakieś węzły w jego grzbiecie zaczynają się rozluźniać i że pali go już nie ból w mięśniach ramion, tylko gorąco wody, podczas gdy para wypełniała powoli całą łazienkę. Po jeszcze kilku minutach był gotów brać pod uwagę, że uda mu się tego ranka dotrzeć do własnego gabinetu, chociaż byłoby cudownie, gdyby mógł zadzwonić do Sanitrans i poprosić o dwóch silnych młodych mężczyzn, którzy posadziliby go na krześle i znieśli cztery piętra w dół po schodach, żeby nie musiał poruszać się na tych zdrewniałych pieńkach, będących kiedyś jego nogami.

Zupełnie jakby udało mu się przyzwać jednego z tych młodych mężczyzn, Brunetti usłyszał, że ktoś woła go po imieniu od drzwi łazienki. Głos był jednak wysoki i wydawał się zaniepokojony. Brunetti nie miał dość stania

pod strumieniem wody, ale uznał, że może już podjąć się wysiłku włożenia ubrania, więc zakręcił kran i stał w ciszy.

– Guido? – odezwał się znajomy głos. – Wszystko w porządku?

Przez ociekającą szybę kabiny prysznicowej zobaczył zarys kogoś, kogo uznał za stojącą w drzwiach Paolę.

– Oczywiście, że w porządku – odparł, zastanawiając się, czy zaraz będzie musiał wysłuchać komentarzy na temat zużycia ciepłej wody.

– To dobrze – odparła i zniknęła.

Wyszedł powoli spod prysznic i wziął ręcznik, wytarł się pobieżnie, zostawiając niższe partie nóg, by wyschły same. Owinięty ręcznikiem wrócił do pokoju, gdzie Paola leżała w łóżku i czytała.

– Przyszłaś do łazienki, żeby sprawdzić, co ze mną? – zapytał.

Spojrzała na niego znad okularów.

– To trwało bardzo długo. Zaniepokoiłam się. – Z tymi słowami wróciła do czytanej książki.

– Czym się zaniepokoiłaś?

Znów spojrzenie znad okularów.

– Że mogłeś się przewrócić.

– Aha – powiedział i sięgnął do szuflady, w której trzymał bieliznę. Plecy i prawe ramię zaprotestowały gwałtownie, ale zignorował je i powoli zaczął się ubierać. Wyjął parę skarpetek i usiadł na łóżku. Jego stopy nadal były wilgotne, ale zignorował to i włożył skarpetki.

Spodnie – nie takie proste, koszula – bułka z masłem, ciężkie buty, których włożenie zaleciła mu Griffoni – trudne, jeszcze krawat i marynarka. Gdy się już ubrał, podszedł do łóżka, pochylił się i pocałował Paolę w czubek głowy.

– Zjem lunch poza domem – powiedział. – Muszę jechać za miasto porozmawiać z różnymi ludźmi.

Paola coś wymamrotała, więc przysunął się bliżej, żeby zobaczyć tytuł na górze książkowej strony. Rozpoznał tylko ostatnie słowo, *gołębiczy*, i uświadomił sobie, że nie ma sensu mówić do czytającej. Schodzenie

początkowo było bolesne, ale stawało się łatwiejsze, w miarę jak znajdował się coraz niżej, aż w końcu dotarł na parter i poczuł, że panuje nad swoimi kończynami. Kiedy otworzył drzwi i wyszedł na słońce, uświadomił sobie, że jego żona zostawiła Henry'ego Jamesa, żeby sprawdzić, co on robi w łazience. Ta myśl przyniosła mu niezmierzoną pociechę.

Do popołudnia nauczył się kontrolować swoje ciało i mógł chodzić, schylać się, by coś podnieść – o ile leżało na biurku, nie na ziemi – i siadać oraz wstawać z relatywną łatwością. Żadna z tych czynności nie była całkowicie wolna od bólu, ale wszystkie dało się znieść. O drugiej Brunetti i Griffoni, którzy dla zaoszczędzenia czasu zjedli na lunch tylko kanapki, wsiedli do radiowozu przy Piazzale Roma, a kierowca wyjechał na autostradę, mieli ją dotrzeć do Preganziol, na którego obrzeżach znajdowała się stajnia.

Griffoni włożyła krótką wełnianą kurtkę, dżinsy i botki – z powodu tego stroju w pierwszej chwili Brunetti uznał, że jest ubrana odpowiednio do tego, co nazywało się „sprzątaniami boksów”, a w jego oczach przypominało z grubsza to, co Herkules zrobił w stajni Augiasza. Jednakże bliższe przyjrzenie się ujawniło, że dżinsy rzadko były używane do roboty, a jasne botki, chociaż podniszczone, ozdobione były cienkimi paskami i metalową sprzączką – Paola kiedyś pokazywała Brunettiemu podobną parę w sklepie.

Jasne włosy Griffoni związała czarną wstążką w koński ogon. Brunetti zastanawiał się, czy ma może w torbie czarny toczek jeździecki.

Podróżowanie samochodem zawsze stanowiło dla komisarza dziwne doświadczenie. Przywykł do niego w okresach, gdy był przydzielany do posterunków w różnych miastach, ale nie oswoił się z nim naprawdę, samochody zawsze wydawały mu się równie obce, nadmiernie szybkie i niebezpieczne.

Griffoni, być może wyczuwająca jego zdenerwowanie, wzięła na siebie podtrzymywanie rozmowy, w końcu ujawniając coś z wiedzy, jaką zdobyła, gdy sama jeździła konno.

– To prawda, co ludzie mówią, że konie rozumieją nasze uczucia, chociaż

ja sędzę, że potrafi to większość zwierząt. – Patrzyła w okno, na odległe pola, nagie i wyschnięte, oraz na usytuowane między polami a szosą, po obu jej stronach, niekończące się skupiska sklepów, restauracji i zakładów produkcyjnych.

– Wydaje mi się, że to wszystko były kiedyś pola – zauważyła ogólnie.

Kierowca, który mógł być od niej jakieś dziesięć lat starszy, odpowiedział ze swojego miejsca:

– Tak było, pani komisarz. Wychowywałem się tutaj, moi rodzice uprawiali ziemię.

Minęli ogromne zbiorowisko budynków po prawej stronie: supermarket, warsztat samochodowy, jeden magazyn, potem następny, sklep meblowy i wielkie ciężarówki zaparkowane pod metalowymi drzwiami na tyłach parterowego budynku, w którym się mieścił.

– Po co nam tyle rzeczy? – zapytał Brunetti, odwracając głowę, by popatrzeć na budynki po drugiej stronie, identycznego rodzaju, różności i rozmiaru.

Nikt mu nie odpowiedział. Pomyślał więc, że może dlatego, że tak wiele osób ma po dwa domy, jest więcej miejsca, które trzeba wypełniać rzeczami. Może też ludzie mają teraz coś, co się nazywa „nadwyżką dochodu”, podczas gdy jego rodzice ledwie mieli jakikolwiek dochód.

– Jeszcze tylko kilka kilometrów – powiedział kierowca.

– Znasz to miejsce?

Kierowca roześmiał się na samą myśl o tym.

– Słyszałem o nim, ale nigdy tam nie byłem. – Skoncentrował się na wyprzedzeniu samochodu, a potem wyjaśnił: – Jedyne koń, z jakim miałem do czynienia, należał do mojego ojca i zajmował się tylko ciągnięciem wozu i jedzeniem mnóstwa trawy.

– Widziałeś to? – zapytał Brunetti, niepotrafiący się powstrzymać. – Prawdziwy wóz?

– Cóż, był tylko dla nas, dzieciaków. Rodzice nigdy go właściwie nie używali, ale od czasu do czasu zaprzęgali konia i zabierali nas na

przejażdżkę. Uwielbialiśmy to. Byłem wtedy małym dzieciakiem, ale nadal to pamiętam.

– Co się stało z koniem? – zapytała Griffoni.

– W końcu zdechł.

– Co zrobili twoi rodzice? – zapytał Brunetti, ciekawy, jak pozbywano się martwego konia.

Kierowca milczał przez dłuższą chwilę.

– Mogę powiedzieć prawdę? – zapytał.

– Oczywiście – odparli oboje.

– Mój ojciec wykopał koparką dół na polu, a potem podniósł nią konia i włożył go do grobu, a my, dzieciaki, wrzuciliśmy tam kwiaty. Potem ojciec go zakopał i powiedział, że nie możemy nikomu powiedzieć, co zrobił. – Kierowca zwolnił, kiedy to opowiadał, i nie zwracał uwagi na to, że wyprzedził ich najpierw jeden, a potem kolejny samochód.

Nikt się nie odzywał, dopóki nie dojechali do drewnianego ogrodzenia, ciągnącego się wzdłuż drogi po prawej stronie.

– To tutaj – powiedział kierowca i pochylił się do przodu, by postukać palcem ekran GPS-a.

Kawałek dalej zobaczyli bramę znajdującą się jakieś dziesięć metrów od szosy. Kierowca podjechał do niej i zatrzymał się. Na tablicy widniał odręczny napis polecający zamknąć bramę po wjechaniu do środka, więc wysiadł ją otworzyć, przejechał przez nią, a potem wrócił, by ją zamknąć. Brunetti zauważył po lewej stronie domofon, ale ze splekaną obudową i wiszący na kablu.

Kierowca wrócił do samochodu i ruszył wąską drogą pomiędzy ogrodzonymi padokami.

– Zupełnie jak w Teksasie – zauważył.

Nikt mu nie odpowiedział. Jechali asfaltową drogą, która pamiętała lepsze czasy. Liście rosnących po obu stronach platanów zaścieliły ją grubą warstwą, ale nie były w stanie zamortyzować wstrząsów, gdy samochód wjeżdżał w dziury, tak że podskakiwali na siedzeniach. Droga skręciła

i urwała się przed niskim kamiennym budynkiem z łukowatymi oknami i dachem pokrytym dachówką.

Stary brązowy pies o niejasnym rodowodzie wyszedł powoli zza rogu budynku i zbliżył się do samochodu. Zignorował ich i nie zawracał sobie głowy szczekaniem – podszedł tylko do drzwi kierowcy i położył się. Kierowca bardzo powoli otworzył je i przestąpił psa, który spojrzał na niego, a potem położył łeb na ziemi i najwyraźniej zasnął.

Brunetti i Griffoni także wysiedli. Wszyscy troje bardzo cicho zamknęli drzwi. Z domu wyszła kobieta z krótkimi siwymi włosami, na jej twarzy malował się niepokój.

– Hektor państwa nie przestraszył? – zapytała z prawdziwą troską. Miała piwne oczy, które wydawały się jaśniejsze przez kontrast z trwałą opalenizną, jaka często cechowała ludzi spędzających większość życia na świeżym powietrzu. Podeszła do nich z uśmiechem. Była drobna, sądząc z wyglądu dobrze po sześćdziesiątce, ale szczupła i o żwawych ruchach. Miała na sobie dżinsy, oficerki i gruby męski sweter, za duży na nią o kilka rozmiarów.

– Na pewno jesteście z policji – oznajmiła z takim zachwytem, jakby na wizytówkach wskazujących gościom miejsca przy stole było napisane „Policja”, i teraz, gdy się zjawili, obiad nareszcie mógł się rozpocząć. Znowu się uśmiechnęła, co na moment wygładziło cienkie jak kod kreskowy zmarszczki wokół jej ust.

– Tak – odparł Brunetti i ucisnął wyciągniętą rękę. – Jestem komisarz Brunetti.

Jej uścisk rozgniół dwa pęcherze na jego dłoni, a gdyby Brunetti był trochę słabszy, rzuciłaby go na kolana.

Zdołał tylko syknąć na wdechu, zanim odwrócił się do swojej towarzyszki.

– To jest komisarz Griffoni.

Kobieta wypuściła jego dłoń i ucisnęła rękę Griffoni.

– Jestem Enrichetta degli Specchi – powiedziała. – Dziękuję, że państwo przyjechali.

Griffoni, zachowująca się tak, jakby to powitanie sprawiało jej prawdziwą

przyjemność, zapytała:

– Jest pani może spokrewniona z Giovannim?

Kobieta cofnęła się o krok i przyjrzała jej uważniej.

– Owszem, jestem. Zna go pani?

Twarz Griffoni rozpromieniła się.

– Jeździliśmy razem wiele lat temu – powiedziała, przeliczyła coś w parę sekund i dodała: – Prawie dwadzieścia. Często o pani opowiadał – uzupełniła szybko.

– Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, jak się pani nazywa – zapytała kobieta, przechyliła głowę i popatrzyła na Griffoni z prawdziwym zainteresowaniem.

– Griffoni. Claudia.

Twarz kobiety zmieniła się, uśmiech odjął jej całe lata i w ułamku chwili ukazał, jaką piękną musiała być, zanim słońce dopełniło swojego dzieła zniszczenia.

– Claudia – powiedziała głosem pełnym zachwytu, jak Marcelina odnajdująca zaginione dziecko. Niezdolna powstrzymać wybuchu uczuć, objęła Claudię, chociaż musiała w tym celu stanąć na palcach. – Och, dziękuję, dziękuję ci. Uratowałaś Giovanniemu życie – powiedziała. Brunetti zauważył, że nieświadomie zaczęła zwracać się do Griffoni poufałym *tu*.

Gdy kobieta cofnęła się, Griffoni odpowiedziała:

– Wydaje mi się, że to jednak przesada.

– Gdybyś z nim nie porozmawiała, nie pojechałby w zawodach, a wtedy na pewno by umarł – upierała się kobieta, wymawiając z naciskiem ostatni czasownik.

– Nie, nie, nie – zaprotestowała Griffoni. – Potrzebował tylko kogoś, kto by mu powiedział, że jest najlepszy w drużynie. – Kierowana potrzebą mówienia prawdy, musiała dodać: – Tak rzeczywiście było.

– Ale mimo wszystko... – kobieta nie wydawała się przekonana. Odwróciła się do Brunettiego i wyjaśniła: – Mój kuzyn zawsze miał okropne ataki paniki przed zawodami. – Brunetti skinął głową, jakby emocjonalne

dziwactwa sportowców były mu dobrze znane. – Dlatego może pan sobie wyobrazić, co zrobiła z nim olimpiada. Był jak sparaliżowany. Przyjaciele mówili mi, że ledwie był w stanie chodzić.

Popatrzyła na Griffoni, szukając potwierdzenia. Komisarz skinęła głową.

– Nie był w stanie jechać – ciągnęła kobieta, zwracając się do Brunettiego.
– Koń był osiodłany, ale Giovanni jakby skamieniał. A wtedy ona – oznajmiła i urwała dramatycznie, by wskazać Griffoni – wzięła go na bok, porozmawiała z nim, a on wrócił i wszedł na konia, jakby nie miał żadnych zmartwień na tym świecie.

Griffoni pochyliła się i zajęła wydlubowaniem kamyczka, który utkwił w obcasie jej lewego buta.

– Złoto! Zdobył złoty medal – powiedziała kobieta, klaszcząc w dłonie z radości. – A to wszystko dzięki tobie. – Chwyciła prawą rękę Griffoni w obie dłonie i potrząsnęła lekko w podzięcie, a potem popatrzyła na Brunettiego. – To wszystko prawda – powiedziała. – Nie udałoby mu się, gdyby z nim nie porozmawiała.

– Co u niego słyhać? – Griffoni kompletnie zignorowała całą przemowę kobiety.

– Świetnie. Świetnie. Troje dzieci. Uprawia oliwki w Toskanii, Bóg jeden wie jak i kiedy... – Kobieta urwała i wzdrygnęła się lekko. – Ale jesteście tu w sprawie tej dziewczyny, prawda?

– Manuelli Lando-Continui – potwierdził Brunetti. – Czy dobrze ją pani znała?

– Nie, wtedy stajnię kierował mój zmarły mąż. Ja przyjechałam tutaj dopiero dwanaście lat temu, kiedy wzięliśmy ślub.

– Czyli pani mąż ją znał? – zapytał Brunetti.

– Tak, owszem. Opowiedział mi, co jej się przydarzyło. – Kobieta uniosła dłonie gestem symbolizującym bezradność wobec zrządeń losu.

– Czy mówił pani coś jeszcze?

– Nie, tylko tyle, że miała rękę do koni. – Popatrzyła na Griffoni, która pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Czy pracuje tutaj jeszcze ktoś, kto pracował wówczas? – zapytała Griffoni.

– Niech się zastanowię – powiedziała kobieta, a Brunetti obserwował, jak zaczęła liczyć. Doszła do siedmiu, prostując jeden palec za drugim, a potem zginała je z powrotem, aż w końcu wszyscy zostali wyeliminowani.

Popatrzyła na Brunettiego.

– Nie. Wszyscy odeszli. – Jej wzrok pobiegł w stronę łąki za domem, gdzie Brunetti dostrzegł kilka koni skubiących resztki trawy. – Obawiam się, że nie ma też już większości koni. – W uszach Brunettiego zabrzmiało to tak, jakby właśnie tego żałowała naprawdę.

– Jest może pani w kontakcie z kimś z dawnych pracowników?

Nie próbowała nawet używać palców do policzenia możliwości.

– Nie, nie jestem. W takim miejscu pracownicy często się zmieniają – dodała wyjaśniająco i przepraszająco.

Brunetti zobaczył, że kierowca stoi przy ogrodzeniu i gładzi łeb jednego z koni. Mężczyzna pochylił się, zerwał kępkę trawy po swojej stronie ogrodzenia i podsunął ją koniowi, który przyjął poczęstunek i zaczął go chrupać. Gdy skończył, szturchnął łbem dłoń mężczyzny, który posłusznie schylił się po więcej trawy.

– Są bardzo inteligentne – powiedziała Griffoni i podeszła do ogrodzenia. Brunetti poszedł za nią, a właścicielka stajni podążyła za Brunettim. Gdy wszyscy ludzie stanęli w rzędzie, konie na padoku zaczęły się zbliżać do nich i po pięciu minutach wszyscy czworo zajmowali się zrywaniem trawy, by je nakarmić.

Griffoni stanęła na niższej belce ogrodzenia i pochyliła się do koni, z których dwa zaraz zaczęły skubać jej dłonie, szyję i twarz. Objęła je wyciągniętymi ramionami, położyła każdemu rękę na szyi i powoli zaczęła je drapać tuż pod uchem. Wydawało się, że cała trójka zapadła w trans i dopiero gdy trzeci koń zbliżył się i skubnął jednego z pozostałych w bok, oba konie odskoczyły od Griffoni, straciły zainteresowanie nią i oddaliły się klusem.

Griffoni odwróciła się do Brunettiego z uśmiechem, a on zobaczył jej

nową, ukrytą przed nim wcześniej twarz.

Stojąca za nimi signora degli Specchi powiedziała:

– Wejdźcie i przynajmniej się czegoś napijcie.

Griffoni skierowała się w stronę budynku, a Brunetti ruszył w jej ślady. Kierowca pochylił się, by zerwać więcej trawy.

Właścicielka poprowadziła ich na tyły domu, mijając pokoje, w których wszystkie meble wyglądały jak miejsca odpoczynku Hektora i nieznaney liczby poprzedzających go psów. W kuchni siodła zajmowały dwa krzesła, a buzujący ogień walczył z chłodem ciągnącym od kamiennej podłogi. Dzięki wysiłkom płomieni było tu cieplej niż na zewnątrz, ale niewiele.

Oboje powiedzieli, że chętnie napiją się kawy, a signora degli Specchi zaskoczyła ich małym ekspresem Gaggia. Szybko, demonstrując długoletnią wprawę, przygotowała trzy kawy i przyniosła je na stół, przy którym, zachęteni przez nią, zajęli miejsca.

Gdy rozmieszali cukier w kawie, Brunetti zapytał:

– Skoro nic pani nie wie o Manueli, dlaczego poprosiła pani, żebyśmy przyjechali?

Właścicielka nie odrywała wzroku od mieszanej kawy.

– Wydawało mi się, że zamierzacie ją przywieźć.

– Ją? – zapytał Brunetti.

– Manuele – wyjaśniła, nie patrząc na niego.

– Po co mielibyśmy to robić, skoro pani jej nie znała i nie pracuje tu już nikt, kto by ją znał? – zapytał Brunetti. W połowie zdania uświadomił sobie, jaka irytacja brzmi w jego głosie, więc złagodził ton, by postawić proste pytanie.

Dzyń, dzyń, dzyń, aż odłożyła łyżeczkę na spodeczek. Wypiła łyk, odstawiła filiżankę i zadzwoniła łyżeczką jeszcze kilka razy. W końcu znużyło ją to ociąganie się.

– Jej klacz nadal tu jest – powiedziała.

Brunetti odstawił swoją filiżankę.

- Ile ma lat? – zapytała Griffoni.
 - Dwadzieścia jeden.
 - I pani myślała... – zaczęła Griffoni, ale tu skończyły jej się pomysły.
 - Myślałam, że ją sobie przypomni.
- Brunetti nie potrafił doszukać się sensu w tych zaimkach.
- Że klacz ją sobie przypomni? – zapytał.
 - Nie. Mój mąż powiedział, co jej się stało. W wodzie.
- Brunetti nadal nie rozumiał. Czekał.
- Miałam nadzieję, że ona przypomni sobie swoją klacz.

– Mąż opowiadał mi przed śmiercią, że jej mózg uległ uszkodzeniu. Ludzie z miasta mu to powiedzieli, ale nie wiedział, jak poważna była sytuacja. Ponieważ tak dobrze ją wspominał, pomyślałam... miałam nadzieję... że jest w na tyle dobrym stanie, żeby pamiętać swojego konia albo rozpoznać go, a to mogłoby... mogłoby jej pomóc. W jakiś sposób. – Kobieta skubała zadziorek przy paznokciu, co przypominało Brunettiemu znacznie młodszą Chiareę, gdy przyznawała się, że zrobiła coś głupiego albo niewłaściwego.

Ponieważ nie umiał znaleźć odpowiedzi, spojrzął na Griffoni, która uniosła dłoń, dając znak, by się nie odzywał.

– Czy pani mąż mówił o niej coś jeszcze? – zapytała.

Cisza przedłużała się tak bardzo, że Brunetti zaczął wątpić, czy kobieta w ogóle odpowie. Usiadł wygodniej i rozejrzał się po kuchni. Była znacznie czystsza od pozostałych pomieszczeń, na stołach nic nie leżało, talerze i szklanki stały równo w otwartych kredensach po obu stronach zlewu. Kamienna podłoga była idealnie wyszorowana. Ściany zajmowały grupowe zdjęcia koni i ludzi. Brunetti siedział dostatecznie blisko, by widzieć, że na niektórych z nich fryzury i ubrania były sprzed kilkadziesiąt lat. Zobaczył młodych ludzi w okularach z grubymi, prostokątnymi oprawkami z plastiku, w stylu tak staroświeckim, że właśnie zaczął powracać. Inne zdjęcia pokazywały modę bardziej zbliżoną do współczesnej. Konie zawsze wyglądały tak samo.

Kobieta wstała i bez słowa wyszła z kuchni. Brunetti podniósł się i podszedł do fotografii, z których część była w kolorze, a część, te starsze, czarno-biała. Zastanawiał się, czy na którejś z nich jest Manuela, i musiał pogodzić się z faktem, że nawet gdyby była, mógłby jej nie rozpoznać.

W dużej mierze zależało to od jego zdolności datowania ubrań i fryzur. Co młodzi ludzie – zdjęcia przedstawiały głównie ich – nosili piętnaście lat temu? Jak strzygli włosy? Na zdjęciu, które widział, Manuela miała dzinsy i długie włosy – ten opis pasował do większości osób na tych fotografiach.

Na jednej z nich, z pewnością stosunkowo nowiej, rozpoznał młodego dziennikarza, który w lokalnej telewizji był prezydentem wiadomości o ósmej trzydziści. Zazwyczaj występował w garniturze i pod krawatem, ale tutaj, chociaż wyglądał na niewiele młodszego niż obecnie, był ubrany w bluzę od dresu i dzinsy, miał potargane włosy i obejmował ramionami chłopaka i dziewczynę stojących po jego bokach. Brunetti przyjrzał się zdjęciom uważniej. Dostrzegł między nimi bardzo spłowiałe, przedstawiające jasnowłosą dziewczynę, która wyglądała trochę jak Paola, ale miała mniejszy nos. Stała koło długowłosego chłopaka, niewiele od niej wyższego, tak samo uśmiechniętego i młodzieńczego jak ona. Wydawał mu się znajomy, ale Brunetti nie potrafił go rozpoznać. Być może w późniejszym czasie został prezydentem pogody.

Usłyszał za sobą kroki, a kiedy się odwrócił, ponownie ujrzał kobietę, której gośćmi byli. Podeszła do stołu i położyła na nim zdjęcia – tylko dwa.

– To Manuela – powiedziała. – Mój mąż mówił o niej zawsze, że była równie utalentowana jak piękna i że to straszne, co się z nią stało. – Po dłuższej chwili dodała: – Raz rozplakał się z tego powodu. – Wskazała fotografie. – Sami państwo zobaczą dlaczego.

Brunetti i Griffoni podeszli do niej i spojrzeli na zdjęcia, jedno czarno-białe, a drugie kolorowe. Przedstawiały tę samą dziewczynę, którą Brunetti widział na zdjęciu w gazecie, wyglądającą tak samo młodo – lub dorosłe. Tutaj siedziała na ogrodzeniu, przy którym oni zatrzymali się pół godziny temu, wystawiała twarz do słońca, miała zamknięte oczy i wyraźnie nie była świadoma tego, że znajduje się przed obiektywem aparatu.

Na drugim zdjęciu dosiadała konia, ubrana w obcisłe dzinsy i sweter, w oficerkach, z apaszką na szyi i w jeździeckim toczku na głowie. Wyglądała równie promiennie i pięknie jak na poprzednim zdjęciu, a jej twarz to była sama doskonałość.

Koń, maści ciemnokasztanowej, był równie piękny – przynajmniej w oczach Brunettiego, laika w tych sprawach – jak dziewczyna. Sierść na lewym boku lśniła, światło i cienie rzeźbiły mięśnie i ścięgna nóg. Spod siodła wystawał brzeg czerwonej derki. Dziewczyna wyglądała poważnie, a koń sprawiał wrażenie szczęśliwego.

– Czy to jej koń? – zapytał Brunetti.

– Prześliczna – powiedziała Griffoni. Brunetti potrafił się domyślić, że mówiła o klaczy.

– Tak. Mój mąż zawsze ją lubił, ponieważ miała wyjątkowo łagodny charakter, więc gdy Manuela nie wracała, a jej rodzina powiedziała, że nie chce już tej klaczy, zatrzymał ją dla początkujących. Była tutaj, kiedy przyjechałam, i tylko ona spośród koni i ludzi jeszcze została z tamtych czasów – dodała signora degli Specchi refleksyjnie. – Prawie nikt już na niej nie jeździ. – Mówiła dalej, ponieważ widziała ich autentyczne zainteresowanie. – Teraz mam niewiele pracy. Wynajmuję część bokсів, ale minęły już dni, kiedy ludzi stać było na lekcje konnej jazdy dla dzieci. Albo na utrzymywanie konia.

– Ale nadal ją pani ma? – zapytała Griffoni.

Signora degli Specchi uśmiechnęła się.

– Znała mojego męża.

Griffoni skinęła głową.

– Oczywiście – powiedziała. Po czym zapytała: – Czy mogłabym na niej pojeździć?

– Teraz? – zapytała zaskoczona kobieta.

– Nie, innym razem. Przyjechałabym specjalnie.

– Oczywiście. Jestem pewna, że będzie szczęśliwa, mając towarzystwo. – Po chwili namysłu dodała jeszcze: – Obawiam się, że jest już dość powolna, ale jazda na niej to czysta przyjemność. Nie jest już taka jak dawniej.

– Nikt z nas nie jest – odparła Griffoni i roześmiała się głośno. Wstała z miejsca. – Mam pani numer, więc zadzwonię, dobrze?

– Tak. O, będzie niesamowicie szczęśliwa.

– Ja także – odparła Griffoni i odwróciła się do wyjścia.

Kiedy wyszli na słońce, zobaczyli kierowcę stojącego na dolnej belce ogrodzenia i drapiącego ciemnobrązowego konia między oczami.

– Jedziemy – zawołał do niego Brunetti.

Policjant zeskoczył i wrócił do samochodu. Hektor nadal spał i nie obudził się nawet w momencie, gdy kierowca znów go przestąpił. Brunetti i Griffoni podziękowali właścicielce stajni i pożegnali się z nią. Kiedy już mieli wsiadać, signora degli Specchi zapytała:

– Naprawdę pani wróci?

– Czy to ona? – odpowiedziała pytaniem Griffoni i wskazała konia, którego wcześniej drapał kierowca. Brunetti spojrzął na konia, który patrzył na nich. Klacz była chudsza niż na zdjęciu, a jej sierść mniej błyszcząca. Przypuszczał, że jest to spowodowane wiekiem, ale nie był pewien.

– Tak, to Petunia. – Właścicielka stajni, jakby chciała to udowodnić, zawołała do klaczy: – Petunia, kto jest śliczną dziewczynką?

Klacz zarżała w odpowiedzi.

– Wrócę na pewno – powiedziała Griffoni i wsiadła do samochodu.

Podróż powrotna do Wenecji upływała im w ciszy, atmosfera satysfakcji i wzajemnego zrozumienia czyniła słowa zbędnymi. Gdy wjechali na most prowadzący do Piazzale Roma, kierowca zaśmiał się do swoich myśli i rzucił tylko:

– Petunia.

Żadne z pozostałej dwójki nie odpowiedziało. Samochód zatrzymał się przy nabrzeżu, w miejscu, gdzie miała podpłynąć zamówiona przez kierowcę łódź i zabrać ich z powrotem.

Skończyła się wolność dnia spędzonego na prowincji, wróciła zwykła rutyna. Kierowca obszedł samochód, by otworzyć Griffoni drzwi. Kiedy wysiadła, uniósł dłoń w geście, który mógł być salutem, ale mógł też być przyjaznym machnięciem do koleżanki po fachu.

Griffoni zeszła za Brunettim po schodach nabrzeża i wsiadła na policyjną

motorówkę. Kiedy zajęli miejsca w kabinie, komisarz odezwał się:

– Chcemy zawracać sobie głowę szukaniem ludzi, którzy pracowali tam piętnaście lat temu?

Griffoni odpowiedziała natychmiast.

– Wydaje mi się, że skoro nie poprosiłeś jej o listę nazwisk, to znaczy, że nie uważasz, żeby to było warte zachodu. – Powiedziała to jednak z uśmiechem i zaraz zapytała: – Co jeszcze nam zostało do zrobienia?

– Powinniśmy porozmawiać z matką – powiedział, wybierając numer, który dostał od hrabiny.

– *Pronto* – odezwał się po siódmym dzwonku kobiecy głos, w którym nie było nawet śladu pośpiechu.

– Signora Magello-Ronchi?

– *Sì* – powiedziała, jakby uznała to pytanie za interesujące i chętnie rozwinęłyby temat.

– Mówi komisarz Guido Brunetti – przedstawił się. – Domyślam się, że może to być dla pani zaskoczeniem, ale sąd zlecił mi ponowne zbadanie okoliczności wypadku pani córki i stwierdzenia, czy w pierwotnym postępowaniu nie dopuszczono się jakichś nieprawidłowości. – Brunetti uznał, że to wystarczająco niejasne, by brzmiało przekonująco. – Chciałbym zapytać, czy zechciałaby pani ze mną porozmawiać.

Pomyślał o tym, jak w dzieciństwie wrzucał kamienie do jeszcze wtedy niepozakrywanych studni w mieście i czekał na plusk, często rozlegający się dopiero po dłuższej chwili. W końcu go usłyszał.

– Ach tak, wypadek. – Po ostatnim słowie zapadła cisza, aż wreszcie kobieta spytała: – Czy mógłby pan powtórzyć swoje nazwisko?

– Brunetti.

– Mówi pan, że zlecił to panu sąd?

– Tak, *signora*.

– W takim razie, jak sądzę, powinnam z panem porozmawiać?

– Odda mi pani wielką przysługę.

Zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę.

– Nie mam chyba wyboru – powiedziała.

– Czy odpowiadałoby pani, gdybyśmy się spotkali teraz? – zapytał. – Jest ze mną moja współpracownica, komisarz Claudia Griffoni.

– Kobieta? – padło pytanie.

– Tak.

– W policji?

– Tak.

– To niezwykle interesujące – stwierdziła. – Może mi pan przypomnieć, gdzie pan jest w tej chwili?

Brunetti spojrzał przez okno motorówki i zobaczył znajomą fasadę.

– Przy Ca' d'Oro.

– Czy potrafi pan stamtąd dostać się na Campo Santa Maria Mater Domini? – zapytała.

Brunetti, któremu na chwilę odebrało mowę, zdecydował się na proste przytaknięcie.

– W takim razie może pan przyjdzie tutaj? Ja nigdy nikogo nie odwiedzam.

– Pojawimy się za jakieś piętnaście minut – powiedział Brunetti, który orientował się, że będą na miejscu szybciej, ale nie chciał przestraszyć tej kobiety nadmiarem entuzjazmu.

– Doskonale. W takim razie będę czekała. To po lewej stronie kościoła, najwyższe piętro.

Kiedy Brunetti zakończył rozmowę, popatrzył na Griffoni.

– Zapytała mnie, czy potrafię się stąd dostać na Campo Santa Maria Mater Domini.

– To weneckanka?

– Tak.

Brunetti powiedział sobie w duchu, chociaż nie powtórzył tego na głos, że być może Manuela nie jest jedyną osobą z uszkodzeniem mózgu.

Pilot motorówki zwolnił, gdy Brunetti wyjaśnił, że mają piętnaście minut, żeby dotrzeć na miejsce. Dzięki temu mogli przepłynąć powoli Canale Grande – mijaly ich wodne taksówki, a łódź przeładowana pralkami zostawiła ich daleko w tyle, zanim wreszcie pilot zawrócił, skręcił w Rio delle Due Torri i skierował motorówkę powoli w stronę Santa Maria Mater Domini. Po drodze Brunetti wykorzystał Google Earth, by zlokalizować dom. Rozpoznał go po lewej stronie kościoła. Jak turyści znajdowali cokolwiek, kierując się tylko adresami? Nie lubił tych nowych czasów, zdecydowanie wolał, gdy ktoś mu mówił, że adres, o który chodzi, to dom z nowymi okiennicami, po lewej od warzywniaka i naprzeciwko kwaciarni z kaktusami na wystawie. Każdy weneccjanin by to zrozumiał.

Campo jak zawsze zaatakowało ich swymi oknami. Bizantyjskie i gotyckie *quadrifora* rywalizowały ze sobą, a na wprost przed nimi dwa *pentafora*, jedno nad drugim, walczyły o podziw przechodniów. Niższe, gotyckie, zawsze zyskiwało względy Brunettiego, mimo że dwa jego łuki okienne zamurowano ceglami.

Tuż za domami wznosił się kościół. Brunetti zawsze bardzo żałował tego małego budynku, którego prześliczna fasada marnowała się w tak wąskiej uliczce. Nikt nie mógł odsunąć się na tyle, by obejrzeć ją w całości z odpowiedniej perspektywy, ale dawni budowniczowie nie słyszeli o planowaniu przestrzennym, więc kościół można było podziwiać tylko z bardzo bliska.

Przy najwyższym dzwonku po prawej zobaczył inicjały *BMR*, więc zadzwonił. Po upływie minuty zadzwonił znowu i tym razem drzwi się otworzyły.

Klatka schodowa okazała się zaskakująco elegancka jak na dom z tak skromną fasadą. Niskie marmurowe stopnie były wygładzone przez stulecia chodzenia po nich w górę i w dół, zaś marmurowa poręcz wytarta dłońmi polegającymi na jej pomocy. Ściany z nieotynkowanej cegły pozbawiono jakichkolwiek upiększeń. Brunetti patrzył na starożytną, niezamaskowaną Wenecję kupców, którzy nie życzyli sobie, by ich majątek był widoczny na zewnątrz ich domów.

Weszli na samą górę, zobaczyli otwarte drzwi. Brunetti zatrzymał się przed nimi i zastukał kilka razy.

– *Signora? Signora?* – zawołał.

Z pokoju po lewej stronie korytarza wyłoniła się wysoka młoda kobieta, która skręciła, by do nich podejść. Miała ciemne włosy do ramion podtrzymywane po bokach różowymi spinkami. Była ubrana w szary sweter, ciemnoniebieskie dżinsy i czerwone tenisówki, nad którymi dało się dostrzec różowe skarpetki.

Brunetti przyjrzał się jej twarzy, gdy podeszła bliżej, i znalazł w niej tę samą doskonałość, którą widział na zdjęciach, zastygłą jak na rzeźbionej twarzy posągu. Manuela – ponieważ to musiała być Manuela – zbliżyła się do nich, całą sobą okazując zaskoczenie, chociaż Brunetti nie był pewien, co kazało mu tak pomyśleć.

– Jesteście policjantami? – zapytała ostrożnie. Poruszyła wargami, próbując się uśmiechnąć.

– Tak, jesteśmy – odparł Brunetti najzyczliwiej, jak potrafił.

– Ale nie macie mundurów. A ona nie jest mężczyzną – powiedziała Manuela i nerwowo wskazała palcem Griffoni.

– Owszem, ale pracuję w policji – odparła spokojnie Griffoni. – Nazywa się nas policjantkami i nie musimy nosić mundurów. – Uśmiechnęła się ciepło i tak szeroko, że każdy powinien dać się oczarować.

Manuela skinęła głową, chociaż Brunetti zastanawiał się, czy jej mózg jest zdolny do utworzenia kategorii dla policjantek.

Odwróciła się do Brunettiego i teraz jego wskazała palcem, chociaż zwróciła się do Griffoni.

– On też nie ma munduru.

– On nie musi go nosić – wyjaśniła gładko Griffoni. – Jesteśmy ważnymi policjantkami, a tacy nie muszą chodzić w mundurach.

– Ale możecie, gdybyście chcieli?

– Oczywiście. Uważasz, że byłoby lepiej, gdybyśmy je nosili? – zapytała Griffoni z prawdziwym zainteresowaniem.

Manuela zaczęła się zastanawiać nad odpowiedzią. Brunetti obserwował jej twarz, gdy próbowała się zdecydować. Najpierw zacisnęły się jej wargi, a następnie oczy. Przyłożyła prawą ręką do czoła, tak jak zrobiłby to kiepski aktor, by okazać niezdecydowanie. Potem jej twarz zarumieniła się, a oddech przyspieszył. Z jej ust wydobył się niski pomruk.

Griffoni przerwała jej, gdy to usłyszała.

– Och, właściwie kogo to obchodzi, Manuelo, skoro już tutaj jesteśmy i możemy porozmawiać z twoją mamą. Powiedziała, że otworzysz nam drzwi i zaprowadzisz nas do niej. Myślisz, że mogłabyś to zrobić?

Manuela postąpiła krok w stronę Griffoni i chwyciła ją oburącz za ramię. Jej twarz wygładziła się, a oddech uspokoił.

– O tak. Jest w salonie i powiedziała mi, żebym was przyprowadziła. – Uśmiechnęła się, ale zaraz spochmurniała. – Zapomniałam – dodała.

– O, ja też o różnych rzeczach zapominam – zapewniła ją Griffoni. Zwróciła się do niej jak do nowej najlepszej przyjaciółki i przykryła jej dłoń swoją, by wygodniej wziąć ją pod ramię. – Chodźmy do twojej mamy.

– Tak, idziemy – odpowiedziała Manuela.

Brunetti obserwował to wszystko i zastanawiał się nad urodą tej kobiety. Była bez makijażu, włosy po prostu związała z tyłu, a mimo to ludzie oglądaliby się za nią na ulicy. Kiedy szła pod ramię z Griffoni, Brunetti zauważył, że lewej nogi nie podnosi tak wysoko jak prawej. Nie utykała, ale widać było, że nie ma w obu takiej samej sprawności.

Poszedł za nimi korytarzem na tyły mieszkania. Manuela zatrzymała się gwałtownie pod drzwiami, jakby wpadła na niewidzialną przeszkodę. Potem odwróciła się do nich.

– Tutaj – powiedziała i zaczęła, aż Griffoni otworzy drzwi. Weszły do środka, nadal ramię w ramię, a Brunetti natychmiast poszedł w ich ślady.

Kobieta trochę wyższa od swojej córki stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Jej poza była tak sztuczna i wystudiowana, że Brunetti z trudem powstrzymał się od śmiechu na ten widok.

– Signora Magello-Ronchi? – zapytał oficjalnie, jakby nie miał pewności,

kim może być ta kobieta.

Odwróciła się do nich powoli, ale nie powiedziała ani słowa. Brunetti wykorzystał tę celową dramatyczną pauzę, by przyjrzeć się jej twarzy. Zobaczył oczy, które odziedziczyła jej córka, intensywnie błękitne i wykrojone jak migdał. Interwencja chirurga wysmukliła nos Barbary; natura lub geny ojca zrobiły to samo dla jej córki. We włosach miała starannie zrobione blond pasemka i pilnowała się, by stać prosto, ze ściągniętymi łopatkami, jakby powiedziano jej, że zostanie ukarana, jeśli jej włosy dotkną ramion.

Usta, w kolorze pośrednim między mocnym różem a delikatną czerwienią, ułożyła w półuśmiech, gdy formułowała stosowne powitanie.

– *Buon giorno* – powiedziała w końcu.

Spojrzała na Brunettiego i zaszczyciła go uśmiechem, a potem skinęła głową w stronę Griffoni, zostawiając jej rozstrzygnięcie, czy ten gest był przeznaczony dla niej, czy dla córki. Griffoni także skinęła głową.

– *Mamma*, to są policjanci, ale nie muszą nosić mundurów, żeby być policjantami, i nie muszą być mężczyznami – powiedziała Manuela. Spojrzała na Griffoni, szukając potwierdzenia, a pani komisarz z uśmiechem poklepała ją po ramieniu, jakby chciała ją pochwalić za to, że nauczyła się tak wiele i tak szybko.

Manuela roześmiała się, perlisty dźwięk wypełnił pokój radością i sprawił, że dłonie Brunettiego zacisnęły się w pięści. Patrzył na swoje buty, aż napięcie minęło, i dopiero wtedy podniósł wzrok na matkę Manueli.

– To bardzo interesujące, Manuelo – powiedziała, znakomicie udając zaciekawienie. – Ale czy nie miałaś pomagać Alinie w kuchni? – Zanim Manuela zdążyła odpowiedzieć, jej matka dodała: – Może tam pójdziesz i poprosisz ją, żeby zrobiła kawę dla gości? – Popatrzyła na Brunettiego. – Napiją się państwo kawy, prawda?

– Z przyjemnością – odpowiedział.

Griffoni wysunęła rękę z uścisku Manueli.

– O tak, bardzo chętnie napiłabym się kawy – potwierdziła. Popatrzyła na

zegarek. – Zawsze piję kawę mniej więcej o tej porze. – Wymieniła spojrzenia z Brunettim. – Manuelo, a może obie tam pójdziemy i pomożemy Alinie? – Ponieważ Manuela nie odpowiedziała od razu, Griffoni dodała: – Wiesz, musisz mi pokazać, gdzie są filiżanki i spodeczki. Potrzebuję twojej pomocy.

Twarz Manueli rozjaśniła się zachwytem. Wzięła Griffoni za rękę i pociągnęła ją lekko.

– Dobrze, chodźmy do kuchni, a ja ci wszystko pokażę. Pomogę ci.

Ponieważ matka Manueli wyraźnie nie wiedziała, jak zareagować, Brunetti postanowił przejąć inicjatywę.

– Może usiądziemy, *signora*? – zaproponował. – Chciałbym panią zapytać o kilka rzeczy.

Kobieta podeszła do fotela przy oknie. Na fotel stojący naprzeciwko padało słońce, więc Brunetti przesunął go tak, żeby nie siedzieć w pełnym blasku.

– Dziękuję, że zgodziła się pani z nami spotkać, *signora*.

Znajdował się teraz bliżej niej, więc widział, że nałożyła na twarz warstwę podkładu w cielistym kolorze, ale nie zdołała jej równo rozprowadzić pod brodą, więc kolor po prostu w pewnym miejscu się urywał, tak wyraźnie, jak odcinają się płamy na sierści terierów odmiany Jack Russell.

– Nie rozumiem, o co chodzi – powiedziała.

– Sąd wszczął procedurę ponownego otwarcia śledztwa w sprawie okoliczności wypadku Manueli – wyjaśnił, celowo unikając wszelkich wzmianek o własnym zainteresowaniu tą sprawą. Niech jego rozmówczyni myśli, że on jest zwykłym gliną, wysłanym do zajęcia się czymś mało ważnym.

– Ach tak – powiedziała przeciągle. Ponieważ Brunetti nie dodał nic więcej, oznajmiła: – Nie wiedziałam, że w tej sprawie w ogóle było prowadzone śledztwo.

Ton jej głosu sprawił, że Brunetti musiał szybko zdecydować: jest pod wpływem środków odurzających czy tylko ich zwodzi.

Uśmiechnął się swobodnie.

– Należałoby raczej powiedzieć, że został sporządzony rutynowy raport policyjny z tego wypadku. Właśnie temu mamy się przyjrzeć zgodnie z poleceniem sądu.

– Po piętnastu latach? – zapytała z kamienną powagą.

– Tak – odparł Brunetti, ale nie udzielił żadnych wyjaśnień.

– Czy moja teściowa miała z tym coś wspólnego? – zapytała kobieta.

Brunetti zmrużył oczy z zaskoczeniem, jakby pierwszy raz usłyszał, że jego rozmówczyni ma teściową.

– Obawiam się, że odpowiedzi na to pytanie mógłby udzielić tylko sędzia, który zlecił nam to postępowanie, *signora*. Ja zostałem poproszony, by z panią porozmawiać. – Dodał jeszcze, z oczywistym w tej sytuacji zainteresowaniem: – Czy pani teściowa ma w tej sprawie do powiedzenia coś, czego powinniśmy wysłuchać?

Odpowiedź padła natychmiast.

– Nie, o ile mi wiadomo.

Brunetti skinął głową, akceptując jej słowa. Tym razem odezwał się poważniejszym tonem.

– *Signora*, proszę mi wybaczyć to pytanie, ale na ile... – Brunetti urwał, poszukując słowa mniej okrutnego niż „upośledzona”. – ...Na ile poszkodowana została Manuela?

– Widział ją pan – odezwała się z nagłym gniewem kogoś, kto nie ma nic do stracenia. – Co pan pomyślał?

– Pomyślałem, że ma wyjątkowo miły charakter – odparł Brunetti, jakby chciał ująć się za dziewczyną.

– Tak jak zwykle dzieci – odparła jej matka z goryczą i zasłoniła dłonią usta, jakby zdumiało ją, że sama to powiedziała. Opuściła rękę na kolana i pochyliła się, by wziąć kilka głębokich oddechów. Brunetti patrzył, jak się zakołysała kilka razy z zamkniętymi oczami. W końcu powiedziała głosem spokojniejszym, choć nie całkiem spokojnym: – Lekarze mówią, że jest mentalnie na poziomie sześć- lub siedmiolatki i że taka pozostanie na

zawsze.

Brunetti przypomniał sobie, jaka była w tym wieku Chiara: słodka, uczuciowa, umiejąca się wysławić i przeczytać każdy tekst, jaki jej podsunęto, a także zrozumieć jakąś część z tego, co czyta. Ufała wszystkim dorosłym, uwielbiała psa sąsiadów. Cóż za uroczy wiek; jakże straszne jest, gdy przedłuża się rok za rokiem.

Spojrzał teraz na matkę Manueli uważniej, a ona popatrzyła na niego z błyskiem inteligencji, której wcześniej starał się nie dostrzegać.

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro, *signora* – powiedział.

Skinęła głową.

– Dziękuję panu. To w niczym nie pomoże, ale dziękuję za współczucie – powiedziała jak aktorka, która wyszła z roli.

Chwila minęła, Brunetti odsunął na bok swoje ojcowskie uczucia i powrócił do bycia wyłącznie policjantem.

– Czy dowiedziała się pani tego z raportu medycznego?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Wydaje mi się, że w ogóle go nie czytałam.

– Przepraszam?

– Powiedziałam, że wydaje mi się, że w ogóle go nie czytałam – powtórzyła. – Kiedy Manuela wróciła ze szpitala, było już dla mnie jasne, co się z nią stało. Czego więc miałabym się dowiedzieć z raportu? Że przez resztę życia będę się nią zajmować? To potrafiłam zrozumieć sama, nie potrzebowałam do tego medycznego bełkotu. – Te słowa wyraźnie ją pobudziły, więc mówiła dalej. – Widział ją pan. Myśli pan, że przyjdzie dzień, kiedy nie będę musiała się nią opiekować?

Zauważyła zdziwienie Brunettiego.

– Jej ojciec woził ją do lekarzy w całych Włoszech, do różnych specjalistów i na różne testy, a oni wszyscy mówili to, co każdy mógł sam zobaczyć i co ja widziałam, kiedy wróciła do domu.

Brunetti milczał.

– Ma pan dzieci? – zapytała.

Skinął głową, nie umiejąc znaleźć słów. Po raz pierwszy od wejścia rozejrzał się po pokoju. Zwyczajny, wszystko tu było zwyczajne: kanapy, fotele, stół, regał z książkami, dywany, okna. Nic niepasującego do reszty, nic niepokojącego czy popsutego, wszystko zwyczajne, poza życiem ludzi, którzy tu wchodzili i stąd wychodzili.

– Interesuje mnie pierwszy raport medyczny, ten ze szpitala w Wenecji, *signora* – powiedział. – Pamięta pani, czy dali pani kopię? – zapytał z nadzieją, że uda mu się trzymać przeszłości i nie myśleć o teraźniejszości, ani, broń Boże, o przyszłości.

– Przypuszczam, że tak.

– Czy może ma go pani nadal? – zapytał spokojnym tonem, jakby o najzwyczajszą rzecz na świecie.

– Dlaczego to pana interesuje?

– Chciałbym zobaczyć ten raport – wyjaśnił Brunetti.

– Było tylu lekarzy, tyle papierów – powiedziała kobieta.

– Czy udałoby się pani go odszukać? – nalegał.

Matka Manueli wstała i odparła z nieoczekiwaną energią:

– Sprawdzę.

Z tymi słowami wyszła z pokoju. Brunetti podszedł do okna, które znajdowało się na tyłach budynku, rozpościerała się z niego szeroka panorama Marghery i Mestre, której komisarz wolałby nie oglądać. Z najwyższego piętra laguna była niewidoczna, ale zupełnie wyraźnie widział kominy fabryk w Margherze, zajętych swoją życiową misją: zabijaniem go. Przez ostatnie lata Brunetti doszedł do podobnego wniosku w przypadku większości branż przemysłu: ich celem nie było produkowanie chemikaliów, rafinowanie ropy naftowej, wytwarzanie płyt gipsowo-kartonowych, biżuterii czy też – jeśli mowa o fabrykach w głębi łądu – wytwarzanie czegokolwiek. Przeciwnie, Wielki Przemysł niczego tak nie pragnął, jak odebrać życia Guidowi Brunettiemu i wszystkim członkom jego rodziny. Jego troszczące się o środowisko dzieci skłoniły go, by zaczął czytać na ten temat, to zaś do

baczniejszego przyjrzenia się sprawie i do kolejnych lektur. Wszystko razem okazało się równią pochyłą informacji, po której ześlizgnął się do konkluzji, jakiej na razie oszczędził swoim dzieciom. Tam, w oddali, tkwiło codzienne przypomnienie: ogromny kompleks zakładów petrochemicznych, który przez całe dekady wpompowywał wszystko w wody laguny, w ryby, które jadł Brunetti, w małże, które uwielbiały jego dzieci, w *radicchio* rosnące na farmie należącej do któregoś z członków rodziny jego żony, a położonej na wyspie Sant'Erasmus, nie wspominając o tym, co było wyrzucane z równą beztrąską w górę w gigantycznych kłębach dymu, wydobywających się przez cały rok z kominów.

Odgłos otwierających się drzwi wyrwał Brunettiego z tych rozmyślań. Odwrócił się i zobaczył wchodzącą do pokoju Manuellę, która popychała przed sobą wózek na kółkach przykryty białą lnianą serwetą. Były na nim trzy filiżanki kawy, ciasto czekoladowe rozmiarów pizzy, talerze i widelczyki oraz duża miska bitej śmietany. Z Manuelli emanowała radość i ekscytacja, odbijająca się po pokoju jak piłeczka i zawiadamiająca, że przyniesiono ciasto i bitą śmietaną dla wszystkich. Za nią weszła Griffoni, a następnie matka Manuelli, niosąca żółtą kopertę.

Manuela ustawiła wózek przy kanapie i zawołała do matki:

– *Mamma*, Alina upiekła ciasto czekoladowe. Alina upiekła ciasto!

– Och, to doskonale, *Tesoro*, twoje ulubione.

– I moje też – wtrąciła Griffoni.

Brunetti tylko się uśmiechnął, ale Manuela, która odwróciła się, by zobaczyć, co on powie, wydawała się zadowolona, że policjant także lubi ciasto. Zamachała na nich, żeby zajęli miejsca, więc pozwolili się zwabić ciastu z bitą śmietaną i usiedli wokół wózka. Brunetti przysunął fotele zarówno dla matki Manuelli, jak i dla Griffoni.

Manuela wzięła nóż do ciasta i spojrzała nieśmiało na swoją matkę, która skinęła głową. Ostrożnie, prowadząc prawą rękę lewą, Manuela dotknęła czubkiem noża środka ciasta, a potem rozkroiła je do krawędzi, cofnęła nóż i wykroiła ogromny kawałek, dwa razy większy niż normalnie.

– O, doskonale. Mogę poprosić o ten kawałek? – zapytał Brunetti, który

wiedział, że Griffoni nie lubi słodczy.

Manuela zaczęła się odwracać do matki, ale nie mogła się doczekać jej aprobaty, więc powiedziała:

– Tak, proszę.

Spróbowała podnieść ukrojony kawałek, ale musiała pomóc sobie palcami lewej ręki, by umieścić ciasto na talerzu, który podała Brunettiemu. Podziękował jej wylewnie i pochylił się, by nałożyć sobie szczodłą porcję bitej śmietany. Aby w czymś pomóc, postawił filiżanki kawy przed Griffoni i matką Manuely oraz – zakładając, że to dla niej – szklanek czegoś, co wyglądało na coca-colę, przed pustym miejscem Manuely.

Nastąpiły trzy chwile dzielonego przez wszystkich niepokoju, gdy Manuela kroїła trzy pozostałe kawałki ciasta, ale udało jej się to zrobić bez większych trudności. Podała matce mały kawałek i wykroїła dla Griffoni prawie tak samo wielki jak dla Brunettiego. Odłożyła nóż na chwilę, by podać jej z uśmiechem ciasto.

Na koniec ukroїła kawałek zwykłych rozmiarów dla siebie i usiadła.

Jej matka nałożyła odrobinę bitej śmietany na ciasto i podała miszkę Griffoni, która włożyła sobie trzy pełne łyżki. Brunetti wiedział, że wolałaby tego nie robić, ale wiedział także, że zje wszystko i być może poprosi o dokładkę. Zdarzało mu się widywać, jak jadła tarty i ciastka, by sprawić przyjemność potencjalnym świadkom lub zdobyć zaufanie ludzi, którzy nie powinni jej ufać. Tu jednak nie miało to nic wspólnego z jej pracą zawodową. Brunetti uważał, że jedzenie to miłość, a Manuela potrzebowała miłości.

Griffoni zapytała ją, czy lubi bitą śmietanę, a kiedy Manuela skinęła głową, nałożyła czubatą łyżkę na jej porcję ciasta.

– *Buon appetito* – powiedziała matka Manuely, więc ujęli widelczyki w dłonie.

Ach, pomyślał Brunetti, gdy nakładał bitą śmietanę na drugi kawałek ciasta podnoszony do ust, któż powiedział, że dobre uczynki nie zostają wynagrodzone?

Rozmowa automatycznie zeszła na poziom odpowiedni dla Manueli: jakie smaczne jest to ciasto; jakie smaczne są także szarlotki pieczone przez Alinę, a Manuela zawsze pomaga obierać do nich jabłka; dlaczego bita śmietana tak pasuje do ciasta czekoladowego, skąd bierze się bita śmietana i czy dałoby się jeździć na krowie?

Gdy Manuela zadała to pytanie, jej matka szybko przełknęła ostatni kęs i poprosiła o dokładkę, chociaż Brunetti podejrzewał, że traktuje ciasto z podobnym brakiem entuzjazmu jak Griffoni.

– Czy pani też chciałaby jeszcze kawałek ciasta? – zapytała Manuela Griffoni.

– Gdybym zjadła jeszcze więcej, tobym wybuchła z takim hukiem, że byłoby słychać w całym mieście – odparła Griffoni, kładąc dłonie na brzuchu.

To sprawiło, że Manuela zaczęła chichotać, a pomysł jeżdżenia na krowie – w ogóle jeżdżenia – został zarzucony.

Podziękowawszy za dokładkę ciasta i drugą kawę, a potem podziękowawszy jeszcze raz, Brunetti i Griffoni wstali i oznajmili, że muszą wracać do pracy. Manuela uznała to za fascynujące.

– Czy łapiecie złych ludzi? – zapytała.

– Nie, signora Manuela – odparł Brunetti. – Zazwyczaj cały dzień siedzimy przy biurku i czytamy dokumenty. To naprawdę bardzo nudne. O wiele przyjemniej jest przyjść tutaj na ciasto.

Roześmiała się na myśl o tym, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu słyszała, a jej pogodny śmiech sprawił, że Brunetti znowu poczuł, jak mu pęka serce.

Odprowadziła ich do drzwi, trzymając się blisko Griffoni. Kiedy już mieli wychodzić, Brunetti usłyszał, że signora Magello-Ronchi go woła.

– *Commissario* – powiedziała, podchodząc do nich. – Zapomniał pan tego. – Podała mu żółtą kopertę, którą wcześniej przyniosła do pokoju.

Brunetti wziął kopertę i podziękował. Na wierzchu znajdowało się imię i nazwisko Manueli. Obrócił kopertę i spojrzął na skrzydełko.

– Nie otwierała jej pani?

– Mówiłam panu. Nie było takiej potrzeby – odparła tonem, z którego zniknęła zdawkowa uprzejmość.

Griffoni, być może z powodu napięcia, jakie nagle wytworzyło się w przedpokoju, zapytała o coś Manuele i odeszła od nich kawałek, by usłyszeć odpowiedź.

Matka Manueli zamknęła na moment oczy i skoncentrowała się na oddychaniu. Kiedy znowu spojrzała na Brunettiego, powiedziała:

– Może pan to przeczytać, jeśli pan chce. Mnie to nie interesuje. – Spojrzała w kierunku drzwi, gdzie Griffoni i Manuela stały tuż obok siebie i rozmawiały o czymś z ożywieniem. – Tylko ona mnie interesuje – powiedziała znużonym głosem. – Tylko moje dziecko.

Brunetti ujął jej dłoń i uścisnął ją.

– Dziękuję, że znalazła pani dla nas czas, *signora* – powiedział.

– Mam nadzieję, że smakowało państwu ciasto – odparła radośnie jak dobra gospodyni, a potem uśmiechnęła się lekko i w tym momencie stała się bardzo podobna do Manueli.

Griffoni i Brunetti wyszli, lecz musieli wcześniej obiecać, że jeszcze kiedyś tu wrócą, by odwiedzić Manuele.

Do komendy mogli wrócić najszybciej, płynąc jedyką z San Silvestro. Kiedy czekali na nabrzeżu, Brunetti powiedział:

– To urocza dziewczynka, prawda?

Poniewczasie uświadomił sobie, że powiedział o Manueli „dziewczynka”. Griffoni skinęła głową, ale nie odezwała się.

– Wydawało mi się, że masz do niej bardzo dobre podejście.

– Wystarczyło, że myślałam o moich siostrzenicach.

– Ile mają lat?

– Jedna sześć, a druga osiem. Mówiłam do niej tak, jak mówiłabym do nich. – Cofnęła się trochę, oparła o barierkę, splatając ramiona, i zaczęła wypatrywać tramwaju wodnego od strony Rialto.

– Cztery minuty – powiedział Brunetti, nie patrząc na zegarek.

– Żartujesz? – zapytała zaskoczona Griffoni. – Czy wy wszyscy macie w uszach czipy komputerowe z rozkładem tramwajów wodnych?

– To mój przystanek – wyjaśnił. – Dlatego nie potrzebuję czipa.

Griffoni odwróciła się i spojrzała na drugą stronę kanału.

– To dziwne – powiedziała. – Zdarzają się chwile, kiedy wszystko to wydaje mi się normalne. Tu właśnie mieszkam, poruszam się łodziami, adresy nic nie znaczą, najszybciej docieram do pracy na piechotę i nawet zaczynam się przyzwyczajać do dialektu weneckiego. – Umilkła, zamyśliwszy się.

– A kiedy indziej?

– Kiedy indziej dostrzegam, jak dziwne jest to wszystko. Wszyscy w moim domu są bardzo mili, kiedy się spotykamy na schodach, ale nikt nie zaprosi mnie do siebie, nawet na kawę, chociaż mieszkam tam od kilku lat. Młodzi

ludzie zwracają się do mnie, używając *tu*, ale starsi nigdy tego nie robią. Jedzenie wydaje mi się mdłe. Omal nie umarłam, ilekroć próbowałam tutaj zjeść pizzę. Wiem też, że słońce za jakieś dwa miesiące zniknie i nie zobaczymy go aż do marca, z wyjątkiem tygodniowej przerwy w styczniu, zazwyczaj pod koniec pierwszego tygodnia.

Brunetti roześmiał się na głos, ponieważ podejrzewał, że tego oczekiwała.

– Czy w domu chodziłabyś w swetrze i jadłabyś pizzę na każdy posiłek?

– Nie, raczej nie. Prawdopodobnie próbowałabym znaleźć sposób na obejście poleceń sędziów pracujących dla mafii, tak samo jak robiliby to moi koledzy. Miałabym też nawyk noszenia pistoletu. Tutaj – rozchyliła kurtkę, by pokazać, że go nie ma – zwykle zapominam go zabierać.

Brunetti, który robił to samo, nic nie powiedział.

– Co jest w tej kopercie? – zapytała Griffoni.

– To, co szpital dał matce Manueli, gdy zabierała ją do domu. – Brunetti odwrócił kopertę i pokazał, że jest zaklejona.

– Nie potrafiła tego otworzyć – powiedziała Griffoni. Jej głos brzmiał tak, jakby rozumiała te opory. – Jakie to musiało być dla niej okropne. – Odwróciła głowę i popatrzyła na budynki po drugiej stronie kanału, ale nie znalazła tam pociechy.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytał Brunetti, zaciekawiony troską Griffoni o matkę, chociaż większość czasu spędziła z jej córką.

– Ponieważ ona to rozumie. A jej córka nie.

Brunetti odwrócił się, wszedł na platformę *imbarcadero*, a Griffoni za nim.

– Usłyszałeś silnik, prawda? – zapytała, zobaczywszy zbliżający się tramwaj wodny. Kiedy przycumował, wsiedli na pokład i weszli do kabiny, gdzie zostało trochę wolnych miejsc.

– Przypuszczam, że tak. Słucham ich przez większość życia, więc może moje ciało wyczuło wibracje, zanim zdążyłem coś usłyszeć. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Brunetti cofnął się i przepuścił ją, by mogła zająć miejsce przy oknie. Kiedy odwrócił się, by z nią porozmawiać, zobaczył tylko tył jej głowy.

Griffoni przylgnęła do okna, jakby była turystką po raz pierwszy oglądającą *palazzi*.

Wsunął palec pod skrzydełko koperty i oderwał je. Ustąpiło łatwo i bezszelestnie. Ze środka wyjął ciemnoniebieską teczkę. Griffoni usłyszała szelest, więc odwróciła się, by patrzeć, jak czyta.

Dała mu dostatecznie dużo czasu.

– No i co? – zapytała, gdy odwrócił kartkę na drugą stronę.

– Mam tu ogólny opis stanu, w jakim została przyjęta na ostry dyżur. Była nieprzytomna, ale oddychała. Rentgen wykazał, że nadal ma wodę w płucach, a z boku głowy miała ranę. – Brunetti coraz bardziej odsuwał od siebie kartkę, ale w końcu musiał sięgnąć do wewnętrznej kieszeni marynarki po okulary.

Szybko przebiegł wzrokiem drugą stronę.

– Poza raną na głowie, której pochodzenie nie zostało tutaj określone, miała jeszcze sińce na ramionach i szyi. – Cofnął się na pierwszą stronę. – To zostało spisane, kiedy ją przyjęto do szpitala. Wydaje się, że głównym powodem do niepokoju była dla nich woda w płucach.

Wrócił do poprzedniego miejsca i znowu zaczął szybko czytać, prześlizgując się po tekście i szukając miejsca, w którym mowa jest o tym, że lekarze zaczęli sobie zdawać sprawę z powagi jej stanu.

Oderwał wzrok od papierów i popatrzył przed siebie, ślepy na ludzi siedzących przed nim i ślepy na wspaniałe widoki po obu stronach tramwaju wodnego.

– Co takiego? – zapytała Griffoni.

Wskazał trzeci akapit i podał jej papiery.

– Drugi dzień. Popatrz – powiedział.

Griffoni zaczęła czytać i tak samo jak Brunetti odwróciła wzrok od kartki, by zapatrzeć się niewidzącym wzrokiem przed siebie.

– „Na prześcieradle pacjentki znaleziono ślady krwi. Z tego powodu na nieprzytomnej pacjentce zostało przeprowadzone badanie pochwy. Znaleziono ślady niedawnej brutalnej aktywności seksualnej,

najprawdopodobniej gwałtu”.

Griffoni przeczytała raport do końca.

– Była nieprzytomna przez tydzień – powiedziała. – Potem obudziła się sama z siebie, ale nie mogła sobie przypomnieć niczego... niczego... z tego, co działo się, zanim wpadła... wpadła do wody. – Oddała Brunettiemu dokumenty. – Przeczytaj resztę.

Zajął się lekturą i skończył niemalże dokładnie w momencie, gdy tramwaj wodny podpłynął na przystanek przy San Zaccaria. Brunetti w ślad za Griffoni wysiadł z łodzi. Ruszyli nabrzeżem do komendy, oboje jak na autopilocie. W pewnym momencie niedowierzający swojej pamięci Brunetti zatrzymał się, by jeszcze raz zajrzeć do raportu.

– Gdy się w końcu obudziła, wystarczył jeden dzień, by stwierdzili, że coś jest nie tak – powiedział. Przeczytał na głos: – „Pacjentka nie pamięta momentu wypadku i z ogromną trudnością potrafi odtworzyć, co działo się wcześniej. Jej sposób mówienia jest dziecinny, wydaje się, że nie rozumie swojego stanu”. – Czytał dalej sporządzone przez lekarzy raporty, z których wynikało, że każdy kolejny dzień utwierdzał ich w przekonaniu, że z dziewczyną jest znacznie gorzej, niż początkowo zakładali. W końcu diagnozy stały się jednoznaczne: do wody wpadła dorastająca dziewczyna, ale z wody wyciągnięto dziecko.

– Gdy została przywieziona, nie zawracali sobie głowy dokładnym badaniem – powiedział i zamknął oczy. – Rana na głowie, siniaki na ciele, wyciągnięta z wody, a oni nie zdiagnozowali jej jak należy!

– Przypuszczam – zaczęła Griffoni głosem, nad którym z trudem panowała – że potem uznali, że zaczekają, aż się obudzi, zanim powiedzą jej matce albo policji.

Brunetti pomyślał, że gniew Griffoni może przerodzić się w coś innego, ale tak się nie stało. Ruszył dalej w stronę komendy. Zastanawiał się, czy matka Manueli w ogóle o tym wiedziała. Musieli jej powiedzieć, dziewczyna była nieletnia. Ale może uznali, że przekazując jej dokumentację medyczną wypełnili swoje obowiązki.

Griffoni poszła za nim do jego gabinetu i usiadła naprzeciwko niego.

Słońce wpadające przez okna zamieniło jej włosy w złotą koronę.

– Co teraz? – zapytała.

– Muszę jeszcze porozmawiać z mężczyzną, który wyciągnął ją z wody – powiedział Brunetti. – Mam się z nim spotkać jutro w południe. Musiałem go zaprosić na lunch, żeby chciał ze mną rozmawiać.

– Myślisz, że on cokolwiek wie?

Brunetti zamachał ręką w powietrzu, by zademonstrować brak pewności.

– To pijak. Potwierdzają to wszyscy, z którymi o nim rozmawiałem. Kiedy do niego zadzwoniłem, słyszałem kieliszek postukujący o telefon.

– Pijacy są mało wiarygodni – zauważyła Griffoni.

– Jeśli jego mózg nasiąkał alkoholem przez ostatnie piętnaście lat, to jeszcze mniej prawdopodobne, że cokolwiek sobie przypomni.

– W takim razie dlaczego tracisz czas?

– Nic więcej mi nie zostało – przyznał Brunetti.

Siedzieli w milczeniu, aż Brunetti powiedział:

– Ten raport medyczny wszystko zmienia, prawda?

– Tak – przyznała.

Griffoni patrzyła przez okno. Oboje wsłuchali się w odgłosy łodzi przepływającej z lewa na prawo tuż pod oknami.

– Niewykluczone. Czyli sugerujesz, że ten wypadek nie był tak naprawdę... przypadkowy?

– To jest możliwe – odparł Brunetti. – Jej babka powiedziała mi, że w miesiącach, które go poprzedzały, Manuela stała się bardzo wycofana.

– Skąd to wiedziała?

– Powiedziała jej matka Manueli.

Griffoni skinęła głową.

– Zauważyłaby to chyba. – Założyła nogę na nogę i przygarbiła się w fotelu. Splotła ramiona na piersi i znowu wyjrzała przez okno. – Wiesz co – powiedziała – kiedy o tym myślę, chce mi się płakać. – Przycisnęła obie dłonie po bokach ust i przeciągnęła nimi po twarzy, jakby wygładzała skórę.

– Mogłaby być moją młodszą siostrą. – Potrząsnęła głową i mówiła dalej: – To właściwie bez znaczenia. Jest młodą kobietą, która straciła przyszłość. Może być taka sama przez następne pięćdziesiąt lat. Boże, pomyśl tylko o tym. – Jej głos zadrżał i załamał się, gdy wypowiadała ostatnie słowa.

– Myślę, że pora wracać do domu. – To było wszystko, co potrafił odpowiedzieć Brunetti.

Tak właśnie zrobili.

Znowu obudził się z bólem, ale tym razem serca, nie stawów. Spędził większość tygodnia na działaniach, które do niczego nie doprowadziły, i zaangażował w nie także innego komisarza, sędziego, swojego przełożonego, *vice-questore* Pateę oraz sekretarkę Patty, signorinę Elettę. Wysiłki pięciu osób nie pozwoliły odkryć niczego poza niedającą się udowodnić informacją o gwałcie, który miał miejsce piętnaście lat temu i którego ofiara z całą pewnością nie mogła sobie przypomnieć.

Leżał w łóżku i patrzył w sufit, a potem odwrócił głowę i spojrzął na dachy miasta połyskujące w jesiennym deszczu.

Spojrzął na zegarek, dochodziła dziewiąta – Paola pozwoliła mu się wyspać. Przewrócił się na bok, powiedział sobie, że musi zaplanować dzień, i znowu zasnął.

Pół godziny później Paola obudziła go, wołając po imieniu i stawiając koło niego filiżankę. Dźwięk i zapach przeniknęły bezwład, który go ogarnął, i pozwoliły Brunettiemu uwolnić się z niego. Przewrócił się na plecy, podciągnął, usiadł na łóżku i przetarł oczy.

– Proszę. – Paola podała mu filiżankę. – Już posłodzone.

Usiadła na brzegu posłania i patrzyła, jak Brunetti wypija pierwszy łyk kawy, zamyka oczy i opiera głowę na poduszce.

– Pacjent będzie żył – zawyrokował i dopił kawę. Odstawił filiżankę na stolik przy łóżku. – Nie masz dzisiaj wykładów? – zapytał.

– Dopiero o dziesiątej.

– Ja nie będę nic robić aż do dwunastej – pochwalił się.

– Dlaczego?

– Bo mi się nie chce.

– To z pewnością przekonujący powód – zgodziła się.

– Kiedy ostatnio opuściłem choćby pół dnia w pracy? – zapytał. – Ile dni chorobowego wzięłem przez te wszystkie lata?

– Spędziłeś w szpitalu prawie tydzień.

– To było wiele lat temu.

– To prawda – przyznała.

– Nie wytrzymam tego dzisiaj – powiedział. Poprzedniego wieczoru opowiedział jej o raporcie medycznym. – Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie czuję. Tylko przez ten jeden poranek nie chcę myśleć o tym, iść tam, robić tego.

– Czy to trwała zmiana życiowa?

Musiał się nad tym zastanowić.

– Raczej nie.

Pochyliła się nad nim i dotknęła jego ramion, a potem wstała.

– Dlaczego zostałeś? – zapytał Brunetti.

– Żeby podać ci kawę.

– Nie pozwól, by twoje przyjaciółki feministki się o tym dowiedziały – zalecił Brunetti.

– Miłość wygrywa z zasadami – odparła i wyszła.

Brunetti spędził kolejną godzinę na czytaniu Apolloniosa. Jakże często sprawdzało się to w tych historiach: miłość wygrywała z zasadami. Paola z taką łatwością rzucała podobne frazy. Czy siedząc w *vaporetto*, wymyślała je na zapas, czy przychodziły do niej same w chwili olśnienia?

Odłożył książkę, wziął prysznic i przygotował się do wyjścia. Podczas gdy on się lenił, pogrążony we śnie i lekturze, słońce wstało i natychmiast zabrało się do pracy. Ulice były suche i zrobiło się dostatecznie ciepło, by włożyć tylko sweter i kurtkę.

Postanowił iść pieszo, ponieważ tak było szybciej, niż płynąć *vaporetto*, którego trasa tworzyła wydłużoną literę S, wyginając się w kierunku Riva di Biasio. Poza tym powietrze zachęcało do spaceru. W każdym zwyczajnym

mieście Brunetti szedłby w linii prostej na północny zachód. Wenecja jednakże prowadziła go to w lewo, to w prawo, kazała przechodzić przez mosty i skręcać w ulice, w które nie planował ani nie zamierzał skręcać. Po kwadransie szedł nabrzeżem Rio Marin w stronę oddziału gazowniczego. Kilka domów przed nim zobaczył okna i drzwi baru, więc zatrzymał się i zajrzał do środka, rozglądając się za mężczyzną, którego nie potrafiłby rozpoznać.

Zobaczył przy stolikach dwie kobiety – każdą nad filiżanką kawy. Przy innym stole siedziało troje młodych turystów, dwie dziewczyny i chłopak. Pochylali się nad rozłożoną mapą, trzymając szklanki z piwem.

Brunetti wszedł i zbliżył się do lady. Barman spojrzał na niego i skinął głową, ale ponieważ Brunetti nic rano nie jadł, nie chciał pić wina ani spritzu. Nie miał też ochoty na kawę tuż przed lunchem. Poprosił o szklankę wody mineralnej.

– Miałem się tu spotkać z Pietrem Cavanisem, ale wydaje mi się, że go jeszcze nie ma – powiedział.

– Nie ma – odparł barman i postawił szklankę przed Brunettim. – Nie było go od kilku dni, a przynajmniej ja go nie widziałem. Możliwe, że zaglądał tu rano, kiedy pracuje mój syn, ale raczej nie jest rannym ptaszkiem ten nasz Pietro.

– Wiem – zgodził się Brunetti z życzliwym uśmiechem. – Wspominał o tym. – Wypił kilka łyków wody i odstawił szklankę. – Powiedział, żebym poprosił o klucze, jeśli go tu nie będzie.

Barman, także się uśmiechając, podszedł do kasy i wyjął sfatygowaną kopertę wetkniętą między kasę a ścianę. Wyciągnął ze środka klucze, które podał Brunettiemu.

– To będą zielone drzwi po drugiej stronie kanału. Najwyższe piętro.

– To także wiem – powiedział Brunetti, podziękował barmanowi i wziął klucze. Nie pytając, ile jest winny, położył na ladzie dwa euro i skierował się do wyjścia. Przy drzwiach odwrócił się jeszcze i uniósł klucze do góry. – Oddam niedługo.

Barman, który zabrał już szklanę Brunettiego i właśnie przecierał miejsce, w którym stała, zamachał do niego ścierką.

Do mostu po lewej stronie było bliżej, więc Brunetti przeszedł przez niego i podszedł wzdłuż *riva* do zielonych drzwi. Cofnął się, żeby spojrzeć na fasadę budynku – okiennice na pierwszym piętrze były pozamykane i wyblakłe od słońca, podobnie jak w czterech oknach po lewej stronie na drugim piętrze. Po prawej dwa okna miały okiennice otwarte, wypłowiła do szarości niegdysiejsza zieleń ich wewnętrznych powierzchni sugerowała, że tych z kolei nigdy nie zamykano. Budynek wydawał się chory, jakby w agonii. Po lewej stronie dzwonek były dwa puste prostokąty. W najwyższym rzędzie, po prawej, zostało tylko nazwisko Cavanisa.

Brunetti wsunął większy klucz w zamek zielonych drzwi. Otworzyły się z łatwością, więc przeszedł niewielką sień i zaczął się wspinać po schodach. Na drugim piętrze zatrzymał się na chwilę – nabrał takiego zwyczaju we własnym domu.

Przy drzwiach po prawej stronie zobaczył nazwisko Cavanisa, wypisane elegancką kursywą na kartoniku. Grzeczność lub świadomość, że jednak nie jest u siebie, sprawiły, że zadzwonił do drzwi, zaczekał i zadzwonił znowu, dłużej. Potem, ponieważ dobrze znał sen alkoholików, otworzył kluczem pojedynczy zamek w drzwiach.

– Signor Cavanis! – zawołał od progu. – Signor Cavanis!

Odczekał chwilę, chociaż nos podpowiedział mu, co znajdzie. Mógł wycofać się na korytarz i wezwać ekipę kryminalną, ale zamiast tego zostawił klucze w drzwiach, wsadził ręce do kieszeni i wszedł do pokoju.

Pachniało papierosami – dziesiątkami lat wiecznej obecności nałogowego palacza. Pokój był nieduży. Kanapa, niski stolik i telewizor naprzeciw niego składały się na świątynię płaskoekranowego bożka. Telewizor był równie ogromny jak stary, równie głęboki jak szeroki. Był przyciszony, ale nadal słyszalny – w tym momencie ukazywał młodą blondynkę w różowym swetrze z angory, wpatrującą się z uwielbieniem w starszego mężczyznę w kosztownym garniturze, który siedział przed nią i podziwiał jej niegasnący uśmiech.

Brunetti rozejrzał się za pilotem, ale nie znalazł go. Nie leżał na kanapie ani na stoliku, a w pokoju nie było innych płaskich powierzchni. Nie było też żadnych przycisków na telewizorze – dostawało się tylko to, co było widać: lokalny kanał bez możliwości regulowania natężenia głosu. Ile lokalnych wiadomości i programów rozrywkowych można było wytrzymać, zanim się oszaleje?

W pokoju nie było żadnych obrazów, nic do czytania, żadnego dywanu, ozdób ani też żadnych innych mebli. Na stole stały talerze i szklanki, filiżanki i spodki, najwyraźniej zostawiane tam i odsuwane na bok z upływem kolejnych dni. Na talerzu znajdującym się na linii wzroku między ekranem a krzesłem widza leżał wyschnięty kawałek sera, plasterek *prosciutto*, który zawinął się na brzegach, a obok kromki białego chleba. Koło talerza stał kieliszek do połowy napełniony czerwonym winem. Poziom płynu musiał się obniżyć w wyniku parowania w przegrzanym pokoju, ponieważ na szkle został czerwony pasek osadu.

Brunetti przeszedł do małej kuchni. Na stole stała prawie pusta dwulitrowa butelka czerwonego wina. Nie otwierał szafek ani lodówki, wycofał się i podszedł do drzwi, zza których wystawała stopa.

To była duża stopa, w męskim bucie, nad którym widać było szarą skarpetkę, niegdyś być może białą. Brunetti pochylił się, by zajrzeć do pokoju. Siwy mężczyzna leżał na lewym boku z głową opartą na zgiętym ramieniu. Wydawało się, że drzemie, z jedną nogą wyciągniętą, a drugą, pod spodem, lekko zgiętą. Można byłoby pomyśleć, że śpi, gdyby nie rękojeść kuchennego noża wystająca z jego szyi po prawej stronie i kałuża zaschniętej krwi, w której leżał. Oraz zapach. Nawet lata dymu papierosowego, który zabarwił żółtawo białe drzwi lodówki i przyciemnił kafelki w kuchni, nie były w stanie ukryć ani zamaskować charakterystycznego metalicznego zapachu, ani pokonać smrodu rozkładu, który pomału zaczynał przesiąkać nawet ubranie Brunettiego.

Komisarz cofnął się od ciała, wyszedł z mieszkania i stanął na podeście przy schodach. Wybrał numer *telefonino* Bocchesego i powiedział szefowi ekipy kryminalistycznej, na co ma się przygotować. Podał adres, po czym

poprosił, by Bocchese przysłał tu zespół tak szybko, jak to możliwe, a także patologa, jeśli któryś znajdzie czas.

– Nie powinienem o to pytać – powiedział Bocchese – ale czy czegoś dotykałeś?

– Nie – odparł Brunetti i rozłączył się.

Został na schodach przed mieszkaniem i starał się nakreślić linię łączącą to, co właśnie zobaczył, z czymś innym. Martwy mężczyzna uratował Manuele przed śmiercią i policja o tym wiedziała. Cavanis był tam, gdy to się zdarzyło, i zaprzeczał – chociaż początkowo to opisał – że widział kogoś, kto próbował skrzywdzić Manuele. Nic tutaj nie wiązało się w sposób oczywisty, nic nie dowodziło następstwa przyczynowo-skutkowego, żadna linia prosta nie prowadziła od Rio San Boldo do Rio Marin.

Cavanis mógł zaskoczyć włamywacza – jedno spojrzenie na ubóstwo pokoju przekreślało ten pomysł. Mógł to zrobić jego wróg, chociaż człowiek mający wrogów nie zostawia kluczy barmanowi, żeby je dawał każdemu, kto poprosi. Przypadkowy akt przemocy? W Wenecji? Ta możliwość nie została w mózgu Brunettiego wystarczająco długo, by musiał szukać argumentów dla jej odparcia.

Zszedł na dół, żeby w słońcu zaczekać na łódź.

Ekipa kryminalistyczna potrzebowała jeszcze kwadransa, ale pojawiła się w pełnym składzie. Poza pilotem i Bocchesem było jeszcze dwóch fotografów i dwóch techników. Łódź podpłynęła do nabrzeża kanału. Brunetti złapał linę i owinął ją wokół pachołka, a potem pomógł pierwszemu z mężczyzn wysiąść na chodnik.

Bocchese wyszedł na pokład i poprosił pilota, żeby podpłynął jeszcze pięćdziesiąt metrów, do kamiennych schodów spuszczających się do wody. Wszedł po nich i skierował się ku Brunettiemu, zostawiwszy podwładnym rozładowanie i przeniesienie ekwipunku.

– Morderstwo? – zapytał. Gdy Brunetti skinął głową, Bocchese dodał: – Rizzardi już tu jedzie.

– Gdzie był?

– W domu – odparł technik. – Kiedy mu powiedziałem, co zgłosiłeś, powiedział, że przyjedzie, chociaż dyżur ma ten idiota.

Brunetti uznał, że roztropnie będzie zignorować komentarz Rizzardiego dotyczący ich kolegi, którego wszyscy w komendzie rzeczywiście uważali za idiotę.

Bocchese wrócił do dwóch techników, którzy wynosili sprzęt z łodzi. Chociaż był od obu niższy o głowę i co najmniej dwadzieścia lat starszy, młodszy mężczyźni czekali na jego instrukcje, a ich postawa sygnalizowała podporządkowanie.

Gdy wszystko znalazło się na brzegu, Brunetti wraz z nimi poszedł do zielonych drzwi, a następnie do mieszkania. Uświadomił sobie, że nadal towarzyszy mu poranna niechęć na myśl o powrocie do komendy. Nie lubił przebywać na miejscu zbrodni, nie lubił patrzeć, jak ustawiano aparaty i pod najróżniejszymi kątami robiono zdjęcia martwego człowieka i wszystkiego, co go otaczało. Jeszcze silniej odczuwał potrzebę unikania groteskowej kałuży zaschniętej krwi. Nie chciał widzieć noża, nie chciał widzieć, jak krew spływająca z ciała mężczyzny przesiąkała przez jego ubranie, ani też obliczać, ile czasu jeszcze żył, gdy się wykrwawiał.

Brunetti wycofał się na podest przed mieszkaniem i zostawił ekipę kryminalistyczną, by wykonywała swoją pracę. Starał się wypchnąć z głowy myśli o tym, jak to musi być, gdy się wie, że się umiera, że jest się śmiertelnie rannym bez żadnej nadziei na pomoc i zaraz się umrze. Mógł mieć tylko nadzieję, że alkohol i szok przytępiły umysł Cavanisa – ponieważ to musiał być Pietro Cavanis – i osłabiły jego przerażenie.

– Guido? – Głos dobiegający od drzwi wyrwał Brunettiego z zamyślenia.

Odwrócił się i zobaczył Ettore Rizzardiego, patologa, który przyszedł stwierdzić to, co oczywiste, jak często mu się zdarzało w jego pracy. Wysoki i szczupły Rizzardi promieniował energią utrzymaną cały czas pod kontrolą.

Brunetti uściśnął mu rękę i zaprowadził go do mieszkania. Nie potrafił znaleźć żadnych słów. Patrzył, jak patolog rozgląda się po pokoju i zaobserwował moment, gdy jego przyjaciel zauważył stopę. Rizzardi na ułamek sekundy przymknął oczy i gdyby Brunetti nie znał go dostatecznie

dobrze, mógłby podejrzewać, że odmawia modlitwę.

Jeden z techników podał im obu gumowe rękawiczki, ale Rizzardi przyniósł własne. Wyjął je z opakowania i włożył. Brunetti zrobił to samo.

Wszedł za patologiem do sypialni Cavanisa i zobaczył, że lekarz już się pochylił, by zbadać puls leżącego mężczyzny. Rizzardi spojrział na zegarek i wyjął notes. Rzucił okiem na Bocchesego.

– Twoi ludzie już tu skończyli?

– Tak.

– Dobrze, w takim razie się przyjrzę. – Rizzardi cofnął się o krok od ciała, wyjął z kieszeni maseczkę chirurgiczną i założył ją. Podał drugą Brunettiemu, który z wdzięcznością zrobił to samo. Lekarz wyjął z kieszeni czujnik temperatury i przytknął końcówkę do skroni mężczyzny, a potem zapisał coś w notesie.

– Pomożesz mi, Guido? – poprosił.

We dwóch wyprostowali ciało mężczyzny i przewrócili je na bok. Nóż sterczał prosto w górę.

Brunetti przyjrzał się kątowni, pod jakim zostało wbite ostrze.

– Zaatakowano go od tyłu – stwierdził.

Patolog skinął głową.

– Morderca jest praworęczny.

Obaj przez lata nauczyli się dystansować przynajmniej częściowo od tego, co robili; postrzegać to jako problem praktyczny, przypominający zastanawianie się, dlaczego nie działa lampka przy łóżku. Żarówka? Gniazdko? Przewód? Należy przyjrzeć się poszlakom i spróbować znaleźć przyczynę.

Mężczyzna był całkowicie zwiotczały; gdy go poruszyli, smród stał się silniejszy.

– Powiedziałbym, że dzień lub dwa – stwierdził Rizzardi. Przykląkł na jedno kolano w czystym miejscu na podłodze i przyjrzał się uważnie nożowi oraz ilości zakrzepłej krwi na swetrze mężczyzny. – Musiał trafić w żyłę szyjną.

– Czy to nastąpiło szybko? – zapytał Brunetti.

– Tak sądzę – odparł Rizzardi i wstał. – Będę mógł ci więcej powiedzieć, kiedy przyjrę się temu dokładniej.

– Kiedy?

– Jeśli się uda, dzisiaj późniejszym popołudniem. – Spojrzał znowu na martwego mężczyznę. – Czy on dużo pił?

– Tak – odparł Brunetti. – Skąd wiesz?

Sam nie wyczuwał zapachu alkoholu – być może zamaskował go smród ciała leżącego przez dłuższy czas w ogrzewanym pokoju.

Rizzardi wyszedł pierwszy do większego pokoju, gdzie technicy zajmowali się swoją pracą: zbierali, fotografowali, wkładali malutkie kawałki różnych rzeczy do plastikowych torebek. Lekarz zdjął rękawiczki i schował je do kieszeni. Brunetti zastanawiał się, jak wiele par przez te wszystkie lata zabrał ze sobą do domu.

– Jeśli piją dostatecznie długo – Rizzardi w końcu odpowiedział na jego pytanie – wszyscy zaczynają wyglądać identycznie. Sam się przekonasz. Na zewnątrz i w środku.

Potrząsnął głową nad jakąś nieujawnioną myślą.

– Nad czym się zastanawiasz? – zapytał Brunetti.

– Jeżeli wiesz dostatecznie dużo o ludzkim ciele, zaczynasz je postrzegać jako cud. A gdy patrzysz na ciała niektórych ludzi, takich jak on, którzy pili od lat, może nawet całe życie, i widzisz, co zrobił z nimi alkohol, to naprawdę wydaje ci się cudem, że nadal żyją.

Uścisnęli sobie ręce i Rizzardi wyszedł, ale najpierw zajrzał do kuchni, by pożegnać się z Bocchesem.

Brunetti został i patrzył, jak technicy pracują, aż w końcu pojawili się ludzie ze szpitala z plastikową trumną. Oczekując na nich, jeden z techników przeszukał kieszenie martwego mężczyzny i wyjął z nich portfel, *telefonino* oraz zdecydowanie wymagającą wyprania chusteczkę. Brunetti patrzył, jak technik wkłada te przedmioty do oddzielnych plastikowych torebek i szczelnie je zamyka. Potem skinął głową pracownikom szpitala, którzy

włożyli mężczyznę do trumny i opuścili mieszkanie.

Ekipa techników została jeszcze pół godziny, aż w końcu Bocchese powiedział Brunettiemu, że skończyli, więc może teraz chodzić swobodnie po mieszkaniu i dotykać, czego tylko chce. Pożegnali się i Bocchese ze swoimi ludźmi zszedł po schodach i oddalił się w kierunku czekającej łodzi.

Brunetti, nadal w gumowych rękawiczkach, wrócił do sypialni, ostrożnie stawiając nogi, i otworzył drzwi szafy. Zobaczył dwie marynarki, z których żadna nie była szczególnie czysta, i ciemnoszary wełniany płaszcz z przetartymi mankietami. Na dnie stały dwie pary butów. W szufladzie na dole leżały trzy swetry i kilka poliestrowych koszul. Bielizna była szara i wyglądała odpychająco.

Brunetti rozejrzał się po całym mieszkaniu. Słowo drukowane reprezentował tylko odcinek emerytury Cavanisa – 662,87 euro, jak człowiek miał za to przeżyć? – oraz ulotka z lokalnej parafii zapraszająca wszystkich mieszkańców na spotkanie z nowym *parroco*. Lodówka, co najmniej trzydziestoletnia, zawierała jeszcze jedną dwulitrową butelkę wina, tym razem białego, oraz paczkę skamieniałego sera.

Na półce nad umywalką w łazience znalazł brudną szklanekę, pudełko aspiryny oraz kostkę mydła. Wanna wyglądała obrzydliwie.

Nic więcej. Gdyby wnioskować po przedmiotach będących jego własnością, można by uznać, że Cavanis wprowadził się tu dzisiaj lub wczoraj, a jednak mieszkał tutaj dostatecznie długo, by barman uważał jego postępowanie z kluczami za normalne.

Brunetti wyszedł, zamknął za sobą drzwi na klucz i zszedł na dół. Wrócił mostem na drugi brzeg, a potem przeszedł wzdłuż kanału do baru.

– Nie powiedział pan, że jest z policji – odezwał się barman urażonym tonem na jego widok.

– Nie było takiej potrzeby. On nic złego nie zrobił – wyjaśnił Brunetti i zamówił kawę.

Mężczyzna wzruszył ramionami, jakby chciał pokazać, że nie jest o to zły, tak tylko powiedział.

Zrobił kawę i postawił ją przed Brunettim, a potem podsunął mu miseczkę z torebeczkami cukru.

– Naprawdę został zamordowany? – nie potrafił powściągnąć ciekawości.

– Na to wygląda – odparł Brunetti.

– Biedny sukinsyn – stwierdził barman z autentycznym żalem i zaskoczył Brunettiego następnymi słowami: – Mam nadzieję, że przynajmniej był pijany, gdy to się stało.

– Dlaczego ma pan nadzieję?

Barman musiał się zastanowić, zanim sformułował właściwą odpowiedź.

– Ponieważ wtedy by się nie bał. Tak przypuszczam. – Znowu potrząsnął głową i powtórzył: – Biedny sukinsyn.

Brunetti wyczuł, że ktoś podszedł do niego z boku, a kiedy się odwrócił, zobaczył mężczyznę z popielatymi włosami, kilka lat starszego od siebie.

– To prawda? Ktoś zabił Pietra? – zapytał mężczyzna.

Brunetti skinął głową i dopił kawę.

– Znał go pan? – zapytał mężczyznę.

– No cóż, znać kogoś to bardzo szerokie określenie – odparł mężczyzna i zamachał nad ladą przed sobą. Barman sięgnął po butelkę białego wina i nalał mu mały kieliszek.

Mężczyzna podniósł kieliszek i osuszył go, jakby to była woda.

– Był pan z nim zaprzyjaźniony? – zapytał Brunetti z pozoru niewinnie.

– Tak jakby – odparł mężczyzna, odsuwając kieliszek.

Brunetti skinął na barmana. Drugi kieliszek pojawił się przed nim. Gdy oba zostały napełnione, Brunetti przechylił swój w stronę mężczyzny, który przysiadł się do niego, a potem szybko wypił połowę. Uznał, że wino było mniej smaczne od kawy.

– Jest pan glina, tak? – zapytał mężczyzna.

– Tak, miałem dzisiaj rano spotkać się z signorem Cavanisem. Ale kiedy tam poszedłem, tak jak mi polecił zrobić, znalazłem go. – Brunetti potrząsnął głową i wykonał ręką gest, który, jak miał nadzieję, wydawał się pełen

rezygnacji.

– Znał go pan? – mężczyzna odwrócił teraz ich role, zadając to pytanie Brunettiemu.

– Nie, właściwie nie – odparł Brunetti głosem, który miał być swobodny i obojętny. – Rozmawialiśmy kilka razy.

Mężczyzna dopił wino i uniósł kieliszek w stronę barmana.

– Był porządnym facetem. Ale gdyby mnie pan pytał, powiedziałbym, że pił za dużo.

– Ach tak – westchnął Brunetti. – Przykro mi to słyszeć. Czy bardzo się wtedy zmieniał? Chodzi mi o jego sposób zachowania – dodał, jakby fenomen picia był dla niego całkowitą nowością.

Mężczyzna skinął głową, by podziękować barmanowi, ale zostawił kieliszek na ladzie.

– Tak, alkohol dawał mu poczucie, że jest kimś ważnym.

Brunetti upił małej łyki wina, a potem odstawił kieliszek i popatrzył na swojego towarzysza, zaniepokojony, co może jeszcze powiedzieć.

– Im więcej pił, tym ważniejszy się wydawał sam sobie – oznajmił jego sąsiad i podniósł kieliszek.

– To znaczy uważał, że zna się na sporcie i tak dalej? – zapytał Brunetti, by odwołać się do czegoś, co powinna zrozumieć większość mężczyzn.

– Tak, to też. Słyszałem, jak mówił o piłce nożnej, można by pomyśleć, że jest jedyną osobą, która ogląda mecze i zna się na nich – powiedział jego kompan, ale krytyka w jego głosie była zabarwiona życzliwością. – Częściej jednak chodziło o to, że stale twierdził, że zbije fortunę. Od kiedy go znam...

– zaczął mężczyzna, ale zrobił poprawkę gramatyczną: – ...od kiedy go znałem, miał wielkie plany, które uczyniłyby go bogatym. – Wypił nieduży łyk i z zaskoczeniem zauważył, że jego kieliszek jest prawie pusty. – Chyba uważał, że będzie dzięki temu ważniejszy.

Brunetti dopił wino i skinął na barmana, a następnie wskazał oba kieliszki.

– Zupełnie niedawno zaczął znowu. – Mężczyzna podziękował skinieniem głowy za poczęstunek. – Wielkie plany. Powiedział, że wreszcie, po tych

wszystkich latach, pojawia się szansa, która odmieni jego życie. – Potrząsnął głową na ten pomysł, dostrzegł sceptyczny wyraz twarzy Brunettiego i spojrzął na barmana. – Słyszałeś go, Ruggiero. W sobotę wieczorem.

– Był pijany, Nino – odparł barman z mieszaniną wyrozumiałości i irytacji. – Wiesz, jaki on był: wieczorem opowiadał niestworzone rzeczy, a rano niczego nie pamiętał.

– Ale słyszałeś go – upierał się mężczyzna nazwany Ninem.

– Tak, słyszałem go, ale także go widziałem, i był pijany. Przyszedł tu po kolejną butelkę wina, prawda?

– To było w tę sobotę? – upewnił się Brunetti.

– Tak, w tę noc, kiedy przyszła *acqua alta* – odparł barman.

Nino skinął głową, by to potwierdzić, nic jednak nie powiedział.

– Słuchałem go od lat – mówił dalej barman. – Dlatego nie zwracałem specjalnie uwagi, jak znowu zaczął opowiadać o tych wielkich planach. – Wziął czysty kieliszek, nalał sobie trochę białego wina i wypił je. – Powiedział, że cały ten czas, jaki spędzał na oglądaniu telewizji, w końcu mu się na coś przyda. Kiedy zapytałem, o co mu chodzi, powiedział, że przypomni sobie coś i że dzięki temu będzie bogaty.

Drugi mężczyzna roześmiał się w głos.

– Nie potrafiłbym policzyć, ile razy dowiadywał się czegoś, przypominał sobie, słyszał, czytał w gazecie albo widział w telewizji coś, dzięki czemu miał być bogaty. – Roześmiał się jeszcze raz, ale potem przypomni sobie chyba, że mężczyzna, o którym mówi, nie żyje, więc zasłonił usta dłonią. – Przepraszam – powiedział.

Brunetti i barman wymienili spojrzenia, ale żaden nie wiedział, jakie słowa byłyby tu właściwe. Obaj napili się więc wina, odstawili kieliszki i rozejrzeli się po barze w poszukiwaniu czegoś, co odwróciłoby ich uwagę i pozwoliło tej chwili minąć.

W końcu odezwał się mężczyzna z popielatymi włosami:

– Cóż, nawet jeśli do niczego w życiu nie doszedł, nie było w nim cienia złej woli i nic nie mógł poradzić na to, że pił. Jego ojciec pił i jego dziadek

też. – Prześlizgnął się wzrokiem po butelkach ustawionych przy lustrzanej ścianie za barem, jakby chciał oszacować, ile w sumie wypily trzy pokolenia mężczyzn z rodziny Cavanisów. – Szkoda, że nie potrafił odmienić swojego losu.

– Nic się nie zmieniło, prawda? – zapytał barman w przestrzeń.

Aby przerwać ten ponury nastrój, Brunetti zadał barmanowi pytanie.

– Myśli pan, że naprawdę zobaczył w telewizji coś, co pobudziło jego pamięć?

Barman opróżnił kieliszek, zanurzył go w wodzie w zlewie, po czym zaczął przecierać ścierką. Podniósł kieliszek jedną ręką i wycierał, obracając i obracając, nawet kiedy był już zupełnie suchy.

Drugi mężczyzna zaskoczył Brunettiego.

– Czy powinniśmy mu powiedzieć? – zapytał barmana.

– O jego pamięci?

– Tak.

Brunetti wiedział tylko to, że cokolwiek Cavanis kiedyś zobaczył, zniknęło w pijackiej mgle i nigdy nie powróciło.

– Co takiego mieliby mi panowie powiedzieć?

Obaj mężczyźni zaczęli odgrywać jakąś dziwną pantomimę – jeden kiwał do drugiego, drugi potrząsał głową i kiwał do pierwszego. W końcu odezwał się barman.

– Ty mu powiedz, Nino. – Aby zachęcić przyjaciela, znowu napełnił jego kieliszek, a potem, gdy Brunetti zasłonił swoją dłoń, nalał sobie wina, zapomniawszy, że właśnie umył kieliszek.

– Ojciec Pietra także to potrafił – zaczął Nino od uwagi, która całkowicie zbiła Brunettiego z tropu. – Nie poznałem jego dziadka, więc nie wiem, czy tak samo było w jego przypadku, ale Pietro i jego ojciec mieli pamięć.

Brunetti miał już powiedzieć, że to tak jak większość ludzi, ale mężczyzna mówił dalej.

– To znaczy bardzo dobrą pamięć. Jeśli się powiedziało coś Pietrowi, on

na zawsze to zapamiętywał; pamiętał też, czy kogoś spotkał albo czy coś przeczytał. Jakby miał w głowie aparat fotograficzny. – Aby posłużyć się przykładem, dodał: – Potrafił sobie przypomnieć każde zagranie w każdym meczu piłki nożnej, jaki kiedykolwiek widział, na żywo lub w telewizji.

Uniósł kieliszek w stronę Brunettiego, ale się nie napił.

– Był tylko jeden problem. – Podniósł kieliszek wyżej i zamieszał w nim wino. – Jeśli wypił za dużo, to przestawało działać i nie pamiętał już nic, kiedy wytrzeźwiał.

– To nieprawda – wtrącił barman. – Wiesz, że to nieprawda.

– Pozwól mi skończyć, Ruggiero, zgoda? – powiedział tamten niecierpliwie. Znowu zwrócił się do Brunettiego: – Tak jak mówiłem, nie pamiętał różnych rzeczy, jeśli zdarzyły się, kiedy był pijany. Ale potem inne rzeczy wracały, a on sobie na nowo przypominał, ale tylko jeśli był na tyle pijany, że nie pamiętał nowych rzeczy. Stare wracało, kiedy nowe nie wchodziło mu do głowy. To bardzo dziwne. – Dopił wino i odstawił kieliszek. – Dziwny gość – powiedział. Brunetti zauważył, że zaczął bełkotliwie przeciągać „ś”.

Nino spojrzał na zegarek.

– *Gesù*, jeśli nie wrócę do pracy za dziesięć minut, szef mnie zabije – jęknął. Podniósł kieliszek i zapytał: – Ile się należy, Ruggiero?

Brunetti położył mu rękę na ramieniu.

– Ja stawiam, *signori* – powiedział.

Wyjął z portfela dwudziestoeurowy banknot i położył go na ladzie, a potem machnięciem ręki zbył barmana, który chciał mu wydać resztę. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest po piątej.

– Jeśli nie wrócę do pracy za dziesięć minut, to mnie też szef zabije – oznajmił.

Brunetti wiedział, że przesadą było stwierdzenie, iż Patta go zabije, jednak bez żadnej przesady można byłoby powiedzieć, iż przyjąłby on odejście Brunettiego – z dowolnego powodu – z pewną ulgą, ponieważ znacznie ułatwiłoby to jego życie. Później, jak uczciwie musiał przyznać Brunetti, Patta zapewne zacząłby żałować jego nieobecności. Jak każda skłócona od lat para, on i Patta znaleźli sposoby, by radzić sobie z przeciwnikiem i doskonale znali granice tego, co akceptowalne. Co ważniejsze, obaj nauczyli się wykorzystywać zdolności lub kontakty drugiego dla własnych celów. To może nie był przepis na szczęśliwe małżeństwo, ale Brunetti podejrzewał, że wielu małżonków rozpoznałoby ten schemat.

Wrócił do komendy przed szóstą i postanowił zaczekać na telefon Rizzardiego. Zostawił drzwi gabinetu otwarte, żeby było widać, że siedzi zapracowany przy biurku, na wypadek gdyby korytarzem przechodził porucznik Scarpa, jak miał to często w zwyczaju, szczególnie późnym popołudniem. Brunetti przeczytał i podpisał kilka dokumentów, wyrzwał przez okno, a potem powrócił do papierów, zapisując ich treść w skondensowanej formie w najdalszych zakamarkach pamięci, do których czasem mógł, a czasem nie mógł sięgnąć.

Jego myśli pobiegły ku mężczyźnie z baru, który opowiedział mu o wpływie alkoholu na pamięć Cavanisa. Różne rzeczy przychodziły i odchodziły, przynoszone i zabierane na falach alkoholu.

Coś, co miało „odmienić jego życie”. Cóż, jego życie się z pewnością odmieniło, chociaż nie w sposób, na jaki Cavanis liczył lub jaki potrafił sobie wyobrazić. Brunetti pamiętał tylko, że w wieczór poprzedzający *acqua alta*, czyli w sobotę, zjadł obiad – nie miał pojęcia, co to było – i poszedł do salonu, gdzie zapadł w letarg na kanapie. Wydawało mu się, że oglądali telewizję, ale potem Paola przełączyła telewizor na coś, co go nie

interesowało, więc zostawił ją i poszedł spać.

Odwrócił się do komputera, ale zignorował go i wybrał numer signoriny Elettry. Ponieważ nie odpowiadała, wysłał jej e-mail z prośbą, by skontaktowała się z lokalną stacją telewizyjną i poprosiła o listę programów wyemitowanych w sobotni wieczór, a jeśli to możliwe, także o kopie nagrań – przypuszczał, że można je będzie obejrzeć na komputerze.

Następnie zadzwonił do Griffoni na komórkę. Słyszała już o Cavanisie, więc Brunetti opowiedział jej dokładniej o okolicznościach jego śmierci i o rozmowie z mężczyznami w barze. Wyjaśnił, że poprosił stację telewizyjną o informacje, i zapytał, czy poświęciłaby kilka godzin następnego dnia na oglądanie razem z nim programów. Mogła zauważyć coś, co jemu by umknęło.

– Lokalna telewizja? – zapytała. – Cały wieczór? – Westchnęła ciężko kilka razy. – Niech ci będzie, zrobię to, ale oczekuję, że pierwsze z twoich wnucząt dostanie na imię Claudia. – Potem jej głos nagle spowaźniał. – Coś jeszcze? – zapytała.

– Tak, jeszcze jedno. Chciałbym, żebyś jutro spotkała się z matką Manueli i zapytała ją, czy wiedziała o przemocach na tle seksualnym.

– Jeśli nie otworzyła raportu, to nie wiedziała. – Griffoni zaskoczyła Brunettiego stanowczością tego stwierdzenia.

– Lekarze mogli jej powiedzieć.

– W takim przypadku powiedziałyby o tym tobie.

– Być może. Ale mogła też mieć nadzieję, że jeśli się nie będzie o tym mówić, to się nie wydarzyło. – Brunetti widywał dziwniejsze zachowania rodziców, gdy odkrywali rzeczy, których nie chcieli wiedzieć o swoich dzieciach.

Dał jej tyle czasu, ile potrzebowała do namysłu. Wyjrzał przez okno, a potem spojrzął na zegarek. Za tydzień o tej porze będzie jeszcze ciemniej i nic się nie polepszy aż do wiosny.

– No dobrze – zgodziła się Griffoni, która postanowiła się z nim o to nie spierać. – Porozmawiam z nią. – Zanim zdążył zapytać, dodała: – Przed

seansem filmowym.

Podziękował jej, rozłączył się, a potem, ponieważ jego telefon był przez dłuższą chwilę zajęty, wybrał numer Rizzardiego. Patolog odebrał i przedstawił się.

– To ja, Ettore – powiedział Brunetti. Urwał, niepewny, jak zapytać lekarza, czy skończył swoją pracę.

– Tak jak mówiłem, ciało ludzkie jest prawdziwym cudem. Signor Cavanis stanowi na to dowód. Zgodnie z *carta d'identità* miał pięćdziesiąt cztery lata, ale gdyby wnioskować po stanie, w jakim było jego ciało, oceniłbym go na co najmniej piętnaście lat więcej. Miał zaawansowaną marskość wątroby. Nie wiem, ile jeszcze by żył czy też mógł żyć, ale nie wiem też, jakim cudem żył aż tak długo. Z powodu marskości wątroby miał też żylaki przełyku, więc krwawienie było znacznie silniejsze niż normalnie.

Po tych słowach umilkł na chwilę, a Brunetti usłyszał szelest przewracanej strony.

– Nóż był zwyczajnym nożem kuchennym – ciągnął patolog. – Bocchese ma go teraz i sprawdza pod kątem odcisków palców. Poprosił, żebym ci powiedział, że będą je mieli w ciągu dwóch dni i przejrzą bazę, żeby zobaczyć, czy coś pasuje, ale wysłał już materiał do testów DNA.

Rizzardi zaczekał chwilę, lecz Brunetti był zbyt doświadczony, by kwestionować rytm pracy Bocchese.

– Osoba trzymająca nóż była praworęczna – ciągnął Rizzardi. – Przynajmniej wzrostu ofiary, z pewnością stała za nią i była dostatecznie silna, by przebić ostrzem przełyk. Ofierze zadano tylko jeden cios, jednak z powodu żylaków przełyku naczynia krwionośne były rozrośnięte i powiększone, więc obrażenia wydają się większe. Przypuszczam, że śmierć nastąpiła w niedzielę wieczorem. – Zmienił temat i dodał: – Mógł przeżyć najwyżej kilka minut. Był martwy zbyt długo, żebym mógł zrobić wiarygodne badanie krwi, ale w moczu miał tyle alkoholu, że może nawet nie był w pełni świadomy, co się dzieje.

– Dziękuję, Ettore. – Tylko tyle potrafił wydusić z siebie Brunetti, zanim odłożył słuchawkę. Nagle uświadomiwszy sobie, jak dużą część dnia spędził

w towarzystwie śmierci, wyszedł z komendy i poszedł do domu.

Od Paoli dowiedział się, że dzieci wrócą późno, więc został w kuchni i relacjonował jej wydarzenia tego dnia, podczas gdy ona piekła plastry *melanzane* w piekarniku, a następnie smażyła je z cebulą i pomidorami, by zrobić sos. Kiedy Brunetti wrócił do domu, wydawało mu się, że nie jest szczególnie głodny, ale gdy teraz siedział, sączył gewürztraminera z kieliszka i patrzył, jak Paola gotuje, poczuł przyływ apetytu i zaproponował, żeby dodała jeszcze jeden bakłażan.

Ponieważ wyglądało na to, że do obiadu jest jeszcze trochę czasu, Brunetti powiedział, że chciałby się położyć na kanapie i trochę poczytać. Miał całkowitą pewność, że Paola, darząca książki czią religijną, uzna to za rzecz słuszną i właściwą.

Poszedł do sypialni po Apolloniosa z Rodos, porzuconego na stoliku przy łóżku. Któż mógł stanowić lepsze towarzystwo dla gęstniejącego mroku godzin wieczornych niż Jazon i Argonauci? Brunetti zawsze widział ich jak kolegów z *liceo* – nikt nie był nadmiernie poważny, nikt nie był nadmiernie dorosły, wszyscy płynęli na spotkanie przygody. Zanim jednak mógł zacząć czytać o ich przygodach, musiał przebrnąć przez obszerne genealogie postaci bardziej i mniej ważnych, a także bogów i bogiń – w zwykłym składzie, ze zwykłymi słabościami.

Gdy zakończyły się genealogie, kobiety zaczęły żegnać wojowników wyruszających w podróż, jednak przerwały na pewien czas, by lamentować wraz z matką Jazona. Nagle wzrok Brunettiego padł na frazę: „Obyż tak samo jak Helle dziewczyną, tak i Friksosa razem z barankiem zakryła czarna fala”. Przerwał lekturę i zapatrzył się przed siebie. Jeszcze jedna tonąca dziewczyna. Jego refleksje przerwała Paola, która stanęła w drzwiach, by powiedzieć, że obiad jest gotowy.

– Bardzo dziwni byli ci Grecy – powiedział Brunetti, gdy usiadł przy stole.

Zjadł trochę makaronu, skinął głową z uznaniem, przełknął i dodał:

– To jakby czytać o Ameryce w dziewiętnastym wieku, gdzie tak wielu ludzi akceptowało niewolnictwo jako element systemu społecznego.

– Jakiś konkretny związek? – zapytała Paola i odłożyła widelec, by

posypać makaron większą ilością sera. Było to *pecorino affumicato*, a nie *parmigiano*, co Brunetti całkowicie pochwalał.

– Grecy nie widzieli nic złego w wyruszeniu na wojnę z powodu porwanej kobiety, a jednak gdy zostało podbite miasto, wymordowano mężczyzn, a kobiety wzięto w niewolę, nikt się nad tym nie zastanawiał – powiedział.

– Cóż, nikt po stronie zwycięzców – stwierdziła Paola, po czym dodała: – Zwycięzcy piszą poezję.

– Myślałem, że chodziło o historię.

– Piszą jedno i drugie – oznajmiła Paola i wstała, by przynieść dokładkę makaronu.

Kiedy pili kawę, Paola uniosła filiżankę i zapytała męża bez żadnych wstępów:

– Myślisz, że ona wie?

Brunetti uniósł brew, by się upewnić, że rozumie, o czym mówi jego żona.

– Ta dziewczyna. Kobieta. Manuela. Że coś jest z nią nie tak.

Brunetti dostatecznie dobrze znał Paolę, by wiedzieć, ile wysiłku kosztowało ją zadanie tego pytania w tak obojętny sposób.

– Myślę, że przez większość czasu nie ma pojęcia – odpowiedział.

Paola odstawiła filiżankę.

– Ale czasami?

– Czasami jej twarz tężeje, a ona rozgląda się, jakby coś zgubiła. Ale chwila mija i z jej twarzy znika jakikolwiek wyraz.

Paola zabrała obie filiżanki ze spodeczkami, żeby postawić je koło zlewu. Podniosła głowę i spojrzała w okno, w stronę niewidocznych w tej chwili gór. Stała tak przez dłuższą chwilę.

Później, gdy leżał z książką w łóżku, natrafił na fragment, który przeczytał na głos Paoli: o ptakach broniących Wyspy Aresa, które ciskały w Greków ostrymi piórami wyrwanymi ze skrzydeł i raniły „lewy bark boskiego Ojleusa”, zaś on „rażony nim z rąk wnet wypuścił wiosło”.

– Jakież to dziwaczne – zauważyła Paola, odłożyła książkę i zgasła

lampkę po swojej stronie.

Brunetti kontynuował lekturę do końca księgi drugiej, a następnie także zgasił światło. Obawiał się, że będzie spać niespokojnie, dręczony wizjami tonących dziewcząt, ale ogarnął go spokój, a gdy się obudził, blask słońca napełnił go optymizmem.

Brunetti skończył właśnie czytać e-mail od Bocchesego, gdy Griffoni zapukała i weszła do jego gabinetu. Spojrzał na zegarek – właśnie minęła jedenasta.

– Zadzwońłam o dziewiątej do jej matki i zapytałam, czy mogę wpaść po drodze do pracy. Powiedziała, że razem z Manuellą idzie do swojej teściowej, ale możemy się spotkać na mieście.

– Udało wam się spotkać? – zapytał Brunetti. Nie wiedział, gdzie mieszka Griffoni, więc nie miał pojęcia, na ile byłoby jej po drodze zajrzeć na Campo Santa Maria Mater Domini albo znaleźć się w miejscu pomiędzy tym placem a *palazzo* hrabiny.

– W pobliżu Palazzo Mocenigo jest bar, tylko to miejsce mi przyszło do głowy – powiedziała Griffoni. – Spotkałyśmy się tam, Barbara i ja napiłyśmy się kawy, a potem zaproponowałam, że odprowadzę je, żebyśmy mogły porozmawiać.

Brunetti zauważył, że nazwała matkę Manuely po imieniu, ale nie skomentował tego.

– Manuela lubi przystawać i oglądać wystawy sklepów, więc miałyśmy okazję, by pomówić spokojnie. Zapytałam jej matkę, czy lekarze powiedzieli wszystko o obrażeniach, jakie odniosła Manuela.

Brunetti, zaniepokojony, czy zwracanie się do matki Manuely po imieniu nie wymusiło na Griffoni jakiejś kobiecej delikatności, zapytał:

– Czy zapytałaś ją wprost?

Griffoni spojrzała na niego ze spokojem.

– Zapytałam, czy poinformowano ją, że Manuela przed wpadnięciem do wody najprawdopodobniej została zgwałcona – powiedziała. – Czy to

dostatecznie wprost?

– Tak – odparł Brunetti. – Co odpowiedziała?

– Że być może jej to mówiono, ale przez te lata zdołała wyprzeć z pamięci wspomnienia czasu spędzonego z Manuelą w szpitalu.

– Czy przypuszcza, że wie o tym jej teściowa?

– Pomyślałam, żeby o to zapytać – odparła neutralnym tonem Griffoni. – Powiedziała, że to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Ponieważ jej teściowa na pewno interweniowałaby, gdyby o tym wiedziała.

Brunetti czuł, że nie dokończyła myśli, więc czekał.

– Guido, nie mam dzieci, więc nie wiem, jak to jest, kiedy jedno z nich zapadnie w śpiączkę. Ale wierzyłam jej, kiedy powiedziała, że się zmusiła, by o wszystkim zapomnieć, i uwierzyłabym także, że nawet jeśli wtedy jej to powiedziano, mogła sobie nie pozwolić na zarejestrowanie tego, co usłyszała. – Po chwili dodała: – To wszystko.

Dopiero teraz Brunetti pomyślał o tym, by samemu sobie zadać pytanie, jaką różnicę mogłoby robić to, czy matce Manueli powiedziano o tym, czy też nie – czy uwierzyła w to, czy też nie.

– W takim razie zjedźmy coś, zanim zaczniemy oglądać telewizję – zaproponował. Nie był pewien, czy Griffoni przyjęła to z zaskoczeniem, czy też z ulgą, zobaczył tylko, że natychmiast wstała i podeszła do drzwi.

Kiedy jedli *tramezzini* w barze przy moście, Brunetti powiedział Griffoni, co usłyszał od Rizzardiego, i przekazał jej skąpe informacje z e-maila Bocchesego, wysłanego przed oficjalnym raportem.

– Żadne z odcisków znalezionych na nożu nie pasują do figurujących w kartotece. Kąt zadania ciosu sugeruje, że sprawca był mniej więcej tego samego wzrostu co ofiara, czyli miał jakieś metr siedemdziesiąt pięć. W kuchni znaleziono dwa podobne noże. Dużo śladów DNA, ale ich uporządkowanie zajmie trochę czasu.

– Pamiętasz może, czy kiedy wchodziłeś, drzwi na górze i na dole były

zamknięte na klucz?

– Nie, ale zatraskują się automatycznie, więc potrzebowałem kluczy, żeby je otworzyć. Ktokolwiek to zrobił, musiał mieć klucze lub też został wpuszczony przez Cavanisa.

– A nasi ludzie? – zapytała.

– Vianello wysłał Pucettiego i Romaniego, żeby pochodzili po domach i sprawdzili, czy ktoś czegoś nie zauważył, ale wiesz, jakie są na to szanse.

Ponieważ Griffoni nie skomentowała tego, Brunetti usiadł wygodniej i uniósł rękę.

Pierwszy palec:

– Miał klucze lub Cavanis wpuścił go do środka.

Drugi palec:

– Nie było żadnych śladów przeszukiwania mieszkania, a Cavanis miał portfel w tylnej kieszeni, zatem możemy wykluczyć motyw rabunkowy.

Griffoni nadal się nie odzywała, więc Brunetti uniósł trzeci palec i podsumował:

– Albo przyszedł, żeby z nim porozmawiać, i sprawy wymknęły się spod kontroli, albo przyszedł tam, żeby zabić Cavanisa. W takim przypadku zakładałbym, że przyniósłby nóż ze sobą.

– Wydaje mi się, że to była nagła decyzja – powiedziała Griffoni.

– Na stole przed telewizorem był chleb i ser – powiedział Brunetti. – Ale nie zauważyłem noża.

– *Voilà* – oznajmiła Griffoni, jednak bez cienia radości.

– Przypuszczasz, że zrobił to mężczyzna? – zapytał Brunetti.

– Kobiety nie używają noży – odparła Griffoni tonem, jakim posłużyłby się Euklides, formułując kolejny aksjomat.

Brunetti zgadzał się z nią, był jednak ciekaw, skąd się bierze to przekonanie.

– Masz na to jakieś dowody?

– Kuchnie – odparła enigmatycznie.

– Kuchnie?

– Noże są trzymane w kuchni, mężowie wchodzą tam codziennie setki razy, a jednak bardzo niewielu z nich zostaje dźgniętych nożem. To dlatego, że kobiety nie używają noży i nie dźgają ludzi.

Brunetti zastanowił się nad sformułowaniem na tej podstawie sylogizmu, ale powiedział tylko:

– Może wrócimy i popatrzymy na te programy?

Ponieważ nie mieli pojęcia, czego szukają, nie pozostawało im nic innego, jak tylko obejrzeć wszystko, i to uważnie – nawet powtórkę *Szaty*, nudnego jak flaki z olejem religijnego filmu kostiumowego, w którym Victor Mature oraz Richard Burton występowali przeciwko Kaliguli, mimo że ich walka była skazana na przegraną.

Brunetti pamiętał, że oglądał ten film w starym czarno-białym telewizorze, kiedy był małym chłopcem, a jego ojciec siedział za nim, zanosił się od śmiechu i drwił na głos z fabuły oraz fałszywej rozpaczki aktorów, podczas gdy matka powtarzała mu raz za razem, żeby nie naśmiewał się z jej wiary. Ta scena, z prawdziwego życia, skończyła się łzami, a Brunetti nie miał okazji zobaczyć filmu do końca.

Oglądał go teraz, z kamienną twarzą, zbulwersowany okropnym sentymentalizmem, jeszcze gorszym aktorstwem oraz historycznymi bzdurami, ale nie potrafił śmiać się razem z Griffoni, ponieważ obawiał się, że uchybiłby tym pamięci swojej matki.

Kiedy ostatnia lukrowana scena dobiegła końca, a po niej nastąpiła pierwsza z serii reklam, Griffoni ukryła twarz w dłoniach i jęknęła:

– Kiedy oglądałam to po raz pierwszy, wydawało mi się, że to najwspanialsza rzecz, jaką widziałam.

Brunetti pochylił się, zatrzymał odtwarzanie i poczuł ulgę, gdy ekran komputera pociemniał. Signorina Elettra dołączyła do nich po cichu, kiedy oglądali film, i zdradzała swoją obecność tylko stłumionym chichotaniem. W ciszy, która zapadła po wyłączeniu obrazu, oznajmiła:

– Nigdy nie zostałam poproszona o przyznanie dodatkowego

wynagrodzenia za pracę w warunkach zagrożenia życia, ale wydaje mi się, że wszyscy na nie zasługujemy.

Rozmawiali przez chwilę, a potem postanowili obejrzeć jeszcze godzinę programów, zanim pójdą do domu. Obejrżeli wiadomości, a Brunetti mglście przypomniał sobie relację dotyczącą pożaru mieszkania w Santa Croce. Spojrzał w bok i zobaczył, że Griffoni podciąga rękaw żakietu, by sprawdzić, która godzina.

– Tylko do końca wiadomości, a potem stawiam wam obu drinka – obiecał.

Griffoni spojrzała na niego z uśmiechem. Signorina Elettra nie zrobiła tego, ponieważ nuda przemieniła ją w słup soli. Następny w kolejności był strajk sprzedawców biletów na *vaporetto*, później świeżo ogolony Vittori-Ricciardi opowiedział o swoim projekcie, a potem dziennik się skończył i byli wolni.

Brunetti miał ochotę rozłożyć ręce i powiedzieć im „Idźcie w pokoju”, ale oparł się pokusie i poprzestał na ponownym zaproszeniu swoich towarzyszek na drinka.

Było już ciemno, gdy wyszli z baru i rozeszli się każde w swoją stronę. Brunetti postanowił wrócić do domu na piechotę, z nadzieją że piękne widoki zatrą w jego pamięci wizję martwego mężczyzny i ubogiego życia, jakie musiał prowadzić w tamtym mieszkaniu. Gdyby rozmawiał z Paolą, prawdopodobnie zrobiłby jakąś uwagę na temat tego, że bardziej szkodliwa dla mózgu była telewizja niż alkohol, wiedział jednak, że to nieprawda, ponieważ widział aż za wielu pijaków udowadniających, o ile gorszy jest alkohol.

Nogi zaniósły go w stronę Campo Santi Giovanni e Paolo, ale minął bazylikę bez wchodzenia do środka. Przeszedł mostem na Giacinto Gallina, potem jeszcze jednym i jeszcze jednym, aż po lewej stronie pojawiła się tylna fasada Chiesa dei Miracoli. Brunetti przeszedł przez czwarty most, by pójść wzdłuż niej i pozwolić alabastrowym ścianom ukoić jego duszę. Zatrzymał się na malutkim *campo*, by przyjrzeć się fasadzie. Słyszał kiedyś, jak pewna śpiewaczka chwaliła się, że jej wysokie tony są wyższe niż wysokie tony kogokolwiek innego. Ten kościół był doskonalszy niż każdy inny doskonały kościół.

Gdy dotarł do domu, jego serce było już spokojne. Paola ucieszyła się, gdy pocałował ją na przywitanie, a dzieci były zadowolone, ponieważ podczas kolacji poświęcał im niepodzielną uwagę. Jadł zupę fasolową, wiedział, że po niej pojawi się już tylko lazania, i zastanawiał się, dlaczego tak wielu ludziom to nie wystarcza. Dlaczego muszą mieć więcej? – rozważała niewinna część jego osobowości. Kiedy tylko pojawiła się ta myśl, bardziej dojrzały głos wewnętrzny powiedział mu, żeby nie zadawał głupich pytań.

Później, gdy Paola wróciła i postawiła na stole głębokie naczynie z lazanią, Brunetti popatrzył na nią, popatrzył na swoje dzieci i oznajmił:

– Ależ mnie to uszczęśliwia.

Członkowie jego rodziny uśmiechnęli się, myśląc, że mówi o jedzeniu, ale w tym momencie była to ostatnia rzecz, o jaką Brunettiemu chodziło.

Po kolacji kontynuował lekturę Apolloniosa, który w końcu dotarł do historii Jazona i Medei. Ten mit nie dawał Brunettiemu spokoju, od kiedy przeczytał o nim po raz pierwszy. Tak wstrząsające wrażenie zrobiła na nim wersja Eurypidesa, chociaż był wtedy jeszcze chłopcem i czytał po włosku, gdyż greka przekraczała jego możliwości. Pamiętał, jak przerażała go furia Medei, buchająca niemal z każdej jej kwestii: „Nienawiść to otchłań bezdenna, której zapełnić nie sposób”. „Silniejsza od miłości kochanków jest ich nienawiść”. Jej słowa poruszyły coś w jego wnętrzu – wiedział, że te uczucia są prawdziwe, chociaż wtedy jeszcze nie miał do czynienia z ich przykładami. Jakże często słyszał później podobne wyznania w trakcie swojej kariery zawodowej! Medea na swój sposób przyznała się do winy: „Wiem, na co się ważę, lecz gniew mnie opętał”.

Siłą woli zmusił się, by odłożyć książkę, zanim Jazon dotarł do Kolchidy. Nie dzisiaj. Nie ze wspomnieniem Manueli nadal świeżym w jego pamięci i nie z perspektywą spędzenia jutrzejszego dnia na badaniu życia i śmierci Pietra Cavanisa.

Gdy nazajutrz Brunetti pojawił się w komendzie, zadzwonił do Bocchesego i zapytał, czy może dostać *telefonino* Cavanisa, żeby sprawdzić, jakie numery wybierał w ostatnim czasie. Dowiedział się, że technicy nie zdjęli jeszcze odcisków palców, lecz nie powinno to potrwać dłużej niż kilka godzin. Brunetti zadzwonił do Griffoni i powiedział jej, że znowu pora na wieczorny seans telewizyjny, chociaż było dopiero parę minut po dziewiątej.

Razem spędzili dwie godziny przed ekranem i obejrzelili – na ile potrafili stwierdzić, zupełnie niepotrzebnie – resztę programu lokalnej stacji telewizyjnej. Jakby dla przeciwwagi mdlącej słodyczy *Szaty*, wieczór zamknęła dyskusja o problemach, z jakimi boryka się miasto. Brunetti zastanawiał się, czy ludzie w innych miastach spędzali cały czas na rozmowach o swoim mieście?

Do studia zaproszono dwóch byłych burmistrzów, z których jeden przegrał wybory, a drugi został zdymisjonowany. Oprócz nich wśród gości znalazł się członek centroprawicy, przedstawiciel Ligi Północnej oraz, bez wątpienia w trosce o to, by przynajmniej jeden uczestnik dyskusji nie miał skłonności do awanturnictwa, dziennikarka z „Corriere del Veneto”.

Prowadzący poprosił polityka z centroprawicy, by nakreślił najważniejsze jego zdaniem problemy miasta. Był to ostatni moment, w którym ktoś wypowiadał się pojedynczo, ponieważ gdy tylko polityk zaczął udzielać odpowiedzi, przerwał mu jeden z byłych burmistrzów, któremu natychmiast przerwał mężczyzna z Ligi Północnej, co nie pozostawiło drugiemu burmistrzowi innego wyboru, jak tylko przerwać im i przedstawić swoją wersję rzeczywistości.

Brunetti ściszył dźwięk, zmuszając uczestników dyskusji do szeptu, a potem przemieniając ich w nieme, choć nadal targane gwałtownymi emocjami głowy, jakie mógłby namalować Francis Bacon. Dziennikarka odgarnęła włosy z czoła, uniosła dłoń, jakby usiłowała wezwać taksówkę, a potem pogodziła się z sytuacją, wyjęła książkę z torebki i zaczęła czytać.

– Rozsądna kobieta – zauważył Brunetti i zadał retoryczne pytanie: – Myślisz, że jest sens oglądania tego dłużej?

– Moim zdaniem nie ma, ani z prywatnych, ani z zawodowych powodów – stwierdziła Griffoni. – Jeśli będę musiała dłużej na to patrzeć albo ich słuchać, chyba zrzeknę się praw wyborczych.

Brunetti nacisnął odpowiedni guzik i uczestnicy dyskusji wraz z prowadzącym zniknęli w cyberprzestrzeni, pozostawiając ciemny ekran.

Griffoni odchyliła się na krześle, a Brunetti po raz nie wiadomo który zwrócił uwagę na to, jak niezwykle długie są jej nogi.

– Pamiętam, jak pierwszy raz poszłam na obiad w Londynie – powiedziała. – Wszyscy przy stole poza mną byli Anglikami i po pierwszym daniu zauważyłam, że zawsze mówi tylko jedna osoba. Kiedy skończyła, ktoś inny coś mówił, a wszyscy czekali, aż umilknie, zanim to skomentowali. Pojedynczo. – Uśmiechnęła się, a potem roześmiała się na to wspomnienie. – W pierwszej chwili pomyślałam, że to próba jakiejś sztuki albo może

angielska zabawa towarzyska, ale potem zrozumiałam, że oni właśnie tak się zachowują.

– Czekają także w kolejkach – dodał Brunetti.

Pozwolili sobie na chwilę pełnej podziwu ciszy, którą w końcu przerwał Brunetti.

– Myślałem o Cavanisie i o tym, czego musimy się dowiedzieć. Kim są jego przyjaciele. Albo jego wrogowie. Bocchese za kilka godzin skończy z jego komórką i będziemy mogli sprawdzić numery na liście kontaktów i w rejestrze ostatnich połączeń.

Griffoni skinęła głową i wskazała ekran komputera, na którym oglądali program telewizyjny.

– Poza rozdętymi nozdrzami Victora Mature'a w chwili, gdy otrzymał szatę, nie dostrzegłam w tych programach niczego interesującego, a już z pewnością niczego, co mogłoby stanowić przyczynę tego, co spotkało Cavanisa.

Brunetti spojrzął na zegarek i uniósł brwi, gdy okazało się, że nie minęło jeszcze południe, tak bardzo dłużył się czas przy oglądaniu telewizyjnych bzdetów.

– Chciałbym tam pójść i jeszcze raz porozmawiać z tym mężczyzną w barze – zdecydował. – Z Vianellem – dodał.

Griffoni nie potrafiła nie zareagować na nazwisko inspektora, jednak Brunetti nie był pewien, czy poczuła się urażona, czy zaskoczona.

– To jest taki rodzaj baru – zaczął wyjaśniać – że jeśli my weslibyśmy tam razem...

– Podczas gdy Vianello będzie testosteronowym lepem – powiedziała.

– Właśnie tak.

Prychnęła, a potem westchnęła ze znużonym przyzwoleniem.

– Dobrze, że ten koń Manueli jest klaczą, bo pewnie nie pozwoliliby mi na niej jeździć – powiedziała.

– Jeździłaś już? – zapytał zaskoczony Brunetti.

- Nie. W ten weekend nie mam dyżuru, więc zamierzam się tam wybrać.
- Tęsknisz za tym? – zapytał Brunetti.
- Za jazdą konną?
- Tak.
- A czy ty tęskniłbyś za oddychaniem? – zapytała.

Zadzwoił do Vianella i umówił się z nim przed lokalem, a potem wezwał Foę i poprosił o zawieszenie na Rio Marin. Za barem stał ten sam mężczyzna, skinął głową, rozpoznawszy Brunettiego, a następnie zdawkowo uklonił się Vianellowi. Obaj zamówili białe wino, na które Brunetti nie miał szczególnej ochoty. Barman nalał je i starał się nie ulegać rozpierającej go ciekawości.

- Mam jeszcze kilka pytań – zaczął Brunetti z uśmiechem.
- Czytałem gazety, a ludzie w okolicy o tym rozmawiają – powiedział barman.
- Pewnie w tych rozmowach jest więcej sensu niż w reportażach w gazecie – stwierdził Vianello, na co barman zareagował uśmiechem. – Nikt z dziennikarzy nie zadzwonił do nas z prośbą o informacje, a przecież to my jesteśmy policją.

Brunetti, który w dzisiejszej gazecie widział zdjęcie fasady domu Cavanisa, zauważył:

- Musieli tu z pewnością kogoś przysłać.
- Był fotograf, ale zrobił tylko zdjęcia domu. Nikomu nie chciało się przyjść i zadawać pytań. – Niezadowolenie barmana z powodu tej niesprawiedliwości było wyraźnie widoczne.
- Cóż, my mamy pytania – oznajmił Vianello z życzliwym uśmiechem i napił się wina.

Barman nachylił się w jego stronę.

- Był tutaj stałym gościem? – zainteresował się Vianello.

Barman uśmiechnął się szeroko.

- Przychodził kilka razy dziennie. Wpadał na kawę koło południa

i zostawał na kilka kieliszków wina.

– Śniadanie? – zapytał Vianello i uśmiechnął się znacząco.

Barman odwzajemnił uśmiech.

– Chyba można tak to nazwać. Czasem wracał koło czwartej na drugą kawę i jeszcze więcej wina.

Vianello skinął głową, jakby to był zupełnie zwyczajny sposób spędzania dnia – możliwe zresztą, że tak właśnie było w przypadku niektórych gości tego baru.

– Raz na jakiś czas przychodził koło ósmej, żeby się napić, czekał na przyjaciół, wypijał kilka kieliszków wina, a potem zamawiał obiad albo pił, dopóki nie poszedł do domu.

– Czy miał tu jakieś stałe towarzystwo do picia? – zapytał Brunetti.

Barman wzruszył ramionami, ale początkowo nie odpowiedział, jakby etyka zawodowa zakazywała mu udzielania informacji o gościach. W końcu powiedział z ociąganiem:

– Stefana dalla Lanę, chociaż on niedużo pije. – To nie zabrzmiało jak krytyka, ale zdecydowanie nie było komplementem. – Jest nauczycielem – dodał, jakby na usprawiedliwienie.

Gdy ani Brunetti, ani barman nie zwracali na niego uwagi, Vianello wyjął notes i długopis.

– Zna pan może jego adres? – zapytał barmana.

Barman rzucił mu dziwne spojrzenie, jakby nagle znalazł się w pułapce, której nie zauważył, i nie wiedział, jak się wydostać.

– Mieszka przy San Giacomo dell’Orio, nad dawną Billą – powiedział. – Dalej jest tam supermarket, ale już pod inną nazwą – dodał. Potem nieproszony otworzył szufladę i zaczął w niej grzebać, aż znalazł wielokrotnie złożoną karteczkę, z której odczytał numer dalla Lany.

– Dziękuję – powiedział Vianello i odsunął notes. Na twarzy barmana pojawiła się ledwo dostrzegalna ulga.

– Opowiadał pan, że Cavanis twierdził, iż coś sobie przypomniał – zaczął Brunetti.

Barman skinął głową.

– Czy mówił coś więcej na ten temat?

Barman zastanowił się nad pytaniem i podniósł kolejny kieliszek, żeby go wytrzeć.

– Jego życie miało się zmienić. Ale – dodał z trochę gorzkim uśmiechem, poświadczającym marność ludzkich pragnień – jego życie stale było w fazie, gdy właśnie miało się zmienić.

Brunetti przypomniał sobie o kluczach do mieszkania.

– Czy dużo osób przychodziło tu po jego klucze? – zapytał.

Barman roześmiał się.

– Wydaje mi się, że Pietro robił to na pokaz, żeby udawać przed ludźmi włóczęgę. Przez ostatni rok albo nawet dłużej pan był jedyny.

– Czy gdzieś pracował? – zapytał Brunetti, świadomy tego, że jego zawodową powinnością jest sprawdzenie wszystkich możliwych motywów zamordowania Cavanisa, nie tylko powiązanych z jego dawnym bohaterskim czynem.

– Wiele lat temu. Był piekarzem, pracował u jednego gościa na Ruga degli Orefici. Zamknęli się w zeszłym roku, teraz jest tam jedzenie na wynos.

– Przeszedł na emeryturę? Czy może się zwolnił?

– Nie, miał problemy z wątrobą, więc parę lat temu musiał przestać pracować i przejść na rentę. Z niej właśnie żył.

Vianello spojrzał na niego z błyskiem przebiegłości.

– Prawdziwe problemy z wątrobą, czy takie, na które umówił się z lekarzem?

– Nie, nie, Pietro lubił swoją pracę, lubił tych ludzi. To były prawdziwe problemy. Wszyscy mężczyźni w jego rodzinie chorowali, wszyscy pili. – Na twarzy barmana pojawił się wyraz namysłu. – Nie był złym człowiekiem. Nigdy nie był uciążliwym czy hałaśliwym pijakiem. Nie awanturował się. Nie wiem, ile renty dostawał, pewnie niewiele. Ale dla przyjaciół był hojny i nigdy nie powiedział o nikim złego słowa.

– Wydaje się, że pan go lubił – zauważył Vianello.

– Oczywiście, że go lubiłem – odparł szczerze barman. – Kiedy pracuje się dostatecznie długo w takim miejscu, można się wiele nauczyć o ludziach. Niektórzy pijacy są podli, inni są dobrymi ludźmi. Taki właśnie był Pietro, chociaż nie było mowy, żeby przestał pić. To by go zabi... – zaczął, ale nie potrafił dokończyć zdania.

Sięgnął do zimnej już teraz wody w zlewie i wyjął kieliszek. Wziął czystą ścierkę z szuflady i zaczął go powoli wycierać. Obracał i obracał kieliszek, aż w końcu spytał Vianella:

– Bardzo źle to wyglądało?

Vianello i Brunetti wymienili szybkie spojrzenia. Żaden się nie odezwał, czekali, aż zrobi to ten drugi.

– To się stało bardzo szybko – powiedział w końcu Brunetti.

Barman bez słowa odstawił kieliszek na półkę za sobą.

Brunetti odesłał Foę do komendy. Ponieważ San Giacomo dell’Orto znajdował się stosunkowo niedaleko, razem z Vianellem postanowili wpaść po drodze do Stefana dalla Lany. Rozmawiali swobodnie, nie zwracając uwagi na to, gdzie się właśnie znaleźli, spokojnie przecinali duży plac, zupełnie inny obecnie niż w czasach, gdy obaj zaczęli służbę w policji. Policjanci patrolowali go teraz po prostu parami, podczas gdy dawniej było to znane miejsce spotkań handlarzy narkotyków, a śmieciarze stale narzekali na stosy zużytych strzykawek, którymi każdego ranka zasłane były chodniki. Gentryfikacja dopiero się tu zaczęła, ale jej oznaki były już wyraźnie widoczne: nowy bar, ze stolikami jeszcze wystawionymi na zewnątrz i lśniąącym geometrycznym wystrojem wewnątrz; elegancka restauracja tuż za mostem prowadzącym w stronę Rialto oraz ostateczny dowód na to, co czeka miejscowych: trzy budynki otoczone rusztowaniami.

– Kilka dni temu byłem w Santa Giustina, chciałem wpaść z przyjacielem na drinka – zaczął Vianello bez żadnych wstępów. – Właściciel baru niedługo go zamyka. Podwoili mu czynsz. Tak samo jak facetowi, który sprzedawał antyki. – Szli w milczeniu przez minutę, po czym inspektor oznajmił, na wpół ze złością, a na wpół ze zdumieniem: – Na litość boską, mówimy o Santa Giustina. Kto chciałby tam mieszkać?

– Zapewne cudzoziemcy – stwierdził Brunetti.

Wyszli na *campo* i zaczęli okrążyć absydę kościoła. Zobaczyli wysokiego, siwego mężczyznę, który podszedł do nich.

– Czy panowie są z policji? – zapytał, gdy się zbliżyli. Miał głęboki głos i mówił czystym włoskim, ale zdradzały go charakterystyczne dla dialektu weneckiego syczące samogłoski.

– Tak – odparł Brunetti.

– Jestem Stefano dalla Lana – oznajmił mężczyzna, ale nie wyciągnął ręki.
– Ruggiero z baru zadzwonił do mnie i powiedział, że chcą panowie ze mną porozmawiać i najprawdopodobniej przyjdą do mnie. – Zanim któryś z nich zdążył zapytać, wyjaśnił: – Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli się spotkamy tutaj. Moja żona jest bardzo znerwicowana, wytrąciłoby ją z równowagi, gdyby policja pojawiła się u nas w domu. – Wskazał jedną z ławek pod drzewami.

– Oczywiście – powiedział Brunetti. – Przykro mi z powodu pańskiej żony.

– Och, to nic takiego – odparł dalla Lana. – Po prostu złe wiadomości robią na niej mocniejsze wrażenie, niż powinny.

Poprowadził ich do ławki i usiadł na środku, zostawiając im miejsce po bokach.

– Co takiego chcą panowie wiedzieć? – zapytał. Miał ciemnobrązowe oczy, wokół których rozchodziły się zmarszczki wyryte przez lata wysiłku.

– Słyszeliśmy, że przyjaźnił się pan z Pietrem Cavanisem.

Mężczyzna musiał wiedzieć, że właśnie w tej sprawie przyszli, ale jego twarz stężała, gdy usłyszał nazwisko przyjaciela. Odwrócił głowę i popatrzył na kościół, a gdy znowu spojrział na Brunettiego, miał wilgotne oczy.

– Znałem go przez całe życie. Chodziliśmy razem do szkoły – powiedział, a potem zaczął się przyglądać korzeniom drzewa, wsparłszy łokieć na kolanie i podtrzymując czoło dłonią, by zasłonić oczy.

Brunetti pozwolił, by cisza trwała tak długo, jak mężczyzna będzie potrzebował. Obok nich przebiegł pies, ścigany przez dwoje dzieci – jedno na skuterze.

Dalla Lana podniósł głowę.

– Przepraszam panów. Nadal trudno mi się z tym oswoić.

– Z tym, że już go nie ma? – zapytał Brunetti.

– Chciałbym, aby chodziło tylko o to – oznajmił dalla Lana ze smutnym uśmiechem. – O to, że się przeprowadził albo gdzieś wyjechał na pewien czas. Ale to, że nie żyje... – urwał i znowu przycisnął dłoń do ust. Kilka razy

potrząsnął głową, jakby energia tego gestu mogła cokolwiek zmienić.

Brunetti wiedział, że to niemożliwe, więc odczekał chwilę, zanim znowu się odezwał.

– Właściciel baru powiedział nam, że signor Cavanis mówił o zmianie w swoim życiu, która ma niebawem nastąpić. Czy wspominał panu coś o tym? – Dalla Lana nie odpowiedział, więc Brunetti mówił dalej. – Ponieważ był pan jego najlepszym przyjacielem... zastanawiałem się, czy coś panu wspominał na ten temat.

Dalla Lana złączył dłonie i wsunął je między kolana, schylił głowę i nie odrywał wzroku od chodnika.

– W szkole byliśmy dwójką marzycieli. Pietro chciał osiągnąć w życiu coś wielkiego: zostać lekarzem i znaleźć lekarstwo na jakąś straszną chorobę, zostać inżynierem i dokonać wynalazku, który ułatwi nam życie, albo też zająć się polityką i poprawić los wielu ludzi.

– A o czym pan marzył? – zapytał Brunetti.

Dalla Lana spojrzał na niego szybko, jakby nikt nigdy nie zadał mu tego pytania.

– Chciałem pisać poezję.

– I co się stało? – spytał Brunetti.

Mężczyzna znowu potrząsnął głową, zaczął mówić, ale urwał w pół słowa i westchnął głęboko.

– Pietro dostał się na uniwersytet, by studiować inżynierię, ale latem tamtego roku zmarł jego ojciec, więc Pietro musiał poszukać sobie pracy.

– Jako piekarz?

– Skąd pan wie? – dalla Lana nie ukrywał zaskoczenia.

– Powiedział mi właściciel baru.

– Czy mówił także o jego ojcu?

– Tylko tyle, że nie żyje. – Brunetti częściowo minął się z prawdą. – Powiedział, że pański przyjaciel musiał kilka lat temu zrezygnować z pracy.

– Z powodu wątroby.

– Tak właśnie słyszałem.

– To zabiło jego ojca – wyjaśnił dalla Lana. – Właściciel piekarni zaproponował mu, by zaczął pracować na miejscu swojego ojca. To była jedyna rzecz, jaką był w stanie znaleźć. Jego matka nigdy nie pracowała, a renta po ojcu nie była szczególnie wysoka.

– Rozumiem – powiedział Brunetti.

– Nie miał wyboru – powiedział dalla Lana. Po dłuższej chwili dodał: – Piekarze muszą dużo pić z powodu gorąca i nieregularnych godzin pracy. Tak to się zaczęło. Ale to go właściwie nie zmieniło. Pozostał marzycielem aż do samego końca. Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni, on... no cóż, snuł marzenia.

– Co pan przez to rozumie?

– Zadzwoił raz w zeszłym tygodniu, ale nie mogłem odebrać, bo prowadziłem lekcję, a potem zapomniałem oddzwonić. Zadzwoił jeszcze raz w sobotę wieczorem. Było późno, a on był pijany. Zazwyczaj nie dzwonił do mnie, kiedy pił, ale tym razem nie mógł przestać mówić. Powiedział, że znalazł sposób, żeby mi się zrewanżować.

Zauważył, że jego rozmówcy nie wiedzą, o co chodzi.

– Przez te wszystkie lata pomagałem mu, jak mogłem. To nie było nic wielkiego. Spłacałem jakiś jego rachunek albo czynsz. – Zobaczył wyraz ich twarzy, więc szybko dodał: – To było tylko raz i kwota była niewielka. – Spuścił głowę, jakby zawstydzony.

– Co jeszcze mówił? – zapytał łagodnie Brunetti.

Dalla Lana westchnął ciężko, ale nie podniósł głowy.

– Niewiele zrozumiałem z tego, co mówił. Głównie o tym, że zawsze był moim dłużnikiem.

Popatrzył na Brunettiego, potem na Vianella i znowu na Brunettiego.

– Nie chciałem tych pieniędzy. Nigdy nie prosiłem o nie, nie powiedziałem ani słowa. Pomagałem mu chętnie. Był moim przyjacielem.

Ani Brunetti, ani Vianello nic nie odpowiedzieli. Po chwili dalla Lana kontynuował.

– Mówił, że zobaczył coś, co mu przyniesie pieniądze, a potem powiedział coś o telewizji, ale nie było w tym cienia sensu. Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Nadal nie rozumiem. Powiedział, że zrobił w życiu jeden dobry uczynek, a teraz robi jeszcze jeden, ponieważ coś sobie przypomniał, i wszystko będzie dobrze.

Dalla Lana urwał i popatrzył na obu mężczyzn.

– Czy mówił panu, co sobie przypomniał?

– Nie. – Usta dalla Lany zacisnęły się w grymasie bólu. – Powiedziałem mu, żeby poszedł spać i zadzwonił następnego dnia. Nie wydaje mi się, żeby zrozumiał, ale się rozłączył. A potem dowiedziałem się, że on nie żyje. – Zanim Brunetti zdążył zapytać, czy Cavanis dzwonił jeszcze raz, dalla Lana wyjaśnił: – Ponieważ nie zadzwonił, uznałem, że zapomniał o całej sprawie.

Z czystej ciekawości i aby oderwać dalla Lanę od myśli o śmierci przyjaciela, Brunetti zapytał:

– A co z pisaniem poezji?

– Nie mam talentu – odparł mężczyzna, jakby Brunetti zapytał go o godzinę, a on odpowiedział, że nie nosi zegarka.

Wszyscy trzej siedzieli w milczeniu, aż odezwał się Vianello:

– Jeśli mógłbym zapytać, to dlaczego pozostawali panowie przyjaciółmi przez te wszystkie lata?

Mężczyzna poruszył się niespokojnie, szczelniej owinął się kurtką, co uświadomiło Brunettiemu, że dzień stracił nagle resztki ciepła, jakie jeszcze mu pozostały. Dalla Lana wstał i kilka razy przesunął dłonią po pniu drzewa. Potem wrócił do ławki i popatrzył na nich.

– Ponieważ był odważny, uczciwy i ciężko pracował, dopóki miał pracę, dopóki zdrowie go nie zawiodło. I ponieważ przez wszystkie te lata czytał moje wiersze i mówił mi, że są dobre i że naprawdę go wzruszyły.

Kopnął puste pudełko po papierosach.

– Czy jest jeszcze coś, o co panowie chcieliby zapytać?

Brunetti wstał i uścisnął dłoń dalla Lany.

– Nie, dziękujemy panu. Bardzo wiele nam pan powiedział.

Vianello wstał i także wyciągnął rękę.

– Dziękujemy. Bardzo mi przykro z powodu pańskiego przyjaciela.

Dalla Lana pożegnał się i odwrócił, by udać się tam, gdzie był supermarket Billa, zanim gentryfikacja odkryła Campo San Giacomo dell’Orio.

Po drodze do *vaporetto* zatrzymali się na kilka *tramezzini*, ale dodano do nich taką ilość majonezu, że Brunetti czuł się przejezdzony, a jednocześnie głodny. Zanim doszli na przystanek przy Riva di Biasio, wyjął *telefonino* i zadzwonił do signoriny Elettry. Miał już dość drogi służbowej, więc podał jej numer komórki Cavanisa i zapytał, czy mogłaby w jakiś sposób zdobyć listę numerów, z którymi się łączył, począwszy od poniedziałku w tygodniu przed jego śmiercią.

– „W jakiś sposób zdobyć” – powtórzyła. – Jakie to eleganckie, *commissario*. Tak, jestem pewna, że mogłabym je zdobyć. W jakiś sposób. – Umilkła na chwilę. – Czy jest jakiś powód pośpiechu? – zapytała.

– To znaczy, czy mamy czas, aż sąd wyda zgodę na te poszukiwania? – zapytał.

– Tak.

– Nie.

– Aha – odparła, przeciągając ten dźwięk i bez wątpienia zastanawiając się nad sposobami. – Wraca pan teraz do komendy?

– Tak, jesteśmy już w drodze.

– Będę miała dla pana te numery, kiedy się pan pojawi.

Szli z Vianellem równym krokiem, a Brunetti powtarzał sobie w duchu: „Nie chcę wiedzieć, nie chcę wiedzieć”, akcentując kolejnym krokiem ostatnie słowo tej frazy. Do Vianella powiedział tylko:

– Będzie miała te numery, na które dzwonił, kiedy wrócimy.

Vianello spojrział na Brunettiego z uśmiechem.

– Zastanawiam się, czy kiedy nas wszystkich wyrzucą z pracy, będzie nam przysługiwać emerytura.

Gdy przyszedli na komendę pół godziny później, udali się od razu do gabinetu signoriny Elettry. Przywitała ich z wyraźnym zadowoleniem i podała Brunettiemu kartkę, którą zabrał, zachowując swoje przemyślenia dla siebie. Na wydruku były wyszczególnione tylko trzy rozmowy telefoniczne. W poniedziałek i w sobotę Cavanis dzwonił na numer Stefana dalla Lany: pierwsze połączenie nie zostało odebrane, drugie, o 23.11 w sobotę, trwało osiem minut. Ostatnie połączenie, o 23.22, było pomyłką – Cavanis zadzwonił do biura Komisji do spraw Sztuk Pięknych. Połączenie trwało sześć sekund.

– Był zbyt pijany, by wybrać numer – orzekł Vianello.

– To dziwne, że nie spróbował zadzwonić ponownie, na właściwy numer – zauważył Brunetti.

– Pijacy zachowują się dziwnie – podsumował Vianello.

– Nie dzwonił nigdzie w dniu, w którym został zamordowany – powiedział Brunetti i uniósł kartkę tak, by obaj mogli na nią spojrzeć.

Jednakże niecałe dwadzieścia cztery godziny później Cavanis leżał już martwy na podłodze swojego mieszkania. Brunetti nie wierzył w przypadki, szczególnie jeśli chodziło o mężczyznę, który twierdził, że jego życie się odmieni i nagle będzie miał mnóstwo pieniędzy. Jeśli w tym, co Cavanis powiedział dalla Lanie, było choćby ziarno prawdy, nie próbował podjąć żadnego działania, przynajmniej nie tego wieczoru i nie za pomocą *telefonino*. Potem zaś został zamordowany.

– Czy w pobliżu jego domu znajduje się jakaś budka telefoniczna? – zaskoczył pytaniem signorinę Elettrę.

Ona i Vianello umilkli na chwilę, a Brunetti obserwował ich twarze, gdy starali się przypomnieć sobie *calli* oraz *campi* w rejonie Santa Croce.

– Nie ma już prawie żadnej, prawda? – odezwał się po chwili Vianello.

Signorina Elettra uniosła dłoń takim gestem, jakby przywoływała kelnera.

– Telecom musi mieć mapę z lokalizacjami tych budek, które jeszcze zostały – powiedziała i spojrzała na swój komputer, jakby był wzywana przez nią taksówką, a ona nie mogła się doczekać, aż wsiądzie do środka.

– I co z tego wyniknie? – zapytał Brunetti.

– Jeśli znajdę mapę, wyślę kogoś z szeregowych funkcjonariuszy, żeby spisał numery telefonów. Na tej podstawie powinnam z łatwością znaleźć numery, na które z nich dzwoniło.

– Ach – szepnął Brunetti. – „Znaleźć” – powtórzył, jakby podziwiał jakąś starożytną formułę magiczną.

Powrócił myślami do idei, że być może Cavanis chciał przeprowadzić jakąś rozmowę, nie używając swojego *telefonino*, ale przeniknięcie umysłu alkoholika okazało się niemożliwe. Być może pomyłkowe wybranie przypadkowego numeru na chwilę otrzeźwiło Cavanisa. Albo też rano uświadomił sobie, że nie powinien załatwiać tej sprawy, dzwoniąc ze swojego telefonu.

– Zostawimy pani poszukiwania mapy – zdecydował Brunetti, który zastanawiał się już nad inną możliwością.

Zanim wyszli, signorina Elettra powiedziała:

– Znalazłam w raporcie medycznym, który mi pan zostawił, nazwisko lekarza rodzinnego Manuelli, ale przeszedł na emeryturę niedługo po jej wypadku i zmarł jakieś pięć lat temu.

Kolejny ślepy zaułek. Brunetti podziękował jej i wyszedł wraz z Vianellem. Na korytarzu rozdzielili się – Brunetti zszedł na dół, by porozmawiać z Bocchese, zaś Vianello wrócił do pokoju odpraw.

Gdy Brunetti znalazł się pod drzwiami laboratorium, w którym pracował Bocchese, zapukał i wszedł, nie czekając na zaproszenie. Technik podniósł głowę, a potem znów skoncentrował się na *telefonino*, które najwyraźniej składał z powrotem.

– Czy to komórka Cavanisa? – zapytał Brunetti, zanim zdążył się powstrzymać.

– Nie – odparł Bocchese. – Możesz już zabrać jego telefon.

– Już mamy listę numerów, na które dzwonił – rzucił Brunetti z satysfakcją.

Technik skinął z uznaniem głową.

– Dobra jest – powiedział, wziął mały śrubokręt i włożył go w obnażone wnętrze telefonu. Obrócił śrubokręt, cofnął go, znowu wsunął i znowu obrócił. Komórka zadzwoniła tradycyjnym dzwonkiem stacjonarnego telefonu. Technik nacisnął przycisk i dzwonek ucichł.

– Co robisz?

– Ustawiam dzwonek – wyjaśnił Bocchese.

– Nie ma na to jakiegoś prostszego sposobu? – zapytał Brunetti, technologiczny neandertalczyk.

– Tak, ale upuściłem go, więc to by nie zadziało. Jediną rzeczą, jaka mi pozostała, było ręczne połączenie styków.

– Rozumiem – stwierdził Brunetti, zupełnie jakby wiedział, o czym mówi Bocchese. Policzył powoli do sześciu i zapytał: – Skończyłeś już z rzeczami z mieszkania Cavanisa?

– Jakąś godzinę temu – odpowiedział Bocchese, wybierając jednocześnie numer na klawiaturze swojego telefonu.

Chwilę później komórka Brunettiego zadzwoniła, więc sięgnął do kieszeni, by odebrać, ale cofnął rękę, gdy zobaczył minę Bocchese.

– Bardzo zabawne. Bardzo zabawne – skwitował kwaśno komisarz, ponieważ nie chciał okazywać rozbawienia sztuczką kolegi. – Mogę spojrzeć?

Bocchese ruchem podbródka wskazał stojący na końcu laboratorium stół, na którego blacie leżało mnóstwo drobnych przedmiotów.

– Nie krępuj się – powiedział, założył tył obudowy na swoje *telefonino* i zaczął przykręcać maleńkie śrubki, które przytrzymywały ją na miejscu.

Brunetti podszedł do stołu i okrążył go, by przyjrzeć się drobiazgom rozłożonym na jego powierzchni. Część z nich rozpoznawał. Były tam szczoteczka do zębów z włosiem wygiętym na wszystkie cztery strony oraz tubka pasty do zębów ściśnięta tak mocno, że Brunettiego by nie zaskoczyło, gdyby zaczęła płakać. Skromna zawartość apteczki została ułożona w przygnębiającym rzędku. Zauważył kostkę mydła. Dalej leżały skórki pomarańczy i plastikowy pojemnik po jakimś jedzeniu z ogromną ilością

sosu pomidorowego. Obok stała puszka po tuńczyku oraz dwie puste dwulitrowe butelki po winie.

Na stole leżały też cztery rozprostowane kawałki papieru oraz dwie plastikowe karty telefoniczne, obie sfatygowane i bez wątplenia nadające się do wyrzucenia, ponieważ upłynęła już data ich ważności.

– Czy mogę tego dotyczyć? – zawołał Brunetti do Bocchesego, który rozmawiał teraz przez telefon. Technik skinął głową i machnął ręką, skoncentrowany na rozmowie.

Brunetti wyjął notes, położył go na stole obok kart telefonicznych i starannie przepisał długi numer seryjny z każdej z nich. Pomyślał, że Wielki Brat nie tylko nas obserwuje, ale jest także zdolny wytropić wszystkie rozmowy przeprowadzone z wykorzystaniem tych kart.

Przyjrzał się teraz papierkom. Jednym z nich była ulotka zawiadamiająca o tym, że parafię San Zan Degolà obejmuje nowy proboszcz. Drugim – zużyta chusteczka, której technicy nie zdecydowali się rozkładać. Poza tym znajdowały się tu jeszcze dwa paragony sklepowe.

Brunetti obrócił paragony. Z tyłu jednego z nich zobaczył znajome 52, poprzedzające lokalne numery, a także dalsze pięć cyfr. Wyjął komórkę i wybrał numer.

– Soprintendenza di Belle Arti – odezwał się kobiecy głos po sześciu dzwonekach.

Brunetti rozłączył się, nawet się nie odzywając. Czyli Cavanis wybrał numer, który miał zapisany, ale po co miałby dzwonić do Belle Arti? Można było tylko zgadywać. Jedyne głupiec – albo pijak – dzwoniłby do miejskiej instytucji o jedenastej wieczorem. Albo, skoro już o tym mowa – dodał jego cyniczny głos wewnętrzny – o jedenastej rano. Brunetti podziękował Bocchesemu i zapowiedział, że zajrzy do niego, gdyby cokolwiek stało się z jego własnym telefonem.

– Większość ludzi po prostu je wyrzuca – oznajmił technik z wyraźną dezaprobatą.

Brunetti skinął mu głową i poszedł na górę do gabinetu signoriny Elettry.

Nie było jej, więc starannie zapisał numery kart telefonicznych na kartce papieru i zostawił sekretarce wiadomość z prośbą o sprawdzenie, na jakie numery z nich dzwoniono. Kiedy wrócił do własnego gabinetu, wyjął telefon i wybrał numer dalla Lany, który dostał od Vianella. Ponieważ dalla Lana był nauczycielem, Brunetti zamierzał tylko zostawić wiadomość, ale przyjaciel Cavanisa odebrał od razu.

– Signor dalla Lana, mówi komisarz Brunetti. Zapomniałem pana zapytać o jedną rzecz.

– Co takiego? – zapytał dalla Lana znużonym, cierpliwym tonem.

– Czy pański przyjaciel wspominał coś ostatnio o Soprintendenza di Belle Arti?

– Nie rozumiem pytania, panie komisarzu – oznajmił dalla Lana, wyraźnie zdumiony. – Co takiego Pietro miałby mieć z nimi wspólnego?

– Miał u siebie w domu zapisany ich numer telefonu i zadzwonił na niego po tamtej rozmowie z panem.

– W sobotę?

– Tak.

– Czego miałby od nich chcieć? – zapytał dalla Lana. – O takiej porze?

– Nie mam pojęcia – przyznał Brunetti. – Jest pan pewien, że nigdy nic o tym nie mówił?

– Nie, nigdy. – Po chwili dalla Lana dodał jeszcze: – Kiedy z nim rozmawiałem, był bardzo pijany, mówił od rzeczy. – Nauczyciel po prostu stwierdzał fakt, nie próbował wyciągać z tego żadnych wniosków.

– Wie pan może, z kim jeszcze się przyjaźnił? – kontynuował Brunetti. – Powinienem być wcześniej o to zapytać.

– Są ci mężczyźni z baru – odparł po chwili dalla Lana. – Ale nie wiem, czy naprawdę byli jego przyjaciółmi. Nie wydaje mi się, by Pietro spotykał się z nimi przy innych okazjach. Nie poznałem żadnych innych jego przyjaciół, nie wiem, czy ich miał.

Co Cavanis robił całymi dniami? – zastanawiał się Brunetti. Kilka razy zaglądał do baru, oglądał telewizję i pił. Czy na emeryturze zostaje tylko tyle

z życia? Należy brać pod uwagę, że sześćset euro miesięcznie na wiele więcej by nie starczyło. Ale mimo wszystko.

– Czy opowiadał panu kiedyś o zajściu przy Campo San Boldo, kiedy uratował życie dziewczynie? – zapytał Brunetti.

– Tak, opowiedział mi o tym, kiedy to się zdarzyło, ale powiedział, że to nie było nic nadzwyczajnego. Powiedział, że wskoczył do wody i wyciągnął dziewczynę, nie zastanawiając się nad tym, co robi. – Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. – Właściwie żartował z tego, mówił, że był wtedy kompletnie pijany, więc miał szczęście, że sam się nie utopił.

– Nic więcej nie pamiętał? – zapytał Brunetti.

– Nie, o ile mi wiadomo. W każdym razie tylko tyle mi powiedział.

– Dziękuję, signor dalla Lana – powiedział Brunetti i dodał, z nadzieją że jego rozmówcę pocieszy trochę komplement pod adresem przyjaciela: – To było bardzo odważne z jego strony.

– Wiem o tym – powiedział dalla Lana i zakończył rozmowę.

Skoro Cavanis nie powiedział swojemu najlepszemu przyjacielowi nic więcej o incydencie przy San Boldo, to zamykało sprawę. A właściwie zamykałoby ją, gdyby Cavanis nie mówił także, że przypomniał sobie coś, dzięki czemu będzie miał mnóstwo pieniędzy, a zaraz potem został znaleziony martwy na podłodze swojego mieszkania, z nożem wbitym w szyję.

Brunetti przyłapał się na rozmyślanii o twierdzeniu Dantego, że herezja jest formą intelektualnego uporu, odmową porzucenia błędnej idei. W przypadku Dantego ta ścieżka prowadziła do wiecznego potępienia, w przypadku Brunettiego mogła zaprowadzić w ciemny las błędnych wniosków. Częściowe uratowanie Manueli z wód kanału nie było jedyną rzeczą, jaką Cavanis zrobił w życiu, i nie musiało być przyczyną jego śmierci. Pijacy są nieostrożni, bezmyślni, porywczy. Skręcają z drogi, wpadają prosto na mur, wdają się w bójki, w których nie mogą zwyciężyć, i mówią rzeczy, których nie da się wybaczyć ani zapomnieć. Rzucają groźby i przechwalają się, a przy tym bardzo często wyprowadzają ludzi z równowagi. Nic nie wiązało tego morderstwa z wypadkiem Manueli

Lando-Continui. Nic nie wiązało tego morderstwa z niczym, jeśli pominąć prywatne podejrzenia Brunettiego. To było prawdziwe życie, przypadkowe, chaotyczne i niedające się kontrolować.

Zadzwonił telefon, więc odebrał i przedstawił się.

– Przyjdź tu natychmiast – odezwał się rozpoznawalny natychmiast głos jego zwierzchnika.

– *Sì, dottore* – powiedział Brunetti i podniósł się z miejsca.

Signorina Elettra nadal była nieobecna, więc Brunetti wszedł do jaskini lwa bez żadnego ostrzeżenia i bez szansy na przygotowanie jakichś usprawiedliwień czy wymówek. Zanim jeszcze na dobre znalazł się w środku, Patta zapytał ostro:

– Czy to ty ją do tego namówiłeś?

Żonę Patty? Signorinę Elettrę? Hrabinę Lando-Continui? Brunetti zachował pokerową twarz.

– Obawiam się, że nie wiem, o czym pan mówi, *vice-questore* – odpowiedział, raz jeden mówiąc przełożonemu szczerą prawdę.

– O ten e-mail – Patta uderzył dłonią w kartki leżące na środku biurka. – Na litość boską, jest od asystentki ministra spraw wewnętrznych. Czy wiesz, co się może stać z moją karierą?

– Pozwolę sobie powtórzyć, *vice-questore*, że nie wiem nic o żadnych e-mailach wysyłanych do pana. – Brunetti popatrzył Patcie prosto w oczy, z nadzieją że taktyka, której używał, gdy okłamywał przełożonego, będzie tak samo skuteczna wtedy, gdy mówił prawdę.

– Nie okłamuj mnie, Brunetti – powiedział Patta.

– Nie okłamuję pana, *dottore* – odparł Brunetti. – Nic nie wiem na ten temat – dodał i odważył się wskazać papiery leżące przed zwierzchnikiem.

– Przeczytaj to, zanim coś powiesz, Brunetti – oznajmił Patta paskudnym tonem. Znowu uderzył w papiery otwartą dłonią i przesunął je w stronę Brunettiego.

Gdy tylko Patta cofnął rękę, Brunetti podniósł kartki i przytrzymał je

w odpowiedniej odległości od oczu. Na pierwszej stronie znajdował się nagłówek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Brunetti sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, i wyjął okulary. Rozłożył je jedną ręką i wsadził na nos. Adres wyostrzył się, podobnie jak treść listu.

Szanowny Panie,

zawiadamiamy niniejszym, iż do Ministerstwa wpłynęło powiadomienie o poważnych nieprawidłowościach w wielu dochodzeniach śledczych prowadzonych obecnie przez Questura di Venezia. Niedługo rozpocznie się postępowanie w tej sprawie. Do odnotowanych nieprawidłowości należą m.in.:

1. Nieautoryzowany dostęp do wyciągów z kont bankowych osób prywatnych, a także instytucji państwowych oraz firm prywatnych.
2. Nieautoryzowany dostęp do publicznych dokumentów oraz akt.
3. Pozyskiwanie oraz wykorzystywanie dokumentów urzędowych oraz informacji niejawnych przez osoby nieupoważnione lub pracowników cywilnych.
4. Analogiczne postępowanie dotyczące dokumentacji medycznej osób prywatnych.
5. Celowe i świadome działania zmierzające do zatarcia powyższej aktywności.

Ministerstwo oczekuje przesłania do dnia 14 bieżącego miesiąca pełnego i szczegółowego raportu zawierającego wszelkie fakty powiązane z tymi nieprawidłowościami, jak również listy osób za nie odpowiedzialnych, a także dokładnego ustalenia zakresu i natury ich odpowiedzialności.

W załączeniu podajemy numery stosownych ustaw wraz z datą wejścia w życie oraz wskazaniem przepisów prawnych, które zostały naruszone.

E-mail – kończący się bez żadnej frazy grzecznościowej – podpisała

Eugenia Viscardi, tytułująca się „Asystentką Ministra”. Ponad zapisanym drukowanymi literami imieniem i nazwiskiem znajdował się nieczytelny podpis.

Brunetti skończył czytać, rzucił tylko okiem na drugą kartkę, zawierającą odpowiednie numery i daty ustaw. Zdjął okulary i schował je z powrotem do kieszeni. Gestem demonstrującym, jak trudno mu powściągnąć odrazę, odłożył papiery z powrotem na biurko Patta.

– Pan w to uwierzył, *dottore*? – zapytał, nie kryjąc ostentacyjnego zdumienia. – W coś takiego? – powtórzył i machnął ręką nad wydrukiem, leżącym teraz na biurku przełożonego.

– Oczywiście, że w to uwierzyłem – niemalże wykrzyknął Patta. – Nadal w to wierzę. Na litość boską, to przyszło z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Doprawdy? – zapytał lekkim tonem Brunetti, który uznał, że lepiej będzie to rozegrać jako farsę niż jako tragedię. – Dlaczego pan tak uważa?

Patta sięgnął po list i przysunął go do siebie. Podniósł kartki, sprawdził adres nadawcy i postukał energicznie palcem wskazującym w nagłówek: rzeczywiście, figurowała w nim nazwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Cóż, to zapewne zasługa osoby, która wysłała ten e-mail – stwierdził Brunetti. Czy powinien to zagrać jak scenę z Oscara Wilde’a, czy może z Pirandella? Dodał zdecydowanie bardziej stanowczym tonem: – Czy mogę zaproponować, żebyśmy zrobili jedną rzecz, by oszczędzić sobie czasu, nakładów pracy i być może bardzo niezręcznej sytuacji?

– Co takiego? – zapytał zaskoczony Patta.

– Sprawdzili, czy w biurze ministra spraw wewnętrznych pracuje Eugenia Viscardi.

– Nie bądź idiotą, Brunetti. Oczywiście, że pracuje. – Dla podkreślenia prawdziwości swoich słów Patta znowu postukał kartkę, tym razem kostkami palców. – Przecież to podpisała.

– Ktoś to podpisał, *dottore*, nie wątpię w to ani przez chwilę. Ale czy osobą tą była Eugenia Viscardi i czy kobieta o nazwisku Eugenia Viscardi

pracuje dla ministra spraw wewnętrznych, to zupełnie inna sprawa.

– To niemożliwe – oznajmił Patta nienaturalnie donośnym głosem.

– W takim razie może to sprawdzimy? – podsunął Brunetti.

– W jaki sposób?

– Prosząc o pomoc osobę, którą jak się obawiam, uważa pan za odpowiedzialną za te nieprawidłowości. Ona może sprawdzić, czy ta kobieta naprawdę tam pracuje.

– Signorinę Elettrę? – zapytał ciszej Patta.

– Tak. Dla niej to tak proste jak... – Brunetti nie znalazł odpowiedniego porównania, więc był zmuszony dokończyć: – Dla niej to bardzo proste.

Ponieważ nie chciał obserwować wahań zwierzchnika, wyjrzał przez okno i zauważył, że z winorośli porastającej mur ogrodu po drugiej stronie kanału zaczynają już opadać liście.

– Dlaczego w to nie wierzysz? – zapytał Patta tonem, który jak na niego był dość rzeczowy.

– Przede wszystkim, ze względu na ogólnikowość pomówień – odparł Brunetti. – Oraz niewskazanie konkretnej osoby. To zbiorcze oskarżenie wszystkich pracujących w komendzie. Poza tym jaką wartość ma podpis, który został zeskanowany i przesłany elektronicznie? Czy jest wiarygodny lub ważny w świetle prawa?

Patta przysunął e-mail do siebie i przeczytał go jeszcze raz. Westchnął i przestudiował treść po raz trzeci, przesuwając palcem po pięciu punktach z oskarżeniami.

Popatrzył na Brunettiego.

– Proszę usiąść, *commissario*.

Gdy Brunetti usiadł, Patta oznajmił:

– Już przy pierwszym czytaniu wydawało się, że jest z tym coś nie tak. Widać wyraźnie... brak precyzji, szczególnie w zamieszczonych oskarżeniach. No i oczywiście ten wątpliwy podpis.

Brunetti zwrócił uwagę na bezosobową formę. Signorze Viscardi,

asystentce ministra spraw wewnętrznych, której podpis stał się teraz wątpliwy, nie przypisywano już tych oskarżeń. „Zamieszczono” je, co nie wymagało wskazania konkretnej osoby za nie odpowiedzialnej. Nawet zmiana biegów w maserati nie nastąpiłaby aż tak gładko.

Brunetti siedział i obserwował przełożonego w pełnym szacunku milczeniu. Zastanawiał się, kiedy dokona się całkowity zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i *vice-questore* ujawni, że od początku coś mu tutaj śmierdziało.

– Wiesz, od początku coś mi tutaj śmierdziało – powiedział Patta. – Cieszę się, że dzielasz moje podejrzenia. – Uśmiechnął się do Brunettiego jak do cenionego współpracownika. Rozparł się wygodniej w fotelu i zaplótł ręce na piersi. – Masz jakieś propozycje?

– Wobec czegoś takiego mamy tylko jeden wybór, nie uważa pan, *signore*? Patta skinął mądrze głową, ale nic nie powiedział.

– Signorina Elettra sprawdzi, czy ta kobieta, Viscardi, w ogóle istnieje – Brunetti wykonał gest w stronę leżących między nimi kartek, jakby leżała tam sama signora Viscardi, już na w pół zdemaskowana pod ich baczny spojrzeniem. – Jeśli nie istnieje, możecie się wraz z signoriną Elettrą zastanowić nad najlepszą odpowiedzią na taki rodzaj ataku. – Brunetti pamiętał o użyciu liczby mnogiej i starannie uwolnił się od jakiegokolwiek uczestnictwa w podejmowaniu tej decyzji.

– Właśnie tak zamierzam zrobić – potwierdził Patta. Wziął telefon i wybrał numer. Obaj usłyszeli dzwonek w gabinecie za drzwiami. Jeden, drugi, a potem Patta powiedział: – *Signorina*, czy mogę panią poprosić tutaj na moment?

Signorina Elettra, której reakcja na e-mail była jeszcze bardziej sceptyczna niż Brunettiego, a komentarze jeszcze bardziej jadowite, zdołała w bardzo krótkim czasie rozwiać obawy *vice-questore*. Gdy Patta, teraz już święcie oburzony, zażądał odpowiedzi na pytanie, kto też mógł zrobić coś takiego i wysłać mu fałszywe pogróżki, nie podsunęła żadnych sugestii. Powiedziała jednak, że może uda jej się wykryć prawdziwego nadawcę w ciągu kilku dni. Patta był zadowolony, jak zawsze, gdy ktoś obiecywał, że zrobi coś za niego.

Signorina Elettra i Brunetti razem opuścili gabinet przełożonego, żegnani z wylewną życzliwością. Gdy tylko zamknęli za sobą drzwi, signorina Elettra powiedziała Brunettiemu, że ze swoim przyjacielem Giorgiem na razie nie udało jej się skontaktować, więc minie kilka dni, zanim zdobędzie wykaz rozmów prowadzonych za pomocą kart telefonicznych. Nie zdążył zapytać, dlaczego dla odmiany nie spróbowała kanałów oficjalnych, by pozyskać te informacje, bo sama mu wyjaśniła, że standardowa procedura trwa co najmniej dziesięć dni.

Śledztwo w sprawie śmierci Cavanisa chwilowo stanęło w miejscu. Odciski palców oraz DNA pozostawione na narzędziu zbrodni nie pasowały do żadnego rekordu w policyjnej kartotece. Nikt z sąsiedztwa nie widział niczego niezwykłego w pobliżu domu Cavanisa w dniu morderstwa. Mężczyźni, którzy go znali, słyszeli tylko ogólnikowe plotki – przekazane przez barmana – o spodziewanej odmianie losu Cavanisa.

W tym czasie młody turysta spadł ze skutkiem śmiertelnym z tarasu mieszkania, które wynajmował wraz z dziewczyną, niedługo po kłótni, jaka miała miejsce w restauracji. Sprawa pochłonęła na kilka dni uwagę policji, aż wreszcie ustalono, że do kłótni doszło między rzeczoną parą a młodym Włochem, który zachowywał się nachalnie wobec tej kobiety. Co więcej, gdy chłopak spadł z tarasu, dziewczyna była po drugiej stronie ulicy, w kawiarni.

Okazało się przy tym, że ich pobyt w mieszkaniu nie został zgłoszony do stosownego urzędu, a to naruszenie zasad stało się przyczyną śledztwa w sprawie właścicieli nieruchomości, znanego aptekarza oraz jego żony, pracującej w wydziale ksiąg wieczystych.

Policja niebawem odkryła, że byli oni właścicielami w sumie sześciu wynajmowanych turystom mieszkań, zaś żaden dochód nie był zgłaszany władzom. Należał do nich także liczący dwadzieścia trzy pokoje hotel butikowy, który prosperował w budynku niewidzialnym dla wydziału ksiąg wieczystych oraz Guardia di Finanza, mimo że korzystał z elektryczności, gazu, telefonów, wody oraz usług wywozu śmieci, a także zatrudniał jedenaście osób, zarejestrowanych w urzędzie skarbowym i płacących podatki.

Guardia di Finanza niebawem uwolniła policję od konieczności dalszego zajmowania się aptekarzem i jego żoną. Gazety, chociaż zaczęły się nudzić relacjami o tej parze, nie wróciły już do morderstwa przy Rio Marin. Pietra Cavanisa zastąpili lichwiarze, siedemset kilogramów kokainy znalezionej w ciężarówce na promie z Patras oraz mołdawska grupa przestępcza działająca w regionie Wenecja Euganejska.

Brunetti czuł się zobligowany powiedzieć hrabinie, że poczynili bardzo niewielkie postępy w śledztwie w sprawie tego, co stało się z jej wnuczką. Uznał, że robi to osobiście i ku swojemu zaskoczeniu, gdy pojawił się późnym popołudniem pewnego dnia u hrabiny, zastał tam zarówno Griffoni, jak i Manuelę. Z jeszcze większym zaskoczeniem dowiedział się, że Griffoni od czasu do czasu przyprowadzała Manuelę do babki i zostawała na herbatę, a potem odprowadzała młodą kobietę do domu.

Następnego dnia spotkał Griffoni w komendzie na parterze i zapytał ją o to, zanim poszli do swoich gabinetów. Wyjaśniła, że ponieważ klacz, na której jeździła w Preganziol, w świetle prawa nadal należała do hrabiny, w dowód wdzięczności mogła przynajmniej towarzyszyć Manueli raz w tygodniu, gdy szła odwiedzić swoją babkę.

– O czym rozmawiacie z Manuelą? – zapytał Brunetti.

– Och, o ludziach, których widzimy na ulicy, albo o wystawach

sklepowych, albo o mijających nas psach, no i o tym, jak miło jest wpaść do jej babci na herbatę.

– Co tydzień?

– Mniej więcej – odparła Griffoni. – Manuela jest szczęśliwa.

– Dlatego, że cię widzi? – zapytał Brunetti.

– Dlatego, że może wyjść z domu, być wśród ludzi, widzieć życie na ulicach. Jej matka nie dogaduje się najlepiej ze swoją byłą teściową i nie lubi tam chodzić. Dzięki temu Manuela może ze mną odwiedzać babkę, która jest bardzo szczęśliwa z powodu tych wizyt. – Griffoni nie odpowiedziała wprost na jego pytanie.

– A co z koniem? – zapytał, przystając na chwilę, ponieważ weszli już na drugie piętro.

– Jeżdżę tam co pewien czas i zabieram ją na spacer. Petunia jest bardzo kochana.

– Czy to ci wystarcza? – zapytał Brunetti, nie do końca pewien, o co właściwie mu chodzi. Myślał o srebrnym medalu i koniu dostatecznie dobrym, by nadawał się na olimpiadę.

– W tym momencie naszego życia – tak. Obie miałyśmy czas uspokoić się i nauczyć podchodzenia do różnych spraw z większym dystansem – powiedziała Griffoni. Ta uwaga przypomniała Brunettiemu, jak niewiele wiedział o jej życiu poza komendą.

– Jeździsz na niej po terenie tej ujeżdżalni? – zapytał.

– Pierwsze kilka razy Enrichetta prosiła mnie, żebym tak robiła, więc się do tego stosowałam. Ale potem obie zaczęłyśmy się nudzić, a Enrichetta zauważyła to, więc powiedziała mi, żebym pojechała do lasu. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie. – To o wiele lepsze.

– Nie pamiętam, żeby był tam jakiś las – zauważył Brunetti.

– Cóż, to raczej plantacja, gdzie rosną drzewa przeznaczone do wycinki, ale pomiędzy nimi są ścieżki – wyjaśniła, kreśląc dłońmi zarysy drzew i ścieżek. – Poza tym nie robimy nic nadzwyczajnego, tylko kłusujemy i poznajemy się nawzajem.

– Jak w małżeństwie? – zapytał.

– Tak, trochę tak – roześmiała się Griffoni. Zanim Brunetti zdążył coś dodać, zbliżył się do nich porucznik Scarpa, zatrzymując się na szczycie schodów. Brunetti przesunął się tak, by Scarpa nie musiał przechodzić pomiędzy nimi.

– Dzień dobry, *commissari* – powiedział Scarpa, uniósł dłoń i obdarzył Brunettiego nietypowym uśmiechem.

– Poruczniku – przywitali go oboje i milczeli, dopóki jego kroki nie ucichły na dole.

– Wróć już do pracy – stwierdziła Griffoni i skrzyła do swojego gabinetu, więc Brunetti poszedł do siebie na górę.

Tej nocy temperatura spadła gwałtownie i zaczęło padać, a potem lać jak z cebra, wanny, basenu. Następnego dnia rano ludzie czekali z wyjściem z domu, dopóki z ulic nie zniknęła cieniutka warstewka lodu, w który zamienił się deszcz. Powietrze się oczyściło i po raz pierwszy od kilku miesięcy przez okno w kuchni Brunetti widział Dolomity.

Włożył buty na najgrubszej podeszwie, stosowne raczej na wycieczki górskie niż wyjście do miasta, lecz gdy doszedł do rogu ulicy, postanowił wsiąść na *vaporetto*, świadomy tego, że po raz pierwszy w życiu na jego decyzji zaważyło ryzyko upadku.

Gdy dotarł do komendy, policjant przy drzwiach powiedział mu, że signorina Elettra prosiła, by zajrzał do jej gabinetu. Nie – odpowiedział na pytanie Brunettiego – *vice-questore* jeszcze nie pojawił się w pracy.

Brunetti wszedł do gabinetu i od razu domyślił się, że signorina Elettra ma mu do zakomunikowania coś nieprzyjemnego. Przywitali się, a Brunetti podszedł do okna, by oprzeć się o parapet. Dzisiaj nie było słońca, które grzałoby mu plecy. Był wtorek, signorina Elettra wstąpiła na targ kwiatowy, więc jej gabinet rozjaśniały kolory tulipanów – trzy, a nawet cztery wazony, i bez wątplenia kilka kolejnych w gabinecie Patty.

Z szacunku dla jesieni signorina Elettra włożyła ciemnopomarańczową

węlnianą sukienkę z ciemnoczerwoną apaszką zawiązaną na szyi. Jej włosy, zazwyczaj lśniąco kasztanowe, dzisiaj wydawały się mieć więcej rudych pasemek.

– Nie spodoba się to panu – powiedziała, czym nie zaskoczyła go ani trochę.

– Co takiego?

– Mam dwie sprawy, *commissario*. Minął już tydzień, a Giorgio nadal się ze mną nie skontaktował. Tylko jego mogę poprosić o wykaz rozmów z tych kart telefonicznych. – Uprzedziła jego pytanie: – Tak, wysłałam oficjalną prośbę, ale minie jeszcze co najmniej tydzień, zanim się doczekamy jakiegokolwiek odpowiedzi.

Brunetti miał przeczucie, że ta wiadomość była mniejszym złem.

– Miejmy nadzieję, że Giorgio zdoła szybciej znaleźć te informacje – powiedział z uśmiechem, by pokazać, że nie jest zły ani niecierpliwy.

– Um – mruknęła signorina Elettra. – Natomiast dottor Gottardi przejrzał wszystkie akta dotyczące sprawy Manuelli i uważa, że nie ma tam niczego, co należałoby zbadać. – Uniosła obie ręce, jakby się poddawała.

– Co jeszcze? – zapytał Brunetti, który nie pozwolił sobie na uwagę, że dottor Gottardi nie okazał się uległym sędzią.

– Przeczytał pański raport o możliwym związku wypadku z morderstwem Cavanisa i nie widzi powodów, by zakładać, że te zdarzenia są powiązane. Nie on prowadzi tę sprawę, ale stwierdził, że nie nastąpiły w niej szczególne postępy.

– I co z tego wynika? – zapytał grzecznie Brunetti. Signorina Elettra nie powiedziała jeszcze niczego, co by mu się szczególnie nie spodobało, więc bez wątpienia niemila niespodzianka kryła się w tym, co zamierzał teraz zrobić sąd.

– Z tego wynika sugestia, by zajął się pan nowymi wątkami, które się pojawiły w związku ze sprawą chłopaka, który spadł z tarasu.

– Przepraszam? – zdziwił się Brunetti. – Wydawało mi się, że to śledztwo przejęła Guardia di Finanza.

– Tak, samą sprawę owszem – wyjaśniła signorina Elettra. – Ale sędzia uważa, że powinno zostać wszczęte oddzielne dochodzenie dotyczące prywatnych hoteli i kwater turystycznych. – Mówiąc to, wzrok miała utkwiony w klawiaturze komputera.

Brunetti przypomniał sobie nagle ilustrację z książki, którą czytał swoim dzieciom, gdy były jeszcze małe: kot siedzący na gałęzi drzewa, powoli znikający, tak że pozostawał tylko niepokojący uśmiech. To nasunęło mu na myśl niemalże serdeczny uśmiech spotkanego na schodach Scarpy.

– To robota Scarpy, prawda?

Signorina Elettra popatrzyła na swój komputer i skinęła głową.

– Tak przypuszczam. Najprawdopodobniej.

– Jak mu się to udało? – zapytał Brunetti, pewny, że będzie to wiedziała.

– Zna pan dottora Gottardiego?

Brunetti miał okazję rozmawiać z sędzią, który sprawował ten urząd zaledwie od kilku miesięcy, ale nigdy dotąd nie współpracował z nim przy żadnej sprawie.

– On pochodzi z Trydentu? – zapytał.

– Tak.

– Co jeszcze powinienem wiedzieć?

– Jego rodzina jest zaangażowana w lokalną politykę.

Dlaczego mu to mówiła? Kogo obchodziła rodzina sędziego, skoro jedyną istotną rzeczą było to, że okazał się dostatecznym głupcem, by uwierzyć w to, co mówił mu Scarpa?

– Jego ojciec przez trzydzieści lat był burmistrzem, a teraz ten urząd pełni jego starszy brat.

– Skąd pani wie to wszystko? – dopytywał Brunetti z trochę większym naciskiem niż zazwyczaj.

– Powiedział mi to najlepszy przyjaciel – odparła i poklepała monitor komputera.

To uspokoiło Brunetti.

– Co jeszcze powiedział pani ten przyjaciel?

– Że cała rodzina to separatyści. Chcą znowu stać się częścią Austrii.

– Jaki to ma związek z dottorem Gottardim?

Signorina Elettra strzepnęła niewidoczny pyłek ze swojej sukienki.

– Wszyscy oni są bardziej prawicowi od Ligi Północnej, szczególnie w kwestii imigrantów. Dlatego Gottardi w rodzinie uchodzi za buntownika. Wszyscy są równi, imigrantów i południowców należy traktować z szacunkiem.

Brunetti jęknął cicho, gdy zastanowił się nad logicznym wnioskiem, jaki wynikał z jej słów.

– Czyli wyłazi ze skóry, by okazać, że traktuje innych z szacunkiem? To z kolei oznacza, że czuje się zobowiązany szanować Scarpę, ponieważ on jest Sycylijczykiem.

– To lekka przesada – stwierdziła signorina Elettra.

– Ale mimo wszystko prawda – upierał się Brunetti.

Poszukiwał jakiegoś rozwiązania, nie tylko dlatego, że śledztwem w sprawie hoteli mogli się zająć niżsi stopniem policjanci – Pucetti z pewnością był dość inteligentny, by sobie poradzić – ale również z tej przyczyny, że nie zamierzał zostać marionetką Scarpy.

Popatrzył na signorinę Elettrę, zapytał ją, czy ma jakieś propozycje, i po jej minie poznał, że ma.

Pamięć podsunęła mu nagłą inspirację.

– Ten fałszywy e-mail z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych?

Skinęła głową z uśmiechem.

– Jest pani w stanie udowodnić, że stoi za tym Scarpa?

– Być może nie w sposób, który wystarczyłby przed sądem, ale rzeczywisty nadawca e-maila od signory Viscardi nie ukrył się dostatecznie dobrze. – Ostatnie słowa wypowiedziała z wyraźną odrazą. – Można drogę tego e-maila z łatwością prześledzić aż do komputera porucznika.

Szachista bez wątpienia postrzegałby tę sytuację w kategoriach pionków

i wież przesuwanym po planszy, by zdobyć przewagę w tym czy w tamtym miejscu. Ruch należał teraz do Brunettiego, ale zamiast zadowolić się przesunięciem skoczka o dwa pola do przodu i jedno w prawo, by zbić skoczka przeciwnika, miał ochotę zbić Scarpę kijem po głowie.

– Jakie mamy możliwości? – zapytał.

Uśmiechnęła się, gdy użył liczby mnogiej, i ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

– Obawiam się, że nie pozostawił mi żadnych możliwości – oznajmiła tonem znużonej przedszkolanki. Czas na miłe słowa już minął. – Myślę, że go zastraszę.

– Jak?

– Powiem mu, że zamierzam wysłać wiadomość do prawdziwej asystentki ministra, która jest moją znajomą, i poprosić, by przekazała ją bezpośrednio ministrowi.

– Naprawdę jest pani znajomą? – zapytał Brunetti, zdumiony tym, jak szeroko rozciągała się sieć jej kontaktów.

– Oczywiście, że nie. – Po chwili dodała jednak: – Ale przynajmniej ona istnieje, w odróżnieniu od Eugenii Viscardi.

– Co takiego mu pani powie?

– Że prześledziłam e-mail i dotarłam do prawdziwego nadawcy. – Uśmiech signoriny Elettry był bardzo szeroki i bardzo zimny. Jej twarz przybrała jednak poważniejszy wyraz, gdy dodała: – Nie potrafię sobie wyobrazić, jak mógł być tak nieostrożny.

Czy usłyszał w jej głosie rozczarowanie?

– Nie docenił pani – powiedział Brunetti, traktując to jako komplement.

– Owszem – zgodziła się. – Bardzo mi to uwłacza.

Brunetti zaniechał ostrożności w dobieraniu słów.

– Co mu pani każe zrobić?

– Powiedzieć doktorowi Gottardiemu, że zastanowił się jeszcze raz nad sprawą Manueli i uznał, że wyciągnął zbyt pochopne wnioski. Być może

byłoby słuszne kontynuować dochodzenie w sprawie tego, co naprawdę spotkało dziewczynę.

– Z jakiego powodu?

– Aby uniknąć oskarżenia, że nie biorąc pod uwagę, iż mogła paść ofiarą przestępstwa, dottor Gottardi dyskryminuje osobę niepełnosprawną. Chociaż podejrzewam, że dottor Gottardi nazwałby ją „sprawną inaczej”.

Brunetti poczuł, że jego mózg zaczyna się zataczać.

– Czy naprawdę uda się pani wymóc to na Scarpie? – zapytał ze wzrastającym podziwem dla licznych talentów signoriny Elettry.

– Jest bardzo sprytny – powiedziała. – Przypuszczam, że w przyszłości będzie ostrożniejszy, chociaż nie sądzę, by mu to pomogło na dłuższą metę. Porucznik jest wystarczająco sprytny, ale najwyższa pora, by pojął, do jakiego stopnia nie ma szans.

– Wydaje się pani bardzo pewna siebie – zauważył Brunetti.

– Lubi atakować słabszych i jak większość osób tego typu nie ma instynktu zabójcy. Kiedy natrafia na kogoś, kto się go nie boi, zaczyna się wycofywać. Zrobi to, co mu powiem – zakończyła z niezachwianą pewnością.

– A jeśli nie? – zainteresował się Brunetti.

– Wtedy go zniszczę.

Signorina Elettra postawiła na swoim. Porucznik Scarpa znalazł okazję, by podzielić się swoimi wątpliwościami z dottorem Gottardim, sędzia z kolei zaproponował Brunettiemu, by kontynuował śledztwo w sprawie nieszczęsnej niepełnosprawnej dziewczyny oraz mordercy mężczyzny, który ją uratował. Dochodzenie w sprawie hoteli i kwater prywatnych zostało przekazane innemu komisarzowi – na szczęście nie Claudii Griffoni, gdyż zachodziła obawa, że może nie być dostatecznie dobrze zorientowana w splątanej sieci powiązań i zależności pomiędzy tymi, którzy występowali o stosowne pozwolenia w tym stale rozwijającym się sektorze usług, oraz tymi, którzy je przyznawali.

Jednakże po odzyskaniu sprawy Brunetti nie poczynił większych postępów. Okazało się, że Cavanis miał niewielu przyjaciół. Korzystał z *telefonino* rzadko i w bardzo ograniczonym zakresie. Poza telefonami tuż przed śmiercią dzwonił nie tak dawno do ciotki w Turynie oraz do Stefana dalla Lany, a także pod numer z prognozami na temat czasu i wysokości *acqua alta* oraz do kina Giorgione. Przez ostatnie cztery miesiące dzwonił do niego tylko ciotka i dalla Lana.

Brunetti poczuł niemalże ulgę, gdy w rejonie Lista di Spagna, niedaleko stacji kolejowej, odkryto burdel, którego właściciele i personel byli pochodzenia chińskiego, a on został poproszony przez innego sędziego o przyjrzenie się tej sprawie. Była w gruncie rzeczy banalna, ale przesłuchania i następujące po nich aresztowania, które doprowadziły do dalszych przesłuchań i aresztowań, pozwoliły na przetrzebieenie sieci zorganizowanej prostytucji w całej prowincji.

Ponieważ śledztwo rozrastało się i pochłaniało coraz więcej czasu, Brunetti coraz rzadziej myślał o martwym mężczyźnie i zgrozie, jaką poczuł na widok noża.

W drugim tygodniu listopada, późnym popołudniem w dniu świętego Marcina, Brunetti wyszedł z komendy wcześniej, z nadzieją, że zobaczy na ulicach dzieci bębniące w garnki i patelnie i proszące przechodniów o drobne. Robił tak samo jako chłopiec, chociaż nigdy się nie dowiedział, skąd wziął się ten zwyczaj. To nie robiło mu żadnej różnicy – wtedy był szczęśliwy, że dostaje pieniądze, a teraz był szczęśliwy, że może je dawać.

Napotkał trzy czy cztery grupki i rozdzielił w każdej po kilka euro, wywołując w dzieciach zachwyt swoją szczodrością. Gdy skręcił w Ruga Rialto, ujrzał zaskoczony nadchodzące z naprzeciwka Griffoni i Manuele. W pierwszej chwili wziął je za matkę z córką, idące tuż obok siebie, pogrążone w rozmowie i roześmiane. Griffoni uśmiechnęła się na jego widok, a Manuela grzecznie wyciągnęła rękę, jakby spotkała go po raz pierwszy.

– Właśnie odwiedziłyśmy hrabinę – wyjaśniła Griffoni. Odwróciła się do swojej towarzyszki i zapytała: – Manuele, ile kosztują te szare buty na wystawie? Mogłabyś sprawdzić?

Wystawa była po drugiej stronie *calle*, więc Manuela musiała się trochę oddalić, żeby się jej przyjrzeć. W tym czasie Griffoni powiedziała:

– Przypuszczam, że nie muszę ci tego mówić, ale hrabina cały czas wypytuje mnie, czy się czegoś dowiedzieliśmy. – Ton jej głosu był całkowicie neutralny, bez cienia przygany.

– Co u niej? – zapytał Brunetti.

– Jest stara i słaba – odparła Griffoni.

– Jak często się z nią widzisz?

– Nie tak często, jak by chciała – powiedziała Griffoni.

Przerwało im pięciu chłopców, którzy otoczyli ich i zaczęli uderzać drewnianymi łyżkami o dna trzymany garnków, wykrzykując tę samą piosenkę o San Martino, którą w swoim czasie powtarzał Brunetti. Dał im dwa euro, a oni podbiegli, by okrążyć starszą parę, wyraźnie tak samo zachwyconą tym hałasem jak Brunetti.

Spojrzał znowu na Griffoni.

– A co z... – złapał się na tym, że zamierzał nazwać Manuele „dziewczyną”, więc zmienił to szybko na „Manuela”, ale mimo wszystko wyszło niezręcznie. Poczul się zakłopotany.

– Uwielbia wychodzić, spacerować i oglądać różne rzeczy – powiedziała Griffoni.

Tymczasem Manuela wróciła do nich.

– Nie widziałam ceny – powiedziała, patrząc na przemian na Griffoni i Brunettiego. – Czy to źle? – zapytała, a Brunetti skrzywił boleśnie usta, usłyszawszy bezradność w jej głosie.

– Oczywiście, że nie, *Tesoro* – powiedziała Griffoni i wzięła ją pod ramię.
– Jeśli są na tyle głupi, żeby nie wystawiać cen, to my nie jesteśmy zainteresowane i tyle.

Manuela uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– To nie dla nas, tak?

– Zupełnie nie dla nas – potwierdziła Griffoni i poklepała ją po ramieniu. Zmieniła ton na dorosły, taki, jakiego używa się, by uczyć dzieci dobrych manier. – Pożegnaj się z *dottorem Brunettim*, Manuelo.

Gdy młoda kobieta posłusznie wykonała polecenie, Griffoni dodała, formułując swoją uwagę tak, by zwracać się tylko do niej:

– Być może spotkamy go jeszcze u twojej babki.

– Byłoby bardzo miło – powiedziała grzecznie Manuela, co dowodziło, że znała dobre maniery.

Griffoni pożegnała się grzecznie i oddaliły się razem *calle*, kierując się w stronę domu Manueli.

Powodowany prawdopodobnie poczuciem winy, Brunetti zadzwonił następnego dnia do hrabiny. Powiedziała, że cieszy się, słysząc go, i że jeśli *commissario* znajdzie czas, byłaby niezwykle wdzięczna, gdyby zajrzał do niej i z nią porozmawiał. Sama zaproponowała, by dołączył do Claudii i Manueli na szybki lunch w środę, jeśli nie ma nic przeciwko temu, by odwiedzić ją w dzień roboczy.

Brunetti widział, z jaką wprawą Claudia radzi sobie z Manuellą, i nie miał

wątpliwości, że znajdzie sposób, by on mógł porozmawiać z hrabiną sam na sam, dlatego się zgodził. Obiecał, że porozumie się z Claudią i przyjdzie razem z nimi.

Gdy zadzwonił do Griffoni, zaproponowała, żeby spotkali się o pierwszej na Campo San Giacomo dell’Orio, dzięki czemu będzie mogła pójść z Manuelą inną trasą.

– Ona nie lubi zmian, nawet w tak prostych sprawach jak wybór ulicy, którą mamy iść – wyjaśniła Griffoni. – Ale jeśli jej powiem, że to dlatego, że musimy cię zabrać po drodze, zgodzi się.

Brunetti powstrzymał się od uwagi, jak ważne nadal wydaje się wychowanie młodych panien, ale Griffoni musiała inaczej zrozumieć jego milczenie, ponieważ powiedziała:

– Ona nie nauczy się mnożenia i dzielenia, ale nauczyła się szanować wygodę innych.

– Spotkamy się o pierwszej – powiedział Brunetti i rozłączył się.

Ponieważ Brunetti obiecał, że przed lunchem zajrzy z Paolą na targ Rialto, w środę wyszedł z komendy na długo przed umówioną porą. Późnym rankiem po północnej stronie nieba pojawiły się ciemne chmury, a pogoda pogorszyła się jeszcze, kiedy Paola i Brunetti zastanawiali się, co ma być wieczorem na kolację. Sprzedająca ryby Cristina zaproponowała *rombo*, ale Paoli nie spodobał się jego wygląd, więc zapytała o okonia morskiego, gatunek ryby, który spotkał się z entuzjastyczną aprobatą Cristiny.

– Pomyślałam, że podam go z karczochami – oznajmiła Paola z namysłem.
– A do tego czarny ryż z groszkiem.

– *Primavera* Findusa jest bardzo dobra – brzmiała sybillińska wypowiedź Cristiny na temat mrożonek warzywnych. Wybrała dużą rybę i podała ją pomocnicy do oczyszczenia.

Kiedy skończyli zakupy i wstąpili na kawę do Do Mori, zaczęło padać.

– Mimo wszystko planujesz się z nią zobaczyć? – zapytała Paola, gdy wyszli na deszcz.

– Tak.

– Nawet w tym deszczu? – Paola zawiązała sobie chustkę na włosach i wyjęła z torby na zakupy składany parasol.

– Tak, obiecałem, że się pojawię.

– To dobrze. – Paola podała mu parasol. – Weź, przyda ci się.

– A co ty zamierzasz zrobić? – zapytał.

– Pobiec – odparła i wykonała swój zamiar. Znalazła się poza jego zasięgiem, zanim zdążył zareagować.

Na ulicach było niewielu przechodniów, więc Brunettiemu zostało oszczędzone uczestnictwo w zwykłej w takich razach żonglerce parasolami i przepychaniu się, gdy ludzie starali się wyminąć w wąskich *calli*. Wenecjanie przez lata wykształcili technikę polegającą na przechylaniu parasola w stronę ściany i przesuwaniu się pod nią, by minąć osobę nadchodzącą z przeciwka. Turyści mieli dwie techniki: albo parli naprzód pomimo wszelkich ludzkich przeszkód, albo zatrzymywali się i kulili pod ścianą najbliższego budynku, z parasolem otwartym przed sobą, co spychało cały ruch pieszny na środek ulicy.

Brunettiemu nie przyszło do głowy, że mógłby odwołać spotkanie z hrabiną. Nie spieszyło mu się do tej rozmowy, ale to nie był dostateczny powód, by jej uniknąć. Kiedy wszedł na *campo*, zobaczył Manuelę i Griffoni szukające niepewnego schronienia pod markizą baru. Griffoni miała na sobie coś, co wyglądało jak męski kapelusz wędkarski, ciemnoniebieski i z szerokim rondem, doskonale chroniący głowę przed deszczem. Resztę jej sylwetki spowijał obszerny płaszcz od deszczu sięgający za kolana.

Schował się wraz z nimi pod markizą, podał rękę Manueli i przywitał się z obiema paniami.

– Cóż za prześliczny dzień – powiedział. Ta uwaga sprawiła, że Manuela wybuchnęła radosnym śmiechem.

– Ale przecież pada – zdołała powiedzieć, zanim pokonał ją kolejny wybuch śmiechu. Gdy się uspokoiła, popatrzyła na Griffoni. – Twój przyjaciel jest bardzo zabawny, prawda?

– Owszem, jest – potwierdziła Griffoni i poklepała Brunettiego po ramieniu. Podmuch wiatru szarpnął markizą nad ich głowami. – Chodźmy już, twoja babcia na nas czeka.

– Czy kiedy tam będziemy, dzień zrobi się naprawdę prześliczny? – zapytała Manuela.

Griffoni w krótkich kaloszach przestąpiła z nogi na nogę.

– Na pewno, kiedy tylko zamkną się za nami drzwi – powiedziała.

Kiedy ruszyli dalej, Brunetti poszedł przodem. Skręcił bez zastanowienia w prawo, przeszedł przez most, wyminął kilkoro turystów i obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Griffoni i Manuela idą tuż za nim. Przed nimi rozciągała się prosta i pusta ulica, więc przyspieszył kroku, zaś deszcz przybrał na sile. Jeszcze jeden most, jeszcze jedna krótka ulica, szybki skręt w prawo, a potem w lewo, następny most. Aby chronić plecy przed deszczem, trzymał rączkę parasola niemal poziomo, opierając ją na ramieniu. Od czasu do czasu za sobą słyszał wybuchy śmiechu.

Z przeciwnej strony zbliżało się dwóch mężczyzn w płaszczach przeciwdeszczowych. Opuścili parasole, by chronić się przed porywistym wiatrem wiejącym im w twarz, więc Brunetti widział tylko ich nogi i ciężkie buty na grubej podeszwie. Deszcz przemoczył im już spodnie, podobnie jak jego spodnie od tyłu, poniżej płaszcza.

Brunetti przechylił parasol na bok i wyminął ich szybko, ale w tym momencie zbłąkany poryw wiatru uderzył go w twarz, zalał wodą i niemal wyrwał mu parasol z rąk. Za sobą usłyszał ostry trzask parasola wywracanego na drugą stronę. Zaraz potem coś szturchnęło go od tyłu w lewą stopę. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że nagły podmuch przyniósł do niego zmasakrowany parasol. Jeden z mężczyzn podszedł, by podnieść swój parasol, ale gdy zobaczył, że jest połamany, kopnął go pod ścianę. Drugi spojrzął na parasol leżący pod nogami Brunettiego i nawet nie próbował się schylić. Obaj odwrócili się i ruszyli dalej.

Brunetti odsunął parasol nogą i w tym momencie usłyszał przenikliwy krzyk, jakby zwierzęcia w pułapce. Manuela i Griffoni nadal były za nim. Brunetti upuścił swój parasol, odwrócił się i pobiegł do nich. Zobaczył

Manuelę opartą plecami o wystawę sklepu i wyciągającą przed siebie ręce. Była oszalała z przerażenia.

– Nie! – wrzasnęła, a to słowo zabrzmiało jak syrena alarmowa. – Nie!

Spróbowała się cofnąć, ale mogła tylko wejść na wąski kamienny występ pod oknem warzywniaka i starać się przycisnąć jak najmocniej do szyby.

– Nie! – Znowu jak syrena ostrzegająca przed *acqua alta*, to słowo przybierało na sile z każdą sekundą. Griffoni znalazła się przy niej i przytrzymała jej uniesione ramiona. Odwróciła szybko głowę i zobaczyła dwóch mężczyzn, znieruchomiałych, z przemoczonymi włosami i mokrymi twarzami, z których szok stał wszystkie emocje.

– Zostaw mnie. Przestań. Proszę. – Głos Manueli z każdym słowem stawał się bardziej przeraźliwy.

Brunetti pospiesznie podszedł do mężczyzn i uniósł dłonie na wysokość piersi, by odsunąć ich od obu kobiet.

– Proszę, panowie. Proszę się cofnąć – powiedział. Dopiero teraz spojrzął na ich twarze i rozpoznał w jednym z nich Sandra Vittori-Ricciardiego, który patrzył na Manuelę jak na obraz przedstawiający własne ukrzyżowanie. Drugi mężczyzna wydawał się zaskoczony i przestraszony, wyraźnie nie rozumiał, co się dzieje. Ale Vittori-Ricciardi nie panował nad paniką malującą się na jego twarzy, podczas gdy Manuela nadal krzyczała, teraz już niezdolna do artykułowania słów, jedynie do wydawania zwierzęcych dźwięków.

Brunetti wszedł pomiędzy mężczyzn, wziął każdego z nich pod ramię, obrócił i poprowadził ich dalej od kobiet. Deszcz lał bezustannie. Wszyscy trzej byli przemoczeni, lecz zdawali się tego nie dostrzegać.

Brunetti zwrócił się do mężczyzny, którego nie znał.

– *Signore*, jestem policjantem i chciałbym poprosić o dokument tożsamości. – Wyjął portfel i pokazał swoją legitymację policyjną, co nie było potrzebne, ponieważ mężczyzna już sięgał po własny portfel.

– Chwileczkę – odezwał się Vittori-Ricciardi. – Żaden z nas nic nie zrobił. Nie musimy się przed nikim legitymować. Jeśli chce się pan na coś przydać,

niech pan zajmie się tą wariatką, zanim kogoś zaatakuje. – Odwrócił się i zaczął się oddalać.

– Zaczekaj, Sandro – odezwał się jego przyjaciel. – Nie mamy powodów, żeby sprawiać trudności. – Z tymi słowami podał swoją *carta d'identità* Brunettiemu, który wyjął notes i długopis, a następnie pochylił się, by osłonić kartkę przed deszczem, i zapisał jego nazwisko. Gianluca Bembo, urodzony i nadal zamieszkujący w Wenecji.

– *Grazie*, signor Bembo – powiedział Brunetti i oddał mężczyźnie dokument. – To mi wystarczy. – Za sobą nadal słyszał rozpaczliwe szlochanie, więc odwrócił się, a obaj mężczyźni ruszyli w swoją stronę.

Gdy wrócił do Griffoni, zobaczył, że przytula płaczącą Manuellę. Pochyliła się, by pocałować ją w czubek głowy.

– Wszystko już dobrze, Manuella – powiedziała. – Pójdziemy teraz do twojej babci i napijemy się czegoś ciepłego. – Manuela przestała płakać, ale nie poruszała się, więc Griffoni leciutko potrząsnęła jej ramieniem. – Chodź, to już blisko. Będziemy tam za kilka minut.

Manuela wymamrotała coś z twarzą przyciśniętą do ramienia Griffoni, więc ani ona, ani Brunetti nie zrozumieli jej słów.

– Nie rozumiem cię, *Tesoro*. – Griffoni odsunęła się odrobinę, by zrobić jej miejsce, chociaż nadal obejmowała ją ramieniem. – Co powiedziałaś?

– To zły człowiek – powtórzyła Manuela. – Skrzywdzi mnie.

Griffoni spojrzała szybko na Brunettiego, który patrzył w przestrzeń i oczami duszy widział nie tęgiego Sandra Vittori-Ricciardiego, ale – jak sobie nagle przypomniał – jego młodszą, szczuplejszą wersję, na zdjęciu wiszącym na ścianie w domu Enrichetty degli Specchi. Długowłosego, gładko ogolonego młodego mężczyznę, który kogoś mu wtedy przypominał.

– Masz może plastikową torbę? – zapytał Griffoni.

Już chciała odpowiedzieć, ale urwała w pół słowa, otworzyła torebkę i wyciągnęła charakterystyczną żółtą reklamówkę Mascari.

Brunetti nawet jej nie podziękował, cofnął się parę kroków i przez jeszcze suchą chusteczkę podniósł połamany parasol, porzucony przez Vittori-

Ricciardiego. Starannie owinał rączkę chusteczką i wsadził parasol, rączką naprzód, do plastikowej torby, którą zacisnął w taki sposób, żeby nie wlewała się do niej woda. Wrócił do Griffoni, która rozmawiała ze spokojniejszą już Manułą.

– Teraz pójdziemy do twojej babci – usłyszał.

– A ten zły człowiek? – zapytała Manuela.

Griffoni spojrzała na Brunettiego, który powiedział:

– Nie bój się, Manuelo. Już nigdy więcej go nie spotkasz.

Gdy znaleźli się w domu hrabiny, oddali płaszcze pokojówce, która zniknęła, by je odwiesić, a następnie wróciła i poprowadziła ich do ciepłego salonu, gdzie hrabinę zaszokowało to, jak bardzo byli przemoczeni. Wszyscy troje zostawiali na podłodze wilgotne ślady. Hrabina uniosła ręce, gdy Manuela próbowała coś powiedzieć, i poleciła jej i Griffoni znaleźć jak najszybciej Galę i poprosić ją o suche ubranie i ciepłe kapcie. Nalegała też, by Brunetti zdjął marynarkę, przemoczoną na ramionach, zaproponowała, by powiesił ją na oparciu fotela. Brunetti wsunął pod fotel torbę z parasolem i zawiesił marynarkę na oparciu. Hrabina podeszła i przesunęła fotel tak, by tył marynarki znalazł się bliżej grzejnika.

Zanim zdążyła o coś zapytać, Brunetti powiedział, że musi zadzwonić. Zdumiona jego obcesowością hrabina wskazała drzwi do mniejszego pokoju, więc Brunetti wszedł tam i zamknął drzwi za sobą. Wyjął z tylnej kieszeni *telefonino* i zadzwonił do Bocchese. Powiedział mu, gdzie jest, a następnie poprosił, by przysłał motorówką człowieka, który zabierze dowód rzeczowy związany ze sprawą morderstwa Cavanisa.

– Nie mówisz chyba o narzędziu zbrodni – stwierdził kwaśno Bocchese.

– Może mieć na sobie te same odciski palców – odparł Brunetti. – I to samo DNA.

– Ojej – wykrzyknął Bocchese z podziwem. – A gdzież to znalazłeś ten dowód rzeczowy?

– Leżał w kałuży na Calle del Tintor.

– No jasne – wykrzyknął Bocchese. – Jakże niemądrzy byliśmy, że nie przyszło nam do głowy tam go szukać.

– To rączka parasola, który leżał na deszczu – wyjaśnił Brunetti. – Ale podniosłem go przez chusteczkę, nieużywaną, a potem włożyłem do

plastikowej torby.

– Guido, kiedy Patta w końcu cię wyrzuci, możesz pracować u mnie w laboratorium.

– Dziękuję – odparł Brunetti i zaraz zapytał: – Ile to potrwa?

– Odciski palców będą jutro, to proste. DNA dopiero za jakiś czas. Wiesz chyba o tym.

– Odciski palców powinny wystarczyć – zauważył Brunetti.

– Znam prawników – odpowiedział Bocchese. – Jego adwokat powie, że deszcz je zniekształcił.

– To możliwe?

Bocchese roześmiał się.

– Jeśli powołają mnie na biegłego, nie zostawię na nim suchej nitki.

– Wyślij łódź, dobrze?

– Kiedy tylko odłożę słuchawkę.

Brunetti rozłączył się. Gdy wrócił do drugiego pokoju, zastał hrabinę siedzącą w jednym z niewygodnych foteli, z głową odchyłoną na oparcie. Spojrzała na niego bez słowa, a on zobaczył w przyćmionym świetle, jak bardzo poszarzała ze zmęczenia.

– Ktoś po to przyjdzie – powiedział, wskazując zniszczony parasol w żółtej reklamówce.

– Jeśli da pan to Gali, ona dopilnuje, żeby zostało przekazane właściwej osobie – odparła hrabina.

Brunetti zabrał torbę, wyszedł na korytarz i znalazł pokojówkę, drobną i wyglądającą na życzliwą. Gdy sięgnęła po torbę, wyjaśnił, że to dowód policyjny i że może go dotknąć tylko mężczyzna, który po niego przyjedzie.

Pokojówka popatrzyła dziwnie na Brunettiego, jeszcze dziwniej na torbę i powiedziała, że może postawić pakunek na podłodze przy drzwiach, a ona wskaże go mężczyźnie, który po niego przyjdzie. Brunetti może się niczym nie martwić. Potem z małego stolika wzięła gruby sweter i podała mu, z pytaniem, czy nie chciałby go sobie narzucić na ramiona. Brunetti chciał.

Wrócił do saloniku, gdzie Griffoni i Manuela siedziały teraz przy dużym okrągłym stole, ubrane w obszerne swetry zastępujące te, w których przyszły. Griffoni spojrzała na niego szybko. Manuela siedziała w milczeniu, nie odrywając wzroku od rąk splecionych mocno na kolanach. Nie zwracała uwagi na pozostałych ani na to, co stało na stole.

Tym razem stół ugiął się pod stosem kanapek z chleba bez skórki, ciastem ze śliwkami, ciasteczkami kruchymi, eklerami i wreszcie tortem z bitą śmietaną, przybranym świeżymi truskawkami.

Hrabina siedziała blisko tortu, Brunetti zajął ostatnie wolne miejsce, u jej boku. Z ulgą dostrzegł pękata kryształową szklanę, a niedaleko nienapoczętą butelkę whisky, tego samego gatunku co podczas wcześniejszej wizyty.

Griffoni naląła herbaty hrabinie i sobie, spojrzała na Brunettiego, a gdy skinął głową, napełniła także jego filiżankę. Potrzebował czegoś gorącego.

Brunetti przyglądał się hrabinie – gdy siedziała koło niego, wydawała mu się dużo niższa. Chociaż minęło niewiele ponad miesiąc, a jej twarz wyglądała tak samo, hrabina stała się niższa i drobniejsza.

– Czym mógłbym pani służyć, hrabino? – zapytał, wskazując smakołyki ustawione przed nimi.

Zanim odpowiedziała, spojrzała w prawo, Griffoni mówiła właśnie coś do Manueli, która nadal na nic nie reagowała.

– Prawdą – powiedziała cicho.

– Najpierw coś zjedzmy i wypijmy – zaproponował.

Sięgnęła po butelkę, zerwała banderolę i odkręciła zakrętkę.

Posiłek upłynął niemalże w milczeniu. Griffoni od czasu do czasu robiła jakąś uwagę na temat jedzenia i zachęcała Manuellę, by spróbowała ciasta z bitą śmietaną. Kiedy skończyli, Griffoni wstała i wzięła Manuellę za rękę.

– Chodź, *Stella*, pójdziemy do Gali i powiemy jej, jakie to wszystko było pyszne. Na pewno bardzo się ucieszy.

Ten pomysł wyraźnie się spodobał Manueli, więc wstała, zostawiając coca-colę i niedojedzony kawałek ciasta.

Kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Brunetti powiedział:

– Po drodze tutaj Manuela zobaczyła na ulicy mężczyznę i straciła panowanie nad sobą. Jego widok śmiertelnie ją przeraził.

– Jak to?! – zapytała ostro hrabina.

– Krzyczała, żeby nie robił jej krzywdy, i usiłowała uciec przed nim. – Zanim hrabina zdążyła zadać to pytanie, Brunetti dodał: – Zna pani tego mężczyznę.

– Kto to taki?

– Alessandro Vittori-Ricciardi.

Hrabina odstawiła filiżankę na spodek z taką siłą, że wylało się z niej trochę herbaty.

– To niemożliwe. Manuela nigdy go nie spotkała.

– Przeraził ją jego widok – powtórzył Brunetti, ignorując jej uwagę. – Jak to się stało, że zaczął dla pani pracować?

– Poleciał mi go nasz wspólny znajomy.

– Kto taki?

– Roberto Severino.

Brunetti znał go. Architekt. Porządny człowiek.

– Alessandro zrobił dla nas bardzo wiele dobrego – powiedziała hrabina. – Ma styl i wyobraźnię.

Oraz powody do niepokoju – pomyślał Brunetti.

Hrabina czekała, czy powie coś jeszcze. Ponieważ milczał, zapytała gwałtownie:

– Jak mogła być tak przerażona widokiem kogoś, kogo nie zna?

– Czy kiedy Vittori starał się o pracę u pani, przedstawił swoje CV?

– Oczywiście.

– Czy napisał w nim coś o jeździectwie?

– Jeździectwie?

– Jeździe konnej.

– Nie wydaje mi się. Zapamiętałabym to.

– Czy nadal ma pani jego CV?

– Na pewno, w biurze fundacji – odparła hrabina. – Dlaczego pan o to pyta?

– Mężczyzna bardzo do niego podobny był na zdjęciu w domu właścicielki stajni, w której jest trzymany koń Manueli.

– A kto widział to zdjęcie? – zapytała hrabina, nie próbując ukryć sceptycyzmu.

– Ja, kiedy pojechałem tam z Claudią.

– Jest pan pewien, że to był on?

– Nie miałem czasu, by porozmawiać z właścicielką stajni.

Hrabina nic nie odpowiedziała.

– Czy może mi pani powiedzieć, jak dobrze go pani zna? – zapytał Brunetti. Ponieważ hrabina milczała, sformułował swoje pytanie inaczej: – Jak często go pani widuje?

Brunetti pomyślał o tym, jaką poufałością wykazywał się Vittori-Ricciardi wobec hrabiny.

– Trzy lub cztery razy do roku.

– To wszystko?

– Dlaczego miałabym się z nim widywać częściej? – zapytała.

– Sposób, w jaki przemawiał na obiedzie, sugerował, że tak właśnie jest.

– To były pochlebstwa. Stale je słyszę – odparła, jakby mówiła o prognozie pogody. – Obecnie jesteśmy w trakcie podejmowania decyzji, kto dostanie kontrakt na wyremontowanie kolejnych ośmiu mieszkań. – Urwała, ponieważ Claudia i Manuela wróciły do pokoju.

– *Nonna* – odezwała się Manuela. – Gala powiedziała, że ty dałaś jej przepis na tort z truskawkami. – Wizyta w kuchni sprawiła, że jej niepokój zniknął lub został zapomniany.

Hrabina uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do Manueli, która natychmiast podeszła, by ją przytrzymać.

– To przesada, *cara*. Moja przyjaciółka podała taki tort na deser, więc poprosiłam ją, by zapisała mi przepis, ponieważ pomyślałam, że mogłoby ci to ciasto smakować. Cieszę się, że trafiłam. – Ponieważ Manuela nic nie odpowiedziała, hrabina zapytała wprost: – Smakowało ci?

– Tak, było bardzo smaczne, *Nonna*. Claudia też tak uważa – dodała Manuela, spoglądając na przyjaciółkę. – Prawda, Claudio?

– Tak, było wspaniałe.

– Ale nie chciałaś drugiego kawałka. – Manuela wydawała się zbita z tropu.

– Jestem zaproszona dzisiaj na obiad, więc musiałam zostawić trochę miejsca – wyjaśniła Griffoni, co najwyraźniej usatysfakcjonowało Manuellę. Spojrzała na zegarek i dodała: – Chodźmy, Manuelo. Przestało już padać i czas wracać do domu.

Brunetti podniósł się, zostawiając połowę whisky w szklance, powiesił sweter na oparciu fotela i włożył marynarkę. Jakby wezwana telepatycznie, Gala pojawiła się w drzwiach z ich wilgotnymi płaszczami. Wymieniono pocałunki i uściski dłoni, a chwilę potem wracali piechotą na Campo Santa Maria Mater Domini. Deszcz ustał, ale ochłodziło się, lub może tylko tak im się zdawało z powodu wilgotnych ubrań.

Manuela wyrwała się trzymającej ją za rękę Griffoni i przebiegała z jednej strony *calli* na drugą, zaglądając na wystawy i omijając kałuże, cały czas najwyżej kilka kroków przed nimi.

– Czy mówiła coś o tym, co się wydarzyło? – zapytał Brunetti przyciszonym głosem.

Griffoni zaprzeczyła ruchem głowy.

– Kiedy przyszliśmy do hrabiny, zdążyła się już uspokoić. Sam widziałeś, że ucieszyła się na widok ciasta, a w kuchni, przy Gali, zachowywała się tak jak zwykle.

Manuela wróciła, na chwilę wzięła Griffoni pod ramię, ale po kilku krokach odłączyła się od niej i znowu ruszyła przodem.

– Myślisz, że to właśnie on ją zaatakował? – zapytała Griffoni.

Brunetti uniósł brwi w sposób, który mógł oznaczać absolutnie wszystko.

– Wydaje mi się, że pracował w stajni, być może w czasie, gdy ona tam jeździła. Na ścianie jest zdjęcie mężczyzny, który go przypomina. Kiedy go widziałem po raz pierwszy, nosił brodę, więc nie rozpoznałem go na fotografii, ale teraz, kiedy się ogolił, jestem tego pewien. – Brunetti zwolnił i odwrócił się do Griffoni. – Ty też go już widziałaś.

Griffoni zatrzymała się.

– Jak to? Kiedy?

– Był w jednym z tych programów telewizyjnych, które oglądaliśmy. Opowiadał o projekcie, nad którym pracuje, coś związanego z tabliczkami na budynkach, jakimiś zabytkami.

Zauważył, że Griffoni zrozumiała już, do czego zmierza.

– Cavanis miał tylko jeden działający kanał w telewizorze – dodał. – To właśnie na tym kanale on występował.

Zanim zdążył coś jeszcze dodać, Griffoni przerwała mu w pół słowa.

– O to chodziło z Belle Arti. – Złapała go za ramię, by jeszcze wzmocnić wagę swoich słów. – Oni by się zajmowali czymś takim.

– Belle Arti – wyszeptał Brunetti, który przypomniał sobie numer telefonu zapisany na świstku papieru w mieszkaniu Cavanisa. Zdążył już powiedzieć o tym Griffoni.

– Jak on się nazywa? – zapytała głosem, któremu siłą narzuciła spokojne brzmienie.

– Alessandro Vittori-Ricciardi.

Pokręciła głową, z niczym nie kojarzyło jej się to nazwisko. Stali w milczeniu i zastanawiali się nad tym, do czego właśnie doszli. Manuela wróciła do nich, a gdy zobaczyła, że są nieruchomi jak posągi, pomyślała, że to zabawa, więc uniosła jedną rękę w górę, a drugą oparła na biodrze. Trwała tak bez ruchu przez chwilę, aż się tym znudziła i poszła popatrzeć na następną sklepową wystawę.

– Cavanis go rozpoznał – powiedział Brunetti powoli, zastanawiając się już nad kolejnymi implikacjami tych słów.

– Próbował do nich zadzwonić, ponieważ był pijany i nie wiedział, która jest godzina – dodała Griffoni, jakby recytowała drugi wers modlitwy.

– Potem wreszcie się do niego dodzwonił – zakończył litanię Brunetti.

Griffoni odezwała się głosem znacznie bardziej ponurym niż wcześniej:

– To wszystko są poszlaki, Guido. Dobry adwokat zmiażdży nas w kwadrans.

– To właśnie jego parasol zabrałem – przypomniał Brunetti. – Teraz ma go Bocchese.

Griffoni nic nie odpowiedziała. Manuela podbiegła do nich, żeby zapytać, czy jeszcze daleko do domu, i ucieszyła się, gdy się okazało, że to już blisko. Kiedy znowu się oddaliła, Griffoni zapytała:

– Co zamierzasz zrobić, zanim Bocchese coś znajdzie lub też nie znajdzie?

Brunetti wyjął komórkę.

– Zadzwonię do Enrichetty degli Specchi i zapytam, czy ma listę ludzi, którzy piętnaście lat temu pracowali w stajni.

Sandro Vittori, który w przyszłości miał się stać Vittori-Ricciardim, rzeczywiście pracował w stajni w okresie, gdy Manuela jeździła tam konno. Do jego obowiązków należało sprzątanie boksów i prowadzenie w kółko po padoku koni, na których jeździli najmłodszy uczniowie. Enrichetta degli Specchi znalazła jego podanie o przyjęcie do pracy oraz dokumentację księgową pensji, jaką pobierał przez sześć miesięcy. Zadzwoiła do Brunettiego ponownie, by mu powiedzieć, że znalazła także kopię listu, który jej zmarły mąż wysłał do Vittoriego, gdy zwalniał go z pracy. Na prośbę Brunettiego obiecała, że prześle całość faksem do komendy, ale odczytała kilka fragmentów przez telefon: „...nie dopuszczę, by moja uczennica była traktowana z takim brakiem szacunku...”, „...dziewczęta, które powierzono mojej opiece...”, „...takie zachowania nie będą tolerowane...”.

Signora degli Specchi dodała jeszcze:

– Mój mąż był... skrytym człowiekiem. To znaczy, że potrafił dochować tajemnicy. Jeśli wiedział, której dziewczynce ten mężczyzna się narzucał, nie powiedziałby tego nikomu.

– Dziękuję, *signora* – odparł Brunetti i jeszcze raz poprosił ją o przesłanie listu faksem.

Faks został przesłany, zanim zdążyli wrócić do komendy. List był datowany na dwa tygodnie przed dniem, w którym Manuela wpadła do kanału – Brunetti miał już dość tego określenia. Chociaż odczytane mu frazy były z pewnością mocne, nie opisywały szczegółowo faktycznych działań Vittoriego. „Brak szacunku” i „zachowania, które nie będą tolerowane” – to mogło oznaczać wszystko, od dwuznacznych uwag po próbę gwałtu.

Sędzia Gottardi, na spotkanie z którym Brunetti bardzo nalegał, był jednocześnie sceptyczny i zainteresowany opisem panicznej reakcji Manuely,

gdy spotkali Vittorioego na ulicy. Stwierdził jednak, że nie mogą niczego zrobić, o ile odciski palców lub ślady DNA nie będą pasować.

Brunetti wykorzystał umiejętności, które uzyskał dzięki signorinie Elettrze – całkowicie zgodne z prawem – i sprawdził, czy Vittori lub Vittori-Ricciardi figuruje w policyjnych kartotekach. Nie znalazł niczego na listach skazanych przestępców w poszczególnych miastach, prowincjach oraz ogólnokrajowych, o czym poinformował Gottardiego.

– Ta zwłoka da Vittorioemu czas na wymyślenie wymówek i, w razie potrzeby, przygotowanie alibi – powiedział Brunetti, podejmując ostatnią próbę skłonienia sędziego do działania.

– To nam daje czas na pozyskanie dowodów rzeczowych – odparował Gottardi i na tym rozmowa się skończyła.

Brunetti zadzwonił jeszcze tylko do Griffoni, by powiadomić ją o decyzji Gottardiego, a następnie powlókł się zrezygnowany i w ubraniu nadal wilgotnym do domu.

Nazajutrz, by zająć się czymś w oczekiwaniu na wiadomości od Bocchesego, postanowił wrócić do sprawy chińskich prostytutek, ale odkrył, że wszystkie zniknęły, jakby jakiś kataklizm wymazał je z powierzchni Wenecji Euganejskiej. Okazało się, że kobiety, z których żadna w momencie aresztowania nie miała przy sobie dowodu tożsamości, zostały zwolnione i poproszone o zgłoszenie się następnego dnia z dokumentami. Żadna z nich tego nie zrobiła, a gdy policja w końcu udała się pod podane przez nie adresy – jednym okazał się stragan z warzywami, innym sklep tytoniowy – żadna z osób, które tam zastano, nie wiedziała, o co chodzi.

Włoscy właściciele mieszkań, w których pracowały kobiety, byli zgodnie z przewidywaniami zdumieni odkryciem, iż chiński dżentelmen, który wynajmował wszystkie trzy lokale, przedstawił im fałszywe dokumenty i nie można go było znaleźć. Przez ten czas wszystkie kobiety ulotniły się, podobnie jak mężczyzna, który podpisywał umowy najmu.

Rozważania przerwał Brunettiemu telefon od Bocchesego, który oznajmił wprost:

– Wszystko to, odciski palców i DNA, zostało częściowo zatarte na skutek

deszczu, a poza tym udało nam się znaleźć ślady co najmniej trzech różnych osób. Mogę próbować się upierać, że pasują do śladów na nożu, ale dobry adwokat nie da mi dojść do słowa.

– Dziękuję – powiedział Brunetti, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy. Kolejne wątpliwości. Kolejne dowody nieprzynoszące rozstrzygnięcia.

Stracił poczucie czasu, gdy był zajęty czytaniem akt, więc teraz zdziwił się, że światło dzienne jest już przyćmione, chociaż nadal było zbyt wcześnie, by udać się do domu.

Być może rozmowa z signorem Vittorim z dodanym nazwiskiem rozwiałaby część niejasności. Brunetti wyjął z dolnej szuflady książkę telefoniczną, myśląc o tym, że prosta i pospolita czynność sprawdzania w ten sposób numeru stała się właściwie archaicznym rytuałem.

Znalazł literę V, a potem bez najmniejszego trudu Alessandra Vittori-Ricciardiego – nie było w mieście dwóch osób o takim nazwisku – zamieszkałego w rejonie San Marco. Wybrał numer i usłyszał nagrany głos, proszący o zostawienie wiadomości lub zadzwonienie pod inny numer, który zaraz zostanie podany.

Brunetti wybrał ten numer.

– Vittori-Ricciardi – usłyszał.

– Dzień dobry, *signore* – oznajmił najbardziej przyjaznym głosem Brunetti. – Mówi komisarz Guido Brunetti. Spotkaliśmy się wczoraj.

– Słucham? – odpowiedział mężczyzna.

– Spotkaliśmy się w deszczu, na Calle del Tintor. Był pan z przyjacielem, signorem Bembo. Z pewnością pan to pamięta.

– Ach tak, oczywiście – odparł Vittori-Ricciardi o wiele życzliwszym tonem. – Czym mógłbym panu służyć, *commissario*?

– Byłbym wdzięczny, gdyby znalazł pan dla mnie chwilę – z równą serdecznością odrzekł Brunetti. – Chciałbym wyjaśnić parę drobiazgów.

– Obawiam się, że nie rozumiem – powiedział Vittori-Ricciardi.

Brunetti kontynuował, jakby jego rozmówca w ogóle się nie odezwał.

– To czysta formalność, *signore*, ale chciałbym pomówić o reakcji tamtej kobiety na pana widok.

– Wie pan, że coś jest z nią nie tak – rzucił zapalczywie Vittori-Ricciardi. – Z pewnością nie można traktować poważnie niczego, co ona by powiedziała.

– Czyli zna ją pan? – zapytał lekkim tonem Brunetti.

Vittori-Ricciardi potrzebował chwili, by odpowiedzieć, ale jego głos zabrzmiał pewnie i stanowczo.

– Oczywiście, że ją znam. Jest wnuczką mojej pracodawczyni.

– Ach tak – westchnął Brunetti i dodał, jakby właśnie sobie przypomniał: – Oczywiście.

Czekał, czy jego rozmówca powie coś więcej.

– To znaczy, słyszałem o niej – poprawił się Vittori-Ricciardi.

– I rozpoznał ją pan? – zapytał Brunetti niewinnie.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, dłuższa niż poprzednio.

– Kiedyś ktoś mi ją pokazał.

– Rozumiem – stwierdził spokojnie Brunetti. – Czy znalazłby pan może czas, żeby wpaść tutaj i zamienić ze mną parę słów, signor Vittori?

– Gdzie?

– Do komendy. Tutaj pracuję – wyjaśnił Brunetti całkowicie neutralnym tonem.

– Kiedy?

– Może jutro przed południem? – zaproponował komisarz.

– O której?

– Proszę wybrać odpowiadającą panu godzinę.

– Yhm – powiedział Vittori-Ricciardi, a Brunetti uświadomił sobie, że ma do czynienia z mężczyzną, który jest wprawdzie sprytny, ale nie nadmiernie odważny. Mógłby z łatwością odmówić prośbie Brunettiego, ale tego nie zrobił. – Jedenasta?

– Doskonale, w takim razie będę na pana czekał – oznajmił Brunetti przyjaznym tonem i rozłączył się.

Zaraz potem zadzwonił do Griffoni, ponieważ uznał, że powinna być obecna przy tej rozmowie.

– Vittori-Ricciardi przyjdzie tu jutro o jedenastej – powiedział zamiast powitania. – Chciałbym, żebyś była przy naszej rozmowie.

– W jakim charakterze? – zapytała, co sprawiło, że Brunetti nie mógł się nie roześmiać.

– Atrakcyjnej kobiety, którą będzie się starał oczarować swoim urokiem osobistym.

– Kobiety mniej inteligentnej od niego, która nie będzie mogła oderwać od niego oczu i będzie uważała, że to, co mówi, jest niezwykle ciekawe? – zapytała.

– Właśnie tak.

– Jej zainteresowanie jego osobą ma go zaprzętać na tyle, żeby przestał aż tak bardzo uważać, co odpowiada na twoje pytania, ponieważ będzie zbyt zajęty próbami oczarowania tejże kobiety?

– Tak – potwierdził Brunetti.

– Czy ta kobieta powinna być ubrana w jakiś określony sposób? – zapytała Griffoni.

– To pozostawiam całkowicie w twojej gestii, Claudio – odparł Brunetti i zapowiedział, że spotkają się następnego dnia rano.

Brunetti udał się do gabinetu Griffoni tuż po dziesiątej i nie potrafił powściągnąć uśmiechu na jej widok. Jej włosy przemieniły się w kaskadę złocistych loków podtrzymywanych czarną wstążką, na tyle nieposłusznych, że kilka pukli zdołało się wymknąć. Jej beżowy sweter był akurat na tyle obcisły, by oko konesera mogło dostrzec pod spodem zarys koronki, którą obszyty był stanik. Jej ciemnobrązowa wełniana spódnica miała idealną długość tuż przed kolana, co pozwalało w pełni wykorzystać urok nieskazitelnie idealnych łydek.

Miała skromny makijaż: jasnoróżowa szminka i odrobina kredki do oczu. Mogła z powodzeniem uchodzić za surową policjantkę, ale wyraźne poszlaki zdradzały także inne możliwości.

– *Complimenti* – przywitał ją Brunetti z nieukrywanym podziwem.

– Dziękuję panu, *commissario* – zatrzepotała rękami. – Męska aprobata jest dla kobiety niezwykle ważną rzeczą.

– Wystarczy, Claudio – powiedział Brunetti i zajął miejsce na prostym drewnianym krześle, na którym siadali goście w jej malutkim gabinecie. – Vittori rozpoznał Manuelę – dodał. – Powiedział, że nie mogę wierzyć temu, co ona mówi, ponieważ coś jest z nią nie tak.

Te słowa sprawiły, że z twarzy Griffoni zniknęły wszelkie emocje. Po chwili zapytała:

– Czy powiedział coś jeszcze?

– Nie, właściwie nie. Twierdzi, że nigdy jej nie spotkał, ale że ktoś mu ją „pokazał”. Poprosiłem, żeby przyszedł ze mną porozmawiać, a on się zgodził.

– Czy jest aż takim głupcem? – zdziwiła się Griffoni.

– Jeżeli pojawi się bez adwokata, to owszem, jest.

– Dlaczego zgodził się przyjść? – dociekała.

– Przypuszczalnie nie przyszło mu do głowy, że możemy połączyć jego osobę z Cavanisem – wyjaśnił Brunetti.

Griffoni zastanowiła się nad tym.

– Myślę, że masz rację – powiedziała. – Spotkaliśmy go przypadkiem. To naturalne, że zainteresowała cię tak gwałtowna reakcja, niezależnie od tego, kim jest ta kobieta. Nie ma jednak żadnego powodu, dla którego mielibyśmy go łączyć z morderstwem Cavanisa.

Brunetti spróbował postawić się na miejscu młodszego mężczyzny, zarozumiałego i pewnego siebie.

– Cwany drań. Na pewno wie, że ona nie mogłaby zeznawać.

– Z powodu tego, w jakim jest stanie? – zapytała Griffoni.

– Tak, między innymi dlatego – zgodził się Brunetti. – A także dlatego, że żaden przyzwoity człowiek by tego od niej nie wymagał.

Tym razem to Griffoni skinęła głową. Patrzyła na ścianę nad głową Brunettiego w takim skupieniu, że nie odważył się jej przeszkadzać. W końcu się odezwała:

– To wszystko nie ma sensu, chyba że on ją zgwałcił, prawda?

– Owszem. Jeśli Cavanis przypomniał sobie, co widział, i powiedział mu o tym, Vittori był zmuszony popełnić drugą zbrodnię, by ukryć pierwszą. – Brunetti poczuł odrazę z powodu własnych słów, „był zmuszony”, dopóki nie pomyślał o spektaklu *Makbeta*, który wraz z Paolą widzieli kiedyś w Londynie. Makbet także przekonał sam siebie, że nie miał innego wyboru.

Griffoni spojrzała na zegarek.

– Może powinnam spóźnić się kilka minut? – zapytała. – Dzięki temu będę mogła być jednocześnie zaskoczona i oczarowana.

– Wydajesz się doskonale znać ten scenariusz – zauważył Brunetti.

– W Neapolu tradycje trzymają się mocno, Guido. Taka wizja kobiet nadal pokutuje.

Brunetti wstał i obszedł krzesło, by znaleźć się przy drzwiach.

- Powiem chłopakom na dole, żeby dali ci znać, kiedy on przyjdzie.
- Będę liczyła minuty.

Brunetti pomyślał o uzupełnieniu sceny kilkoma rekwizytami, więc zszedł do gabinetu signoriny Elettry i poprosił ją o wszystkie akta, które jeszcze powinien przeczytać. Zabrał je do swojego gabinetu, cztery lub pięć teczek ułożył po prawej stronie, a resztę spiętrzył w stos przed sobą. Otworzył pierwszą z brzegu – zawierała nowe regulacje dotyczące wykorzystania służbowych pojazdów do celów związanych z wykonywaniem obowiązków, było tego pięć stron. Zamknął ją, odłożył i zaczął się zastanawiać, czemu coś takiego przysłano weneckiej policji.

Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył następną teczkę, zawołał *Avanti* i spojrzał na pierwszą stronę. Policzył powoli do trzech, podniósł wzrok i zauważył stojącego w drzwiach Vittoriego. Był sam, naprawdę przyszedł bez adwokata – Brunettiemu trudno było w to uwierzyć. Uśmiechnął się.

– Ach, signor Vittori – odezwał się, ponownie pomijając drugie nazwisko.
– Dziękuję, że zgodził się pan mnie odwiedzić. – Wstał, ale pozostał za biurkiem, co było świadomym zamanifestowaniem terytorialnej przewagi. Stosował tę metodę wobec gości, którzy mogli ją zauważyć, choćby i nieświadomie. – Proszę bardzo – powiedział, wskazując dwa krzesła przed swoim biurkiem.

Vittori, ubrany w ciemnoszary garnitur z krawatem w żółto-czerwone pasy, trzymał głowę wysoko i patrzył prosto na Brunettiego, ale jego stopy poruszały się z ociąganiem, więc potrzebował chwili, by przejść przez pokój. Broda ukrywała pulchność jego twarzy i zasłaniała podwójny podbródek. Teraz, gdy zniknęła, Brunetti zauważył, że mężczyzna wydaje się nie tylko młodszy, ale i bardziej otyły. Jego usta, dla kontrastu, wydawały się węższe niż wcześniej.

Vittori wyciągnął rękę nad biurkiem, a Brunetti uścisnął ją szybko. Uścisk gościa był mocny, ale ostrożny, jakby sprawdzał, czy Brunetti będzie chciał wygrać – cokolwiek by to miało oznaczać. Komisarz mocno ścisnął jego dłoń i szybko ją wypuścił.

Vittori usiadł, podciągając nogawki spodni, by nie wypychały się na

kolanach. Brunetti przyjrzał się szybko kłapom i ramionom jego garnituru i uznał, że zapewne jest wart takiej ostrożności.

Czekał chwilę, ale Vittori milczał, zapewne tak, jak sobie to zaplanował. Rozglądał się z uwagą i zainteresowaniem, ale także z lekkim zagubieniem, być może mającym unaoczniać jego zdumienie tym, że policja chce rozmawiać właśnie z nim.

– Hrabina opowiadała mi o panu – zaczął Brunetti z życzliwym uśmiechem, przy okazji sugerując, że jest bliskim przyjacielem starej damy. – Jest niezwykle zadowolona z pańskiej pracy i uważa, że ma pan prawdziwy talent.

Vittori spuścił wzrok z pretensjonalnie ostentacyjną skromnością.

– To bardzo miłe z jej strony – powiedział.

– Co takiego pan dla niej projektował? – zapytał Brunetti z autentycznym zainteresowaniem.

– Mieszkania, które będą wynajmowane młodym małżeństwom. Poszczególne piętra *palazzi* zostały podzielone na lokale, staramy się, by te mieszkania były zbliżone pod względem wielkości, rozkładu i wyposażenia.

– Dlaczego? – zapytał Brunetti.

– Żeby nikt nie poczuł się oszukany, gdy zobaczy mieszkanie sąsiadów. Nie powinno być między nimi wyraźnych różnic.

– Jeśli zechce pan zaspokoić moją ciekawość – zaczął Brunetti, który wiedział, że na samym początku przesłuchania należy narzucić wzorzec pytań i odpowiedzi – jaka jest w tym przypadku wysokość czynszu i jak duże są to mieszkania?

– Mają mniej więcej sto do stu dziesięciu metrów kwadratowych – odparł Vittori. – Dwie sypialnie i dwie łazienki. Czynsz wynosi około pięciuset euro miesięcznie.

– Ależ to zupełnie grosze – Brunetti nie musiał nawet udawać zaskoczenia.

– Właśnie o to chodzi – wyjaśnił Vittori z dumnym uśmiechem. – Żeby umożliwić młodym ludziom pozostanie w mieście.

– Cóż, Demetria na pewno będzie szczęśliwa – Brunetti użył swobodnie

imienia hrabiny, jakby był do tego przyzwyczajony. – Wiedziałem, że czynsz jest niski, ale nigdy nie powiedziała mi, jak bardzo. – To z pewnością było prawdą. Brunetti dodał jeszcze z podziwem: – To bardzo szlachetny projekt.

– Należy żałować, że więcej obywateli tego miasta nie idzie w jej ślady – stwierdził Vittori.

– Całkowicie się z panem zgadzam. Sądzę... – Brunettiemu przerwało pukanie do drzwi gabinetu. – *Avanti* – zawołał.

Drzwi się otworzyły i do środka weszła Griffoni. Brunetti zauważył z aprobatą, że znalazła czas, by odświeżyć szminkę.

Vittori stał już zwrócony w jej stronę.

– Ach, signor Vittori – powiedział Brunetti. – Pan pozwoli, że przedstawię moją współpracownicę, komisarz Griffoni.

Claudia zbliżyła się z wyciągniętą ręką. Vittori ujął ją, pochylił się i ucałował powietrze tuż nad dłonią, podczas gdy Griffoni obdarzyła Brunettiego olśniewającym uśmiechem. Vittori najwyraźniej nie zdołał rozpoznać w niej kobiety, którą widział na ulicy w kapeluszu i ociekającą wodą.

– Usiądź, proszę, Claudio – odezwał się Brunetti.

Vittori stanął za drugim krzesłem i odsunął je o kilka milimetrów. Griffoni wygładziła pod sobą spódnicę i usiadła, cnotliwie złączywszy stopy i kolana.

– Signor Vittori opowiadał mi właśnie o swojej pracy – wyjaśnił Brunetti.

– Jest pan architektem, prawda, *signore*? – zapytała Griffoni.

– Cóż – odparł skromnie Vittori. – Mam dyplom architekta, ale muszę przyznać, że wolę projektowanie wnętrz, wykorzystywanie różnych elementów wyposażenia oraz światła, by tworzyć przestrzeń, w której ludzie będą czuli się swobodnie i komfortowo, ale będą też dostrzegać otaczające ich piękno.

– Wy, weneccjanie, macie to szczęście, że wszędzie otacza was piękno – odparła z pełnym podziwu uśmiechem.

Vittori odwzajemnił ten uśmiech. Brunetti zastanawiał się, jak wielkim głupcem jest ten mężczyzna, który w obecności dwojga *commissari di polizia*

wyobraża sobie, że jest Casanovą. Myśli, że jeśli oczaruje Claudię, ona stanie po jego stronie, a nie Brunettiego. Cóż, niech próbuje.

– Tak, z pewnością – przerwał im nagle Brunetti. – Poprosiłem jednak, by pan tu przyszedł, signor Vittori, by pomówić o pańskim przypadkowym spotkaniu z Manuelą Lando-Continui, którego wraz z panią komisarz byliśmy świadkami.

– Ach, czyli to była pani? – zdziwił się Vittori. – Całkowicie wytrącił mnie z równowagi krzyk tej kobiety – wyjaśnił i zaraz dodał: – Inaczej z pewnością bym panią zauważył.

Griffoni znowu się uśmiechnęła, ale z wyraźnym ociąganiem przeniosła wzrok na Brunettiego.

– Czy dla formalności nie powinniśmy nagrywać tej rozmowy, *commissario*? – zapytała, posługując się jego tytułem, podczas gdy on wcześniej zwrócił się do niej po imieniu. W ten sposób podkreślała, że w tym pokoju bez cienia wątpliwości rządzą mężczyźni.

Brunetti uśmiechnął się lekko do Vittoriego.

– Tylko jeśli signor Vittori nie ma nic przeciwko temu – powiedział.

W ciszy, jaka zapadła, Vittori przeniósł wzrok z Brunettiego na Griffoni i uśmiechnął się zachęcająco.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedział.

Brunetti przycisnął guzik na biurku, włączył nagrywanie, podał datę, godzinę i miejsce oraz dodał:

– W rozmowie uczestniczą Alessandro Vittori, komisarz Guido Brunetti i komisarz Claudia Griffoni.

Stos dokumentów, które leżały przed nim, przesunął na bok, przyciągnął fotel bliżej biurka i popatrzył prosto na Vittoriego.

– Signor Vittori – zaczął – wczoraj po południu, na Calle del Tintor, komisarz Griffoni i ja byliśmy świadkami pełnego emocji spotkania pomiędzy panem a Manuelą Lando-Continui. Czy mógłby nam pan powiedzieć, co zaszło?

– Dlaczego nazywa pan to spotkaniem, *commissario*? – zapytał Vittori ze

swobodnym zaciekawieniem. – Szedłem z przyjacielem ulicą, gdy ta kobieta zaczęła krzyczeć na widok mój lub mojego przyjaciela. Musi pan chyba przyznać, że kiedy to się zaczęło, znajdowałem się w sporej odległości od niej, więc nie da się stwierdzić, o którego z nas jej chodziło – w głosie Vittoriego brzmiało autentyczne zdziwienie. – Ostatecznie szliśmy obok siebie.

– Wydawało się, że wskazywała pana – zauważył Brunetti. – Przez cały czas patrzyła na pana.

– Nie wiem, dlaczego jest pan tego tak pewien – oznajmił z wyższością Vittori. – Lało jak z cebra, obaj z przyjacielem byliśmy w płaszczach przeciwdeszczowych, a mimo to przemoczeni do nitki, więc wątpię, czy nawet nasze matki rozpoznałyby nas na pierwszy rzut oka.

Griffoni uśmiechnęła się i zaraz spoważniała. Popatrzyła na Brunettiego.

– Z mojego punktu widzenia ona wskazywała pana, signor Vittori. Powiedział pan, że ją zna.

Vittori uniósł ostrzegawczo rękę.

– Proszę nie wkładać słów w moje usta, *commissario*. Powiedziałem, że ją rozpoznałem, a nie, że ją znam. Widziałem ją parę razy na ulicy, ale nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni. – Popatrzył na Griffoni, jakby u niej szukając potwierdzenia prawdziwości swoich słów.

Skinęła głową, w analogicznym geście uniosła dłoń w stronę Brunettiego, ale musiała cofnąć ją szybkim ruchem i zasłonić usta. Zaczęła kaszleć, najpierw lekko, potem coraz silniej, aż wreszcie pochyliła się i rozkasłała gwałtownie, z trudem łapiąc powietrze. Vittori odwrócił się do niej i położył jej rękę na ramieniu, ale ona nadal kasłała, tak że całe jej ciało zaczęło drżeć. Odsunęła dłoń od ust, by złapać trochę powietrza, ale zaraz zatkała je znowu, co nie zdołało powstrzymać kaszlu.

Vittori, nie wiedząc, co ma zrobić, zachował się jak dżentelmen i podał jej chusteczkę ze swojej butonierki. Griffoni przycisnęła ją do ust i kasłała dalej, ale zdołała skinąć kilka razy głową i unieść dłoń, by pokazać, że wszystko w porządku. Powoli uspokoiła się i usiadła prosto, ciężko oddychając.

– Wszystko w porządku, *signora*? – zapytał Vittori, pochylając się w jej stronę.

Skinęła głową.

– Tak, dziękuję panu – powiedziała cicho i z trudem.

Brunetti widział, że nadal jest czerwona na twarzy, a głos ma całkiem schrypnięty. Nie wiedział, co powinien zrobić, więc mógł tylko poczekać, aż Griffoni zacznie oddychać normalnie.

– Może chciałabyś się napić wody? – zapytał.

Zamachała odmownie ręką i uśmiechnęła się do Vittoriego, jakby propozycja wyszła od niego.

– W takim razie przyjmijmy, że słowa tej młodej damy były skierowane do jednego z panów, signor Vittori. – Brunetti wrócił do poprzedniego tematu. – Twierdziła, że skrzywdził ją pan w jakiś sposób – dodał i poprawił się, zanim Vittori zdążył go skorygować: – Że skrzywdził ją jeden z panów. Czy wie pan może, dlaczego coś takiego powiedziała?

– Może trąciłem ją parasolem – stwierdził Vittori i spojrzał na Griffoni, by zebrać pochwały za swój dowcip.

Brunetti dostrzegł w jej oczach błysk furii, ale być może Vittori zinterpretował ów błysk pochlebnie dla siebie. Uśmiechał się jeszcze, gdy znowu popatrzył na Brunettiego.

Brunetti uznał, że lepiej na razie nie wracać do tematu parasola.

– Signor Vittori – kontynuował – czy jest pan zupełnie pewien, że nigdy wcześniej jej pan nie spotkał, nie pracował pan z nią? Chodzi mi o coś, co pozwoliłoby jej przynajmniej pana rozpoznać, niezależnie od tej zbyt gwałtownej reakcji?

– Jak ktoś taki miałby pracować? – zapytał Vittori odruchowo, wyraźnie zadowolony, że znalazł w słowach Brunettiego coś, co może skrytykować. – Ona jest w takim stanie od dawna – dodał.

Brunetti uśmiechnął się niedomyślnie.

– „Ktoś taki”, signor Vittori? – zapytał.

– Upośledzona kobieta, jeśli wolno mi użyć tak staroświeckiego

sformułowania – oznajmił stanowczo Vittori. Nie potrafiąc ukryć odrazy w głosie dodał: – Siedmiolatka.

– Dziękuję, signor Vittori. Z pewnością zapytam jej babkę, czy już wcześniej zdarzało jej się zachowywać w podobny sposób – powiedział Brunetti, który zauważył, że Vittori zdaje się dostatecznie dobrze zorientowany w historii Manuelli, by oszacować jej mentalny wiek.

– Jestem zaskoczony, że nie zadał pan sobie trudu, by to zrobić, zanim poprosił mnie pan, żebym tu przyszedł – stwierdził Vittori w słusznym oburzeniu niesprawiedliwie oskarżonego człowieka. Zwrócił się do Griffoni: – Chociaż dzięki temu miałem okazję poznać pańską koleżankę.

Mój Boże – pomyślał Brunetti. – Czy dorośli mężczyźni nadal się zachowują w taki sposób?

– Skoro nigdy pan nie poznał Manuelli, to skąd wie pan aż tyle o charakterze jej niepełnosprawności? – zapytała Griffoni, pozwalając, by w jej wymowie pojawił się akcent neapolitański.

Gdyby była szczeniakiem, który ugryzł głaszczącą go rękę, Vittori nie byłby chyba bardziej zaskoczony. Dosłownie odsunął się od niej, usłyszawszy to pytanie, jakby starał się w ten sposób zdystansować od tak niekobiecego zachowania.

– Wszyscy to wiedzą – rzucił. – To znaczy wszyscy wenecjanie. – Zupełnie jakby chciał w ten sposób dać południowcowi do zrozumienia, gdzie jego miejsce.

– Co takiego wiedzą, signor Vittori? – zainteresował się Brunetti.

– Że wpadła do kanału, pewnie była pijana, naćpana albo chciała się zabić, i przebywała pod wodą tak długo, że jej mózg doznał uszkodzeń.

– I dlatego teraz jest siedmiolatką? – zapytała neutralnym tonem Griffoni. – Wie pan bardzo dużo o osobie, której pan w ogóle nie zna.

– Wszyscy w mieście o tym wiedzą – powtórzył i dodał z uśmiechem pełnym samozadowolenia: – Tak jak mówiłem. – Zastanowił się przez chwilę nad tą kwestią. – Poza tym wystarczy na nią spojrzeć, by wiedzieć, że coś jest nie tak.

– Jest pan niezwykle spostrzegawczy – przyznała z uśmiechem Griffoni.

Przez moment Brunetti obserwował, jak instynkt i nawyki biorą górę, gdy Vittori uśmiechnął się, słysząc ten komplement. Zaraz jednak jego uśmiech stał się niepewny i wymuszony.

– Wystarczy spojrzeć na jej twarz, w te puste oczy.

Brunetti był zaskoczony, że Griffoni nie wzdrygnęła się na te słowa.

Griffoni uśmiechnęła się i uniosła głowę, jakby zamierzała snuć jakieś filozoficzne spekulacje, po czym przeszła do rzeczy.

– Zastanawiam się, jaką kobietą by była, gdyby nie wpadła do wody? Gdyby była trzydziestolatką, a nie siedmiolatką. – Opuściła wzrok i popatrzyła na Vittoriego. – Zastanawiał się pan nad tym, signor Vittori?

Vittori zamarł, jego twarz przemieniła się w bezmyślną maskę, a Brunettiego przebiegł zimny dreszcz, gdy uświadomił sobie, że Vittori nigdy nie zadawał sobie tego pytania. Piętnaście lat minęło dla niego, podczas gdy Manuela pozostawała uwięziona w bursztynie niezmienności. A on nigdy się nad tym nie zastanawiał.

Cisza przedłużała się. Brunetti poczuł, jak jego serce i umysł kamienieją na widok tego mężczyzny, a gdy spojrział na Griffoni, zobaczył w jej oczach ponurą determinację. Vittori siedział z lekko uchylonymi ustami, jakby próbował znaleźć nowy sposób oddychania.

– Dlaczego miałbym się nad czymś takim zastanawiać? – zapytał w końcu.

Gwałt, usiłowanie zabójstwa, morderstwo – Brunetti pomyślał o takim eskalowaniu zbrodni. Ale tym, co budziło jego najgłębszą odrazę, był fakt, że Vittori najwyraźniej mówił to, co myślał: dlaczego miałby zwracać sobie głowę tym, co się stało z Manuellą?

Brunetti popatrzył na architekta.

– Mieszkam tutaj całe życie i nigdy wcześniej jej nie widziałem. – Urwał, jakby musiał rozważyć inną możliwość, i kontynuował z wymuszonym uśmiechem: – Oczywiście może chodzić o to, że mieszkamy w zupełnie różnych częściach miasta.

Vittori wyprostował się na krześle i spojrział na Griffoni, jakby była osobą,

która postanowiła usiąść na *vaporetto* na miejscu obok niego, chociaż reszta miejsc pozostawała wolna.

– Rzadko mam powody, by udawać się do Santa Croce – powiedział.

Brunetti siłą woli powstrzymał się przed spojrzeniem na Griffoni. Nie wiedział, czy od razu rzuci się na tego mężczyznę, który właśnie przyznał, że wie, gdzie mieszka osoba, której nie zna, czy też poczeka na dalszy ciąg przesłuchania.

– Chodziło mi tylko o to – zaczął Brunetti, zwracając się do niego jak mężczyzna do mężczyzny – że ona mogłaby wnieść przeciwko panu oficjalną skargę. Powiedzieć coś swojej matce lub babce, które z pewnością zapytałyby nas, co wiemy o tym zajściu. W takim przypadku byłbym zobowiązany powtórzyć to, co widziałem i słyszałem.

Vittori uniósł ręce w geście rezygnacji.

– Jak to by miało być możliwe, skoro jest przygłupia? Kto by jej uwierzył?

Brunetti nie skorzystał z okazji.

– Chodzi o to, jak to może wpłynąć na pańską reputację. Tak jak pan mówił, pracuje pan dla jej babki. Nie potrafię przewidzieć, jak ona na to zareaguje.

– Ale przecież hrabina nie uwierzy jej, prawda? – zapytał z oburzeniem Vittori.

– Manuela jest jej wnuczką – przypomniał Brunetti, sugerując w ten sposób, że nie da się przewidzieć, do jakiego stopnia ludzie mogą reagować przesadnie, gdy w grę wchodzi rodzina. Poza tym kobiety są okropnie sentymentalne, nieprawdaż?

– Tym bardziej nie powinna jej uwierzyć – oznajmił Vittori. – Jeśli hrabina miała z nią do czynienia przez te wszystkie lata, powinna wiedzieć, jaka jest jej wnuczka. – Milczał przez chwilę, zanim dodał gniewnie: – Tu nie chodzi tylko o moją reputację, stawką jest także mój honor. – Odetchnął szybko dwa razy i wybuchnął: – Sam pomysł, że miałbym napaść... Doprawdy, to absurdalne.

Nie będę patrzył na Claudię. Nie będę patrzył na Claudię. Nie będę patrzył

na Claudię – powtarzał sobie Brunetti, zmuszając się, by nie odrywać wzroku od Vittoriego.

Architekt wszedł teraz całkowicie w rolę i oznajmił z oburzeniem:

– Jak ona śmie rzucać takie oskarżenia? Jak ona śmie?

Brunetti zaczekał chwilę, by zdrowy rozsądek mógł mu przyjść z pomocą, i zauważył:

– Niestety trudność polega na tym, że w obecnych czasach ludzie mają zwyczaj wierzyć kobiecie.

– Ale ona nie jest kobietą. Jest tylko dzieckiem – stwierdził Vittori, nie próbując już dłużej ukrywać złości. – Nikt by jej nie uwierzył.

Brunetti miał właśnie odpowiedzieć, gdy zadzwonił telefon. Zobaczył numer signoriny Elettry, więc odebrał od razu.

– Sì – powiedział krótko.

– Właśnie dzwonił Giorgio. Ostatnie połączenie z kart znalezionych w śmieciach Cavanisa zostało wykonane rano w dniu, w którym został zamordowany, na numer domowy mężczyzny, który w tej chwili jest u pana. Ósma czterdzieści trzy, trwało sześć minut. Wykonano je z budki telefonicznej odległej o dwa mosty od domu Cavanisa. – Wypowiedziawszy te słowa, rozłączyła się.

Brunetti złożył dłonie tuż przed sobą na biurku, tak jak robił to pierwszy *questore*, którego był podwładnym, gdy wzywał Brunettiego na omówienie sprawozdania rocznego. Pozwolił sobie na szybki rzut oka na Griffoni, która siedziała z rękami złożonymi na kolanach. Zauważył na rękawie jej swetra małe wybrzuszenie – jak przypuszczał, była to chusteczka Vittoriego. Mieli już więc ślady, które nie zostały zatarte przez deszcz.

– Signor Vittori – zaczął poważnym i niezbyt przyjaznym tonem. – Chciałbym teraz odłożyć na bok ogólnikowe oskarżenia rzucone wczoraj na ulicy i pomówić o wydarzeniach z przeszłości.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o to, jak ona wpadła do wody – powiedział Vittori, co miało zabrzmieć ironicznie, ale zabrzmiało niemalże agresywnie.

– Nie, chodzi mi o znacznie bliższą przeszłość – odparł lekko Brunetti. – Mówię o poranku, w który zadzwonił do pana Pietro Cavanis. – Spojrzał na Vittoriego, którego twarz straciła jakikolwiek wyraz. – Czy może pan to sobie przypomina, signor Vittori?

Vittori starał się okazać brak zainteresowania pytaniem, ale nie szło mu to najlepiej. Jego głowa odchyliła się parę milimetrów, usta zacisnęły się w grymasie, który w innych okolicznościach można by uznać za oznakę urażonej dumy lub irytacji. Gdyby nie zgolił brody, to leciutkie wyduęcie warg mogłoby ująć uwagi Brunettiego i Griffoni.

Brunetti, naśladujący dawnego *questore*, pochylił głowę i przez chwilę wpatrywał się w swoje dłonie. Kiedy znowu spojrzął na Vittoriego, zobaczył, że również on patrzy na własne dłonie, splecione na kolanach. Brunetti popatrzył na Griffoni, która skinęła głową, ze stężoną twarzą, i dała znak, że oddaje prowadzenie Brunettiemu i będzie go wspierać.

– To był chyba czwartek, tak? – zapytał spokojnie Vittori, nie podnosząc

głowy.

– Nie, to była niedziela – poprawił go Brunetti i podał dokładną datę.

– Niedziela... chyba byłem wtedy w domu.

– Nie pamięta pan? – zapytał Brunetti.

Vittori milczał przez chwilę, żeby się nad tym zastanowić.

– Wydaje mi się, że nie wychodziłem tego dnia.

Brunetti nie zwrócił uwagi swojego rozmówcy na to, że nie zapytał nawet, kim jest Pietro Cavanis.

– Mam sporo pracy do skończenia, więc często zabieram coś do domu – wyjaśnił Vittori. Dodał tonem, jakim jeden przeciążony obowiązkami biurokrata zwróciłby się do drugiego: – Wie pan, jak to jest.

Brunetti zignorował to stwierdzenie.

– Czy pamięta pan rozmowę z signorem Cavanisem? – zapytał.

Vittori popatrzył na niego, jakby Brunetti jakimś cudem był w stanie czytać mu w myślach.

– Pamiętam, że z nim rozmawiałem, ale bez żadnych szczegółów – odpowiedział, nie próbując ukrywać tego, co w jego mniemaniu miało być odebrane jako lekkie oburzenie.

– Ta rozmowa trwała sześć minut – dodał Brunetti, jakby miał nadzieję, że w ten sposób pobudzi jego pamięć.

Vittori znowu zaczął się przyglądać swoim dłoniom, szukając zadowolającej odpowiedzi. Brunetti wykorzystał tę okazję, by spojrzeć na Griffoni. Między nią a Vittorim mogła się znajdować ściana, tak niewielką uwagę na niego zwracała.

– Nie wykluczam tego – odpowiedział w końcu Vittori. – Ludzie potrafią dzwonić do mnie bardzo wcześnie.

– O której? – zainteresował się Brunetti.

– Och – zdziwił się Vittori. – Nie podawał pan godziny?

– Nie, ale jeśli odświeży to pańską pamięć, rozmowa rozpoczęła się o ósmej czterdzieści trzy, czyli rzeczywiście wcześnie – odparł Brunetti.

– Tak, tak. – Vittori przeciągnął te dwa słowa. – Rzeczywiście. – Nie odrywał wzroku od Brunetti, jakby obawiał się, co mogłoby się z nim stać, gdyby spojrzął na Griffoni.

Brunetti przypomniał sobie serial telewizyjny, który oglądał całe wieki temu, to znaczy chyba ze trzydzieści lat wcześniej. Pojawiały się w nim człekokształtne gady podszywające się pod ludzi. Gdy zostawały zabite, ludzka powłoka rozpadała się i odsłaniała ogromnego jaszczura, który kurczył się i obumierał. Vittori tracił swoją powłokę naturalnej arogancji i wydawało się, że pod spojrzeniem Brunetti staje się coraz mniejszy, jakby się kurczył.

Vittori westchnął głęboko, zaczął coś mówić, i znowu westchnął. Milczał przez dłuższy czas, poświęcając całą uwagę swoim dłoniom, które teraz zaciskał mocno, splótłszy palce.

Gdy Brunetti uznał, że Vittori nie zamierza niczego powiedzieć, postanowił zmienić temat.

– Signor Vittori, wiemy, że pracował pan w stajni i znamy treść listu, jaki otrzymał pan od signora degli Specchi.

Vittori, który i tak siedział nieruchomo, teraz zamarł. Brunettiemu wydawało się, że usłyszał cichy jęk, jaki mógłby wydać mężczyzna podnoszący coś ciężkiego.

– Ludzie, którzy tam wówczas pracowali – ciągnął spokojnie Brunetti – z pewnością pamiętają pana i pana ewentualne... nietypowe zachowanie. – Obserwował, jaki efekt te słowa wywarły na Vittorim.

Vittori nadal wpatrywał się w swoje dłonie jak w objawienie, aż wreszcie spojrzął znowu na Brunetti.

– Ktoś zobaczył mnie w telewizji – powiedział w końcu. – Zadzwoił z nieprawdopodobną historią i powiedział, że chce pieniędzy, bo inaczej zadzwoni do was.

– Na policję? – zapytał Brunetti. Obserwował Vittoriego, zdumiony tym, jak bardzo strach potrafi odmienić twarz człowieka, podkreślając kości i sprawiając, że oczy zapadają się głębiej. – Co takiego miałby nam

powiedzieć? – ponaglił.

Brunetti miał przeczucie, że Vittori zastanawia się gorączkowo, jak przedstawić tę historię. W końcu powiedział:

– Stwierdził, że jeśli nie dam mu pieniędzy, zadzwoni do was i powie, że widział, jak wrzuciłem Manuełę do kanału. – Czekał na odpowiedź Brunettiego, ale dodał jeszcze: – Zamierzał splamić mój honor.

Brunetti usłyszał ciche syknięcie Griffoni, jakby dotknęła czegoś obrzydliwego po ciemku.

– Co pan zrobił? – zapytał Brunetti.

Na twarzy Vittoriego odmalowało się oburzenie.

– A co mogłem zrobić? To był szalenciec, rzucający fałszywe oskarżenia. Nie mam pojęcia, kto to był. Te pogróżki były nonsensowne.

Brunetti obserwował, jak jego rozmówca zmienia treść swojej historii.

– Odłożyłem słuchawkę – powiedział w końcu Vittori.

Brunetti spojrzał na Vittoriego, który wrócił do przyglądania się własnym dłoniom, a potem na Griffoni, która pokręciła głową.

– Co zrobił pan później? – zapytał.

– Nic. On więcej nie zadzwonił.

– Nie próbował pan sprawdzić, skąd telefonował? – zapytał Brunetti. – Nie próbował pan oddzwaniać?

– Nie, byłem przerażony. Tego rodzaju pomówienie mogłoby zniszczyć moją reputację, moją karierę. Byłbym ciągnany po sądach, a ta kobieta mogłaby wykrzykiwać swoje absurdalne oskarżenia. Nie miałbym żadnych szans. Wszyscy by jej uwierzyli.

Brunetti uznał za roztropne nie przypominać Vittoriemu, że Manuela nie wykrzykiwała żadnych oskarżeń, po prostu krzyczała.

– A czy powinni jej wierzyć? – zapytał tylko neutralnym tonem.

– Oczywiście, że nie. – Vittori uniósł ręce do góry. – Cały czas za mną chodziła, dotykała mnie, kiedy pomagałem jej wsiadać na konia. Zachowywała się jak klacz w rui, po prostu sama się prosiła.

Brunetti spojrział szybko na Griffoni, która ścisnęła krawędzie krzesła, jakby tylko w ten sposób mogła powstrzymać swoje ręce od złapania Vittoriego.

Brunetti użył tonu, jakiego mógłby użyć przyjaciel Vittoriego, zaskoczony tym, że zapomniał on skręcić we własną ulicę.

– Ale czego miałyby się pan obawiać?

– Fałszywego oskarżenia przez kobietę, która była nieletnia w chwili, gdy... – zaczerpnął powietrza i wyrzucił z siebie z obrzydzeniem – ...miałyby nastąpić rzekomy atak. Nawet to mogłoby sprawić, że miałbym problemy.

– Ależ przecież nikt by jej nie wysłuchał – oznajmił Brunetti, pamiętając, by nie patrzeć na Griffoni.

– Oczywiście, że by ją wysłuchali – upierał się Vittori. – Zawsze wierzą kobiecie.

– Jednak zarówno ona, jak i my nie moglibyśmy nic zrobić w tej sprawie – stwierdził Brunetti, chociaż Vittori nadal niczego nie rozumiał. – Przedawnienie – wyjaśnił. – Po dziesięciu latach nie można już wnieść oskarżenia. Nawet gdyby rzeczywiście pan to zrobił, teraz nie mógłby pan zostać za to skazany. To minęło. Na zawsze.

Twarz Vittoriego stężała. Brunetti patrzył, jak architekt próbuje otworzyć usta, ale nie jest w stanie. Wyrwał się z transu, oblizwał wargi, w końcu zdołał je rozchylić, ale nie potrafił z siebie wydać nic poza beczącym „yy, yy”. Jego twarz pobladła jak ściana i przez moment Brunetti obawiał się, że mężczyzna może zemdleć. Czas się zatrzymał, podczas gdy Vittori starał się powrócić do życia.

Brunetti czytał, że wielu ludziom w obliczu zbliżającego się końca staje przed oczami całe ich życie. Był przeświadczony, że w przypadku Vittoriego liczyły się tylko ostatnie tygodnie.

Głos, który w końcu wydobył się z ust Vittoriego, był głosem starca.

– To niemożliwe. – Gdyby pustynia potrafiła mówić, właśnie tak by brzmiała. – Nie.

– To musi być dla pana prawdziwa ulga, signor Vittori – odezwała się

Griffoni. – Cokolwiek, co ona teraz powie, nie może już splamić pańskiego honoru. Tak jak powiedział panu mój kolega, niezależnie od tego, co jej pan zrobił, to minęło. Na zawsze.

Gdyby Vittori stał, zataczałby się teraz jak pijany. W obecnej sytuacji gestem podobnym jak wcześniej Griffoni ścisnął krawędzie krzesła. Odetchnął głęboko raz, potem drugi, a wreszcie wyrwało mu się głębokie westchnienie, jak po dokonaniu jakiegoś bohaterskiego czynu.

Brunettiego kusilo, by przeciągnąć to dłużej i dać Vittorioemu okazję, by powiedział coś więcej, ale nie był zwolennikiem tortur, nawet w przypadku kogoś takiego jak siedzący przed nim mężczyzna. Dlatego oznajmił:

– Jednakże morderstwo Pietra Cavanisa jest nadal świeżą zbrodnią, signor Vittori, a ja oskarżam pana o jej popełnienie i aresztuję pana pod zarzutem dokonania morderstwa.

W tym momencie przesłuchania – jak Brunetti zeznał później w trakcie procesu Alessandra Vittoriego, oskarżonego o zamordowanie Pietra Cavanisa – komisarz Claudia Griffoni wstała i wyszła z pokoju.

W trakcie tego samego procesu signor Vittori zeznał, że Manuela Lando-Continui błagała go, by uprawiał z nią seks, jednakże on odmówił, ponieważ była nieletnia, a on nie chciał ryzykować utraty pracy. Dwie osoby, które trzymały konie w stajni w czasie, gdy pracował tam signor Vittori, zeznały, że – wręcz przeciwnie – signor Vittori niemalże siłą narzucał się signorinie Lando-Continui, która reagowała na jego zachowanie niechęcią i złością.

Jako że signor Vittori uparcie twierdził, iż nie jest winny zarzucanego mu morderstwa, prokurator przedstawił wyniki ekspertyzy sądowej przeczące jego wersji wypadków. Próbki DNA pobrane z chusteczki Vittoriego odpowiadały śladom znalezionym na nożu, którym został zamordowany Pietro Cavanis. Co więcej, rano w dniu, w którym został zamordowany signor Cavanis – i krótko po telefonie wykonanym przy użyciu karty telefonicznej znalezionej w rzeczach Pietra Cavanisa – signor Vittori szukał w Internecie artykułów prasowych dotyczących uratowania Manuely Lando-Continui z kanału Rio San Boldo i znalazł je. W tej relacji wymieniono

nazwisko signora Cavanisa, który był jedynym Pietrem Cavanisem w książce telefonicznej i nadal mieszkał pod adresem w Santa Croce podanym w artykule.

Pechowo dla siebie, signor Vittori nie użył Internetu, by wyszukać informacje, po jakim okresie następuje przedawnienie w przypadku gwałtu, a okres ten upłynął na długo, zanim signor Cavanis do niego zadzwonił. Gdyby signor Vittori to zrobił, być może nie uciekłby się do morderstwa, za które został skazany przez sąd pierwszej instancji i obecnie oczekiwał na apelację.

Chociaż Brunetti wiedział, dokąd jada, nie miał pojęcia, że są już prawie na miejscu, ponieważ Griffoni przezornie zjechała z autostrady na długo przed Preganziol i dotarła do celu siecią bocznych dróg od północnego zachodu, czyli z innego kierunku, niż jechali poprzednio. Griffoni, która prowadziła samochód znajomej, upewniła się, że nie są widoczni z domu, i okrążyła teren należący do stajni, wybierając takie miejsce, gdzie główny budynek zasłaniała kępa młodych drzew.

Zatrzymała samochód sto metrów od ogrodzenia, zgasiła silnik i cała ich trójka przez chwilę jeszcze siedziała w środku, wsłuchując się w trzaski i zgrzyty stygnącego silnika i odkształcających się metalowych części. Była wiosna, liście już się rozwijały, lecz dzień był mimo to rześki, a chmury rażno zmierzały na północ.

Brunetti wysiadł pierwszy. Rozejrzył się za psem, ale nie zobaczył ani śladu Hektora, który zapewne tego dnia miał za zadanie spać na warcie. Nie zastanawiając się dłużej, zamknął po cichu drzwi samochodu.

Griffoni pochyliła się, by pomóc Manueli odpiąć pasy, a ta już bez trudu otworzyła drzwi i wysiadła.

– Och, jak tu ślicznie – powiedziała, patrząc na młode liście wszędzie dookoła. – Wszystko jest nowe.

Griffoni przerwała podziwianie padoków i ujęła Manuelę pod ramię.

– Tak, wiosna to piękna pora roku, prawda? – zaszczebotała głosem, jakiego używała tylko przy Manueli. Był radosny, pełen energii i obiecywał nieskończone możliwości. Brunetti mówił tak kiedyś do własnych dzieci, ale od dawna już tego nie robił.

Griffoni zwykłym tonem zwróciła się do Brunettiego:

– Wiosna zawsze nasuwa mi myśl, że życie postanowiło nam dać kolejną

szansę.

Manuela popatrzyła na nią.

– Nie rozumiem – poskarżyła się.

– To nic ważnego, *Tesoro*. Na wiosnę wszędzie jest zielono i możemy słuchać śpiewu ptaków. Jesteśmy na wsi. – Rozłożyła ręce i zakręciła się, a Manuela poszła w jej ślady, wirując i wirując, aż Griffoni musiała złapać ją za rękę, zatrzymać, przyciągnąć do siebie i przytulić, dopóki nie minął przypływ ekscytacji.

– Może się przejdziemy? – zapytała Brunetti.

– Oczywiście – odpowiedział. – W którą stronę?

– Może pójdziemy wzdłuż tego ogrodzenia i zobaczymy, gdzie się kończy? – zaproponowała swobodnie Griffoni. – Czy tak może być, Manuelo? – zapytała, pamiętając o tym, by nie zmuszać młodej kobiety do dokonywania żadnych skomplikowanych wyborów.

– Tak, tak – odpowiedziała Manuela i wzięła Griffoni pod ramię.

Ruszyli przed siebie, mając ogrodzenie po lewej stronie. Poprzeczne żerdzie tu i ówdzie się połamały – niektóre zamocowano z powrotem poskręcany drutem. Jeden słupek całkowicie pokrywały agresywnie zielone listki powojnika, chociaż było za wcześnie, by pojawiły się pąki kwiatowe.

Manuela zatrzymała się tak nagle, że Griffoni wpadła na nią.

– Co się stało? – zapytała.

– Coś słyszę – powiedziała Manuela.

Griffoni stała nieruchomo jak skamieniała, podobnie Brunetti. Potrzebował chwili, by przywyknąć do ciszy, ale gdy mu się to udało, usłyszał dźwięk dochodzący gdzieś spomiędzy drzew po prawej stronie. Rozległ się znowu: ton wysoki, ton niski, ton wysoki, ton niski – a potem jeszcze raz.

– Chodzi ci o ten dźwięk? – zapytała Griffoni.

Manuela skinęła głową.

Griffoni wypuściła jej rękę i przeszukała kieszenie dzinsów. Wyjęła banknot pięcioeurowy. Brunetti także grzebał w kieszeniach spodni.

– Co robicie? – zapytała Manuela, ale być może dlatego, że była w towarzystwie Griffoni, wydawała się zaciekawiona, a nie przestraszona.

– Czy masz jakieś pieniądze w kieszeniach? – zapytała ją Griffoni.

– Nie wiem. – Manuela włożyła ręce do kieszeni kurtki. Z prawej wyciągnęła kilka monet. – Mam tyle – powiedziała i pokazała je Griffoni.

Griffoni pochyliła się i palcem wskazującym rozsunała monety na wyciągniętej dłoni Manueli.

– Sześć euro i dwadzieścia siedem centów – powiedziała do Brunettiego.

– Doskonale – stwierdził Brunetti i wyciągnął swoje drobne. – Ja mam cztery euro dwanaście.

Na twarzy Manueli malowała się zupełna dezorientacja.

– Nie rozumiem. Nie rozumiem. Powiedz mi, powiedz, powiedz.

– To głos kukułki – wyjaśniła Griffoni uspokajającym tonem. – Kiedy wiosną po raz pierwszy słyszysz kukułkę, musisz sprawdzić, ile masz pieniędzy w kieszeniach. Im więcej ich masz, tym więcej pieniędzy będziesz miała w ciągu roku.

Manuela popatrzyła na swoją dłoń.

– Czy ja mam ich dużo?

– Tak, masz więcej niż ja i więcej niż signor Brunetti.

– Czy to dobrze?

– O tak – odparła Griffoni. Zacisnęła dłoń Manueli na pieniądzach i poleciła, by schowała je do kieszeni, żeby ich nie zgubić.

– Co mogę z nimi zrobić? – dopytywała się Manuela.

– Och, możesz sobie kupić lody, jeśli masz ochotę.

Manuela zastanowiła się nad tym, po czym zapytała:

– Czy mam dość, żebym kupiła także lody dla ciebie i dla signora Brunettiego?

Griffoni pochyliła się i ucałowała Manuellę w policzek.

– Oczywiście, że tak, *Stella* – powiedziała drżącym głosem.

– Możemy wstąpić na lody w drodze powrotnej – wtrącił Brunetti.

Manuela skinęła głową, zachwycona tą perspektywą.

– Dokąd idziemy? – zapytała.

– Jeszcze kawałeczek tą drogą – odpowiedziała Griffoni.

Kukułka skomentowała to, podobnie jak kilka innych ptaków. Szli dalej wzdłuż ogrodzenia. W miejscu, gdzie zakręcało w lewo, Griffoni zatrzymała się, odwróciła, by spojrzeć na padok, i postawiła jedną stopę na niższej żerdzi.

Wsunęła palce wskazujące do ust i zagwizdała przeraźliwie raz, a potem drugi. Manuela zachichotała, Brunetti popatrzył na Griffoni, a potem na coś, co poruszyło się na drugim końcu pastwiska.

Coś dużego ruszyło w ich kierunku. Trochę zwolniło, więc Griffoni zagwizdała jeszcze raz, co spowodowało kolejne przyspieszenie.

Był to galopujący w ich stronę koń. Brunetti znał nazwy różnych końskich chodów: stęp, kłus, cwał, galop. Ale to było coś innego, to był czysty pęd.

Brunetti patrzył, jak koń pędzi z dudnieniem w ich stronę, przeskakując przeszkody niewidoczne dla ich oka, kierując się niezmordowanie prosto ku nim.

Piętnaście metrów od nich koń zaczął zwalniać, zwolnił jeszcze bardziej, zatrzymał się w odległości zaledwie metra i stanął na tylnych nogach. W tej pozycji, jak w amerykańskim westernie, odrzucił łeb i wydał z siebie wysokie rżenie, a potem opadł z głuchym uderzeniem na przednie nogi. Zbliżył się do ogrodzenia, rzucając łbem jak w gorączce.

Manuela w pierwszej chwili była przestraszona, lecz potem znieruchomiała, oszołomiona. Brunetti odwrócił się i patrzył na nią, na jej twarz, z której po raz pierwszy zniknęła niepewność, zbyt często na niej goszcząca.

Jakby poruszała nią jakaś niewidzialna siła, stanęła na najniższej żerdzi ogrodzenia, a potem wspięła się na drugą. Pochyliła się do przodu, rozkładając szeroko ramiona.

– Petunia – powiedziała i otoczyła rękami końską szyję. – Petunia.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące powieści
Donny Leon:

ŚMIERĆ W LA FENICE

1998

2006 (*seria kieszonkowa*)

ŚMIERĆ NA OBCZYŻNIE

1999

STRÓJ NA ŚMIERĆ

1999

ŚMIERĆ I SĄD

1999

ACQUA ALTA

1999

2011 (*seria kieszonkowa*)

CICHO, WE ŚNIE

2001

2009 (*seria kieszonkowa*)

SZLACHETNY BLASK

2002

ZGUBNE ŚRODKI

2003

2007 (*seria kieszonkowa*)

ZNAJOMI NA STANOWISKACH

2004

2008 (*seria kieszonkowa*)

MORZE NIESZCZĘŚĆ

2005

2007 (*seria kieszonkowa*)

PERFIDNA GRA

2006 (*seria kieszonkowa*)

SŁOWO OFICERA

2007 (*seria kieszonkowa*)

FAŁSZYWY DOWÓD

2008 (*seria kieszonkowa*)

KREW Z KAMIENIA

2009 (*seria kieszonkowa*)

MĘTNE SZKŁO

2010 (*seria kieszonkowa*)

OKROPNA SPRAWIEDLIWOŚĆ

2010 (*seria kieszonkowa*)

DZIEWCZYNA Z JEGO SNÓW

2011 (*seria kieszonkowa*)

UKRYTE PIĘKNO

2012 (*seria kieszonkowa*)

KWESTIA WIARY

2013 (*seria kieszonkowa*)

PO NITCE DO KŁĘBKĄ

2014 (*seria kieszonkowa*)

DZIKA ZACHŁANNOŚĆ
2015 (*seria kieszonkowa*)

ZŁOTE JAJO
2016 (*seria kieszonkowa*)

GRA POZORÓW
2017 (*seria kieszonkowa*)